

Seria **Stanowiska/Interpretacje**  
pod redakcją **Elzbiety Czerwińskiej**

tom 6

**VIRGINIA WOOLF**

**WŁASNY POKRÓJ**

Przełożyła **Agnieszka Graff**

Wstęp napisała **Izabela Filipiak**

**INTERPRETACJE**  
**INTERPRETACJE**  
**INTERPRETACJE**  
**SEANOWISKA**  
**INTERPRETACJE**  
**INTERPRETACJE**

**WYDAWNICTWO**  
**DAWNIA**  
**CTWO**

*Sied!*

Tytuł oryginału  
**A Room of One's Own**

Copyright © **Quentin Bell and Angela Garnett 1929**  
Copyright © for the Polish edition **Wydawnictwo Sici! 1997**  
Copyright © for the Polish translation **Agnieszka Graff 1997**  
Copyright © for the essay *Własny pokój, własna twórczość*  
**Izabela Filipiak 1997**

All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form

Projekt okładki i stron tytułowych  
**Joanna Czerwińska**

Redakcja  
**Renata Lis**

Książka wydana dzięki dotacji CEU Press w ramach CEU Press Translation Project i dotacji Fundacji im. Stefana Batorego

Wydawnictwo Sici!  
PL 00-668 Warszawa  
ul. Noakowskiego 26 m. 40  
tel./fax: +4822/627 36 67

Skład i łamanie: Wydawnictwo **male** s.c.

Druk i oprawa:  
Zakład Poligrafii Instytutu Technologii Eksploatacji,  
Radom, ul. Pułaskiego 6

ISSN 1427-4825  
ISBN 83-86056-33-9

## **Własny pokój, własna twórczość**

Kiedy Virginia Woolf wydaje *Własny pokój*, ma 47 lat. Elitarny i męski uniwersytet w Cambridge ufundowany został około siedmiu wieków wcześniej. Żeński college Newnham powstał w miasteczku Cambridge 58 lat wcześniej. Świat znajduje się w przededniu wielkiego, ekonomicznego kryzysu, październik, wraz z wydaniem *Własnego pokoju* przynosi inne wydarzenia, które o wiele bardziej przyciąga publiczną uwagę, czyli krach na Wall Street, wyznaczający zarazem początek Wielkiej Depresji. Straty w akcjach, w ciągu najbliższych dwóch lat, wyniosą 50 miliardów dolarów i staną się też udziałem londyńskich inwestorów. Siedem lat wcześniej październikowym „marszem czarnych koszul” zaczęła się faszystowska dyktatura Benito Mussoliniego, trzy lata później brytyjska partia faszystowska dowodzona przez sir Oswalda Mosleya domaga się wygnania Żydów z Wielkiej Brytanii. Siedemnaście lat wcześniej Virginia Stephen poślubiła Leonarda Woolfa, który jest Żydem; po powrocie z Cejlonu, gdzie służył jako urzędnik państwowy, w intelektualnym i artystycznym towarzystwie Bloomsbury czuł się tak samo niepewnie, jak Virginia podczas proszonego obiadu w Cambridge. Jedenaście lat wcześniej brytyjskie sufrażystki wywalczyły w brytyjskim parlamencie prawo do udziału w wyborach, obejmujące jednak tylko kobiety powyżej trzydziestego roku życia. Rok wcześniej obniżono ten limit wieku do 21 lat. W 1920 Virginia Woolf wdaje się w polemikę na łamach londyńskiego „New Statesman” na temat „intelektualnego statusu kobiet”, w której dowodzi, najkrócej mówiąc, że intelekt nie ma płci, a wychowanie, które pozbawia wolności i wykształcenia, a którego celem jest przysposobienie kobiet do służenia w domu, ogranicza nie

tylko aktywność kobiet, ale też ich twórczość. Jej oponent, Desmond MacCarthy, wspierając tezę Arnolda Bennetta, autora pracy *Our Women*, twierdzi, że gdyby mężczyźni pozbawili edukacji, wciąż byłiby w stanie udowodnić swą intelektualną wyższość w stosunku do kobiet, a zatem kształcenie dziewcząt jest stratą czasu. Woolf, wskazując na wprost proporcjonalną relację między wykształceniem a intelektualną ekspresją, odpowiada, że w obecnym czasie trudno nazwać cywilizowaną kulturę, która wspiera się na niewolnictwie połowy jej obywateli, i wygrywa argument. Dziewięć lat później, w 1938 roku, ukażą się *Trzy gwinee*, zbiór namiętnie pacyfistycznych esejów, w których pisarka protestuje przeciwko edukacji, jeśli jej głównym celem ma być przygotowanie mężczyźni do udziału w wojnie, przeciwko prawom do udziału w wyborach przyznanym kobietom jako nagroda za pomoc w „prowadzeniu wojny” i potwierdza wcześniej, we *Własnym pokoju* uformowaną tezę, że wzrost nastro- jów totalitarnych jest odwrotnie proporcjonalny do wolności kobiet w społeczeństwie. Tam też przywołuje jeszcze jeden moment z historii Newnham, kiedy to petycja z prośbą, by jego absolwentki miały prawo używać tytułu bakałarza, została odrzu- cona w senackim głosowaniu, po którym rozjuszeni studenci Cambridge dopuścili się aktów wandalizmu na dziedzińcu żeń- skiego college'u. Dziewiętnaście lat wcześniej konwencjonalny malarz Roger Fry organizuje w Londynie pierwszą wystawę prac Cézanne'a, zbiera za to zdrowe cięgi; oskarżony o repre- zentowanie paryskiej „holoty” i „kryminalistów” zdaje się na po- moc przyjaciół z kręgu Woolf. Rok wcześniej safička powieść Radclyffe Hall, *The Well of Loneliness*, zostaje skonfiskowana przez policję. Virginia gotowa jest świadczyć w sądzie na rzecz książki, którą oświadcza uznaje za nudną, lecz sąd nie chce uwzględnić zeznań literatów i wyrok zostaje podtrzymany. Rok wcześniej, latem, przed wygłoszeniem wykładów w Newnham i Girtton wiadomo już, że ostatnia powieść, *Orlando*, jest za- razem jej pierwszym sukcesem na rynku wydawniczym. Od dwóch lat jest posiadaczką samochodu i gramofonu, oba są przedmiotami luksusu.

Miałam pisać o *własnym pokoju*. Chciałam napisać, że akt stwarzania własnego pokoju jest w zasadzie aktem twórczym, przygotowaniem do napisania tekstu. Ale żeby tak się stało,

żeby móc na chwilę znaleźć się w takim stanie skupienia, jak tego pragnie Virginia Woolf we *Własnym pokoju*, nie powinno „zagryzać” najmniejsze nawet kółko... zamigotać najmniejsze światelko. Okna niech pozostaną szczelnie zamknięte. Pisarz zaś, pomyślałam, gdy tylko jego doświadczenie dobiegnie końca, powinien wyciągnąć się wygodnie i pozwolić, by umysł świętował swe gody w ciemności.”

Lecz zamiast to czynić, przypomniałam sobie, jak kilka dni wcześniej, przeglądając dawne notatki, natknęłam się na opis mojego prywatnego spotkania z Profesorem. Nie było to do- świadczenie osadzone na tak dramatycznym napięciu, jak ze- tknięcie pisarki z portretem Profesora von X, autora monumen- talnego dzieła p. t. *Umysłowa, moralna i fizyczna niższość płci żeńskiej*. Mój profesor nie był brzydkiem i zagniewanym chłop- cem, który wyrósł na marudnego starca. Był po słowiańsku roz- wierzony, romantyczny i nieodparcie dobrodliwy. Nie był, Boże broń, sadystą, który „pisząc chciał jednocześnie zabić jakiegoś wstrętnego owada”. Ten człowiek, który w swoim małym ogro- dzie wiał z wiosną ptaki i motyle, nie zabiłby muchy, a nawet darowałby życie jakiejś wstrętnej gąsienicy. Nie miał też luksu- sowego warunków, jakie Woolf celebrowała w swojej relacji z pro- szonym obiadem w Cambridge. Polscy profesorowie, nawet ci, którzy obsługują katedry za granicą, bywają biedni i nie jedzą przepiórek i sałatek. Spożywają kartofle w mundurkach i takąż marchewkę. Czasem z masłem i solą.

Gdy odwiedziłam profesora z dwoma moimi przyjaciółmi, zosta- liśmy przyjęci serdecznie, dom był ubogi w materię, ale bogaty w ducha. Prawdę mówiąc, to oni odwiedzali profesora, ja zjawi- lam się tam jedynie, rzec by można, z sympatii i dla towarzy- stwa. Profesor był trochę przejęty, odnosiło się wrażenie, że to nagłe wtargnięcie do jego domu zainteresowanej publiczności, to zamieszanie wokół jego osoby, trochę go niepokoiło, a zara- zem też fascynowało i musiał zmagać się z podejrzliwością, naturalną dla samotnika i zupełnie nieodpowiednią dla niego ekscytacją. Na stole stała parująca miska z ziemniakami i mar- chawką. Profesor zwrócił się do mnie:

– A teraz lżunia obierze każdemu po kartofelku.

Nie gubiąc rytmu odpowiedziałam:

– Każdy będzie obierał sobie swojego kartofelka.

Profesor uśmiechnął się dobroliwie i zwrócił do mojego przyjaciela:

– Czy ona zawsze taka jest?

Ten incydent szybko rozplynął się w ożywionej rozmowie profesora z moimi kolegami, w mglistym słuchu podmiejskiego poranka, nie mógł wpłynąć w żaden sposób na przebieg śniadania i, jak sądzę, został zapomniany już w kilka minut po tym, jak się wydarzył. Bo czy można naprawdę przejmować się zachowaniem jednej niesfornej niewiasty, kiedy tyle ciekawych rzeczy jest do omówienia w literaturze, w poezji?

Co do mnie, to z trudem przeżyłam swojego kartofelka, byłam wściekła, ale obiektem tego uczucia nie był bynajmniej profesor, a przynajmniej nie w pełni profesor, w większej części byłam nim ja sama. On potraktował mnie jak dziecko, którego dziecięcą arogancję omawia się z opiekunem – tak właśnie, zycziwie używając trzeciej osoby liczby pojedynczej. Profesor gawędził z moimi przyjaciółmi, a ja czułam się zacięta w sobie i zła. Idiotka i egoistka! Dlaczego nie obrabił każdemu po kartofelku? Nic dziwnego, że nikt cię nie lubi. Bo jeśli ona rzeczywiście taka jest, to doprawdy, jak można z nią wytrzymać?

To zabawne nieporozumienie nie zdarzyło się tak dawno temu. Nie byłam dzieckiem, miałam blisko trzydzieści lat, ale nie chciałam zachować go w czynnej pamięci i tak, pochłonęła je elastyczna i kompresująca nadmiar plików podświadomość, co dzieje się zwykle tym skuteczniej, im szybciej zechcemy przywołać do porządku poruszone uczucia i wytknąć własnej wrażliwości, że ta czy inna przestroga, rzucona mimochodem, nie ma naprawdę nic wspólnego z nami. Nie ma sensu jej zatem do siebie przywiązywać, nie ma sensu jej ze sobą nosić. Gdzie to jest lęk. Nadwrażliwa obrona, ale tej drugiej strony. Naszego rozmówcy, który przypadkiem jest mężczyzną. Tylko czy to już wszystko, ale czy na pewno?

Zbiór esejów, napisany na podstawie wykładów wygłoszonych w październiku 1928 roku w Cambridge i wydany rok później, wciąż zaskakuje bezpośredniością swojego przekazu. Woolf mówi wprost o tym, że wykształcenie w burżuazyjnej Anglii = pieniądze = władza. Co więcej, uważa, iż życie w nędzy nie kształtuje charakteru, tylko go wypacza, a ono też, to skrzywienie, oznaczające na bardzo konkretnym poziomie, że „człowiek

nie będzie dobrze myślał, dobrze kochał, dobrze spał, jeśli nie spożył przedtem dobrego posiłku”, przejawia się dalej w tym, że jego lub jej wypowiedzi staną się odrobinę niepewne, a w końcu, że nie będzie miał lub miała o czym się wypowiadać z powodu braku intelektualnych, kulturowych, czy też życiowych doświadczeń, gdyż nie zagna w życiu nic więcej oprócz czterech kątów „własnego” pokoju. Wydaje się znamienne, że niedługo po *Własnym pokoju* Woolf napisał biografię piosenka Elizabeth Barrett-Browning, dziewiętnastowiecznej poetki, która ma „własny” pokój, lecz zasadniczo nie wolno jej go opuszczać. Poetka dostosowuje się do tego zakazu aż za dobrze, zmieniając się w bezwonną inwalidkę. Flush, piesek płci męskiej, żywy i odważny z natury, szybko stanie się tak samo znerwicowany i zastraszony jak jego właścicielka. Elizabeth opuści ten pokój w wieku 40 lat i przestanie być inwalidką, ale to już zupełnie inna historia.

*Własny pokój* Virginii Woolf ukazał się w czasach, gdy powieście krytyki patriarchy, jego przesłań i podbudowy w zasadzie nie istniało. Ruch sufrażystek zajmował się kwestiami doradczymi i społecznymi, a po wycofującej batalii o prawo do głoszenia wyraźnie osłabł. Antropologia kobieca, w osobie Jane Harrison, której prace były inspiracją dla Frazera i innych brytyjskich antropologów, doczekała się swojej kontynuacji w osobie Mariji Gimbutas i fali popularnej kobiecej antropologii dopiero w drugiej połowie XX. wieku. *Własny pokój*, jako pierwsze studium o twórczości kobiet i o społecznych czynnikach warunkujących – bądź ograniczających – intelektualną aktywność kobiet, był zatem książką tyle wyjątkową, co wywrotową i jej treści, które polski czytelnik łatwo może wyszukać i ewentualnie odnieść do teraźniejszości, używając do tego własnego rozumu, są wciąż aktualne. Woolf, stawiając zarzuty, czyni to z wielką gracją, z ogromną powściągliwością, z przewrotnym poczuciem humoru i przede wszystkim talentem. Postępując się słynnym argumentem w postaci „siostry Szekspira” czy cytatami z fikcyjnego „debutu” Mary Carmichael, podając liczne przykłady karier literackich, w których pieniądze, lub ich brak, odegrały istotną rolę, nie uwzględniła swojej własnej, nie poskarżyła się zatem, że córka sir Leslie Stephena, autora biografii znamienitych Anglików, nigdy nie otrzymała formalnego wykształcenia. W przeciwieństwie do słuchaczek na uniwersytecie w Newnham Woolf, która była krytykiem literackim, zanim jeszcze została pisarką,

a jej artykuły nie były, jak sama pozwała sobie zakpić, pisaną „to o wystawie osłów, to znów o jakimś weselu”, ale kształtującymi londyńskie gusty recenzjami dla „Times Literary Review”, była samoukiem. Podobnych kpin w narracji *Własnego pokoju* jest więcej, autorka co jakiś czas „rozmyśla tak bezładu i składu” albo udaje, że jej „niewykształcone” pióro prowadzi ją na intelektualne manowce.

Ta zabawa wyprawdzic może jednak na manowce jedynie mniej uważnego czytelnika i jest też ogólnym przywołaniem faktu, że dla Woolf przynależność do intelektualnego centrum na londyńskim Bloomsbury Square łączyła się z nadrabianiem braków w stosunku do swoich przyjaciół malarzy, pisarzy i krytyków, takich jak Lytton Strachey czy E.M. Forster, których wszak – co do tego dziś nie ma wątpliwości – przewyższała talentem. Nawet na pozór autobiograficzna informacja o ciocie, która „zabiła się spadając z konia podczas przejażdżki, na którą udała się kiedyś w Bombaju, by się nieco przewietrzyć”, okazuje się jeszcze jedną literacką grą. Ciotka, wraz z nieodżałowanym bratem Thoby, przyczyniła się bez wątpienia do finansowej niezależności Virginii, chociaż dochód z tych dwóch kapitałów był niższy niż 500 funtów rocznie\*; nazywała się jednak nie Mary Beton, lecz Caroline Emelia Stephen; po przeżyciu zawodu milosnego z racji młodego człowieka, który wyjechał do Indii i tam przepadł, w wieku 23 lat odcięła się od świata, żyła jak zakonnica i tak też była przez rodzinę przezywana.

Ów ton, przyjazny, gawędziarski, płynny i konwersacyjny, kobiety, która jest szczęśliwa, osoby, która przedstawia i wyjaśnia, która jest czująca raczej niż rozgniewana, wyznacza też emocjonalną granicę tej wypowiedzi. Woolf przedstawia problem w takiej formie, jakby nie chciała rozgniewać odbiorcy i można mieć wątpliwości co do tego, czy zamierzonymi odbiorcami tekstu były w istocie tylko kobiety. Są nimi też mężczyźni. Woolf, już dla własnego, również wewnętrznego bezpieczeństwa, nie chce wydać się separatystką i wie zarazem, że mówiąc cokolwiek, w jakikolwiek sposób definiując stan kobiecości na dziś,

\* Kwota, jaką Woolf we *Własnym pokoju* uznaje za wystarczającą dla kobiety pragnącej uzyskać finansową niezależność (przyp. red.).

czy też analizując wypowiedzi mężczyzn na temat kobiet, rzykuje o wiele więcej niż Rebekka West, która niewinna, trafną bądź nie, wagą o męskim snobizmie dorobiła się miana „wołującej feministki”. Temat kobiety – to dla kobiet z tamtego okresu ni mniej, ni więcej, tylko pole minowe.

Ta ostrożność być może sprawi, że Woolf, tak przewidująca w obliczu faszyzmu, nie doceni Charlotte Brontë i nie przyzna, że niepokój i utajony przecień ekstremalizm tej prozy będzie stanowił jeden z punktów odniesienia dla rozwijającej się literatury, a w końcu, że jej własny takt i opanowanie stanowić będą przeszkodę w odbiorze już tylko emocjonalnym i dopelnającym się ponizej zachwyty nad stylem i formą; jej pisarstwo okaże się zbyt przereczyste i wydestylowane z uczuć, do których te nadchodzące pokolenia czytelniczek chętniej będą gotowe się przyznać. Ale też owe niższe, proletariackie uczucia dopiero po przełomie lat sześćdziesiątych zaczęły być w krągach anglojęzycznych akceptowane jako pewien istotny aspekt literatury tworzonej przez kobiety. Woolf przestrega młodą pisarkę, by nie robiła zdania, nie rujnowała sekwencji, nie czyniła swym celem niszczenia, lecz budowanie i to również wydaje się przykazaniem niebyłym po wielu latach doświadczeń tej prozy, która dekonstruuje język, dekonstruuje też obraz kobiecych doświadczeń w literaturze. Chyba jednak nie byłoby dobrze, gdyby niekóre przesłania tej po blisko siedemdziesięciu latach od czasu wydania przetłumaczonej na język polski książki o pisaniu nie okazały się przetestowane przez literaturę. Ale też trudno uznać za niebyły problem, że zarzuty, pomimo płynności i lekkości tonu, w jakim zostają postawione, znajdują się niebezpiecznie blisko pretensji. Zarzuty to w istocie są pretensje, tyle że wypowiedane przez osobę nie znajdującą się w pełni swoich praw. Jak dziecko. Jak kobieta. Dlatego Woolf, polemizując z głosem jakiegoś dzentelmena, który ostrzega: „...powieściopisarki powinny aspirować do doskonałości, zawsze dzielnie uznając ograniczenia własnej płci”, kilka stron wcześniej sama napomina, że „zabójcze jest, jeśli kobieta kładzie najmniejszy choćby nacisk na swe pretensje i żale”. Co zatem znajduje się poza obszarem tej doskonałości, w której mimo wszystko powinna znaleźć się literatura kobiet? Na pewno nie troska, czułość i oddanie, a może zatem gniew i determinacja, które wszak łatwo mylą się z agresją? Co do nakazu umiaru, to gdyby późniejsze pisarki chciały się do niego stosować, lub też krytyka literacka czy wreszcie

sądowictwo braty go równie poważnie jak siedemdziesiąt lat temu, nigdy nie powstałaby *Opowieść podreźnej* Margaret Atwood, ani Doris Lessing *The Golden Notebook*, punkowa Cathy Acker zostalaby spalona na stosie razem z magiczną Angielką Carter, nie byłoby Toni Morrison ani jej Nobla, ani wielu innych książek i wielu innych nazwisk, które naznaczyły już tradycję literatury pisanej w języku angielskim.

Aspekty męskie i żeńskie dopełniają się w życiu tak samo, jak w umyśle pisarza ma połączyć się kobiecość i męskość, mówi Woolf. Co tam mówi! Nastaje. Woolf wyobraża je sobie jako związek dwóch twórczych czynników. Małżeństwo przeciwnieństw. Ale jakich? Co jest przeciwne czemu? Małżeństwo nie jest odbiciem jakiegś prehistorycznej harmonii. W momencie, kiedy zaczęła się historia, skończyła się harmonia. Można pomyśleć, że II wojna światowa, przepowiedziana w esejach z *Trzech gwinej*, wydanych na rok przed jej wybuchem, stała się dla Woolf tą ekspansją męskiego czynnika, z którym pisarka nie miała ochoty łączyć się w „małżeństwo przeciwnieństw”. I dalej nie wiadomo, jak to zrobić, żeby to małżeństwo nie przypominało nam klasycznego układu pozornego szczęścia, gdzie ważne sprawy zmiata się pod dywan, by o właściwej porze napisać się herbaty.

Jak pogodzić się z faktem, że społeczeństwa, może już dłużej nie wychowywane w celu bezpośredniej, międzypaństwowej agresji, żyją obecnie w trwałym poczuciu zagrożenia, atakowane z pierwszych stron gazet informacjami o przestępstwach i gwałtach, których przypadkowymi ofiarami są zwykli ludzie, zwykle w tych informacjach wracający z pracy do domu, albo ich córki, które wyszły na dyskotekę, albo ich synowie wracający nie tak późno przecież od przyjaćiół? Można by zaryzykować twierdzenie, że przemoc społeczna, z którą nawet nie musimy się osobiście zetknąć, ale od której świętej dawki czytelniczy prasy zdają się być uzależnieni, przenika do ich świadomości, znieczula na prawdziwy gwałt. A jednak nie żyjemy już w totalitaryzmie, tylko w demokracji, która po części jest przecież pretensją. Poziom demokracji mierzony jest poziomem otwartości dialogu: jak wiele informacji będzie dostępnych społecznie? Jakiego rodzaju informacje nie będą dostępne? Co ukrywamy przed sobą nawzajem? O czym wcale nie mówimy? Co jakiś czas wybu-

chają doniesienia o rządowych konfliktach i malwersacjach, ujawniane są tajne powiązania, szpiegowskie afery w samym sercu dobiegającej się do władzy partii.

Gdy coś zostaje ujawnione, spada zasłona pretensji. I wtedy się o tym rozmawia.

Mając jednak w pamięci, że Woolf mówiąc o małżeństwie przeciwnieństw miała na myśli wybitnie harmonijny związek między tym, co żeńskie i tym, co męskie, można tylko skłonić głowę przed wyzywającą trudnością tego postulatu. Gdyż jak to zrobić, by nie zagłuszyć swoimi pretensjami (ponieważ w partnerskiej intymności cofamy się niejako w rozwoju i to, co w piśmiennej, formalnej relacji będzie zarzutem, w stosunkach osobistych dziecinnie i staje się żalem), a przy tym nie spychać tego nogą pod dywan, jak kanapki, która przypadkiem nam spadła na podłogę? Mówić? Ale jak mówić, żeby nasz partner, w końcu wrażliwy, męczyzna (mówię w tym momencie o wewnętrznym mężczyźnie, który wraz z wewnętrzną kobietą konstytuuje mój androgyniczny umysł) nie obraził się, nie zalał, nie padł w impotencję, albo przeciwnie – nie rozgniewał się, nie dostał szału? I czy naprawdę jest tak, jak widzi to przez chwilę Woolf, że w umyśle męskim ten wewnętrzny męczyzna dominuje nad kobietą, a w umyśle kobiecym kobieta dominuje nad męczyzną?

Gdyby tak było, umysły męskie nie wyzwalatyby się z prawdziwej czy zmyślonej kobiecej dominacji.

Gdyby tak było, umysły kobiet byłyby wolne.

Własny pokój jest miejscem, do którego się wraca, albo które jak żółw nosi się na własnym grzbiecie. Brak własnego pokoju, pisanie w cudzych pokojach, to szczególny rodzaj bezdomności. Pamiętam rozmowę z pisarką, która nie mogła pisać we własnym domu, wędrowała więc, przenosiła się, pamiętam wspólnie, jakie wtedy poczułam. Pamiętam też inną, która służąc jej do napisania jednej powieści książki porzuca za sobą i nie przejmując się dłuższą ich łosiem i wątpliwością, jaka się w tym momencie pojawiała: czy ta osoba może sama napisać cokolwiek, co niosłoby w sobie więcej, niż tymczasową, użytkową doraźność? Zwykle, kiedy już nie ma innego wyjścia i chwilowo musimy zamieszkać w cudzej przestrzeni, urządzamy ten cudzy pokój, który przypadkowo zdarzyło nam się zasiedlić, nadajemy

mu pozor własności. Możliwe, że to wszystko, czego możemy oczekiwać, że oczekiwanie czegokolwiek więcej byłoby już nadmiernym przywiązaniem się, a naprawdę możemy zamieścić tylko na chwilę, czy będzie to dom, czy też ciasto.

Pamiętam, że kiedy nie miałam nawet własnych mebli, namalowałam obraz po to tylko, żeby powiesić go sobie na ścianie. Obraz zwykle spełnia dwie funkcje – dopełniając zamieszkałą przestrzeń, czyniąc ją funkcjonalną, staje się też oknem, ale nie na kamienne schodki i małe ogródki włoskich emigrantów albo na prostokąt polskich bloków. Stanowi wyjście na coś innego, szczylną, przez którą zajrzeć możemy poza wyraziste kontury przedmiotów, które nauczone jest postrzegać nasz wzrok. Jakbyśmy, zanurzając twarz w wodzie, dostrzegli samostry, czarujący świat koralowej rafy, którego całe miliony lat temu byliśmy częścią.

Stwarzanie własnej przestrzeni to jest przyjemność. To nie znaczy tylko – udomowianie.

Stwarzanie własnego pokoju, owo najbardziej konkretne, jest tym właśnie, aktem twórczym i zarazem najbardziej osobistym. Aktem bardzo kobiecym, a zarazem też takim, który istnieje poza podziałem płci, takim, w jakim pisarz albo pisarka mogą zmobilizować swoją wewnętrzną kobietę, która uwielbia ozdabiać zacisza, miejsca odosobnienia i miejsca święte. I tam pozwalać sobie na bluźnierstwa, które wywołują się wprost od modlitwy. Aktem twórczym i zarazem wciąż osobistym, gdyż takim, który nie musi podlegać ocenie z zewnątrz, nie podlega też własnej ocenie, czego nie można powiedzieć o książce; jeśli z niej chcemy uczynić własny pokój, żyć, działać, istnieć tylko w przestrzeni utkanej z fikcji, jest to możliwe, ale musimy przygotować się na niechylone wtargnięcie wandali.

W stwarzaniu własnej przestrzeni wielką rolę odgrywają przedmioty bezużyteczne. Znalezione na ulicy, kupione na domowych „wystawkach”, straganach ze starociami, w egzotycznych sklepikach, przywiezione z podróży. Muszle. Kolorowe kamyki, które, jeśli zajrzeć do podręcznika, mają swoją utajoną energię, cichą, ale skuteczną, magiczną moc. Figurki z obsydianu. Ozdobny choinkowy, wzorowane na tych antycznych już, sprzed kilku wieków. Indonezyjskie rzeźby. Suszone kwiaty. Wiklinowe koszyki. Przetłukane złotą nitką chusty, antyczne sukienki. Narzu-

ty. Makaty. Książki. Każdy z tych przedmiotów, wreszcie każda z książek ma swoją prywatną, wyjątkową historię. W ciągu lat własny pokój staje się obszarem zbiorów, w którym czasem i tylko dla wybranych gości spełniamy rolę kustosa. Jest to muzeum, które wciąż powstaje, ograniczone ze względu na przestrzeń – to w końcu nie jest własny dom, gdzie można upchać starocie na strychu, gdzie rozplanowanie pokoiów pozwala uniknąć zagracenia, to jest tylko własny pokój.

A jednak ważne jest, by w miarę możliwości nie wyrzucać starych rzeczy, starych notatek, książek, które w tej chwili niewiele dla nas znaczą. Trudno przewidzieć, czym zaskoczy nas jakiś drobniaczek, gdy spojrzymy na niego za kilka lat.

Na półce z książkami wciąż ta sama pocztówka: *Gustave Moreau, Jednorożce*. Przeżyliśmy razem, ja i ta pocztówka, wiele przeprowadzek. Już dawno przestała być tylko ozdobą, stała się kimś bliskim, jak towarzysząca podróży. I jeszcze jedna: *Max Ernst, The Attirement of the Bride*. Wciąż jej nie rozumiem, ale ponieważ spędziłyśmy ze sobą wiele lat, znam ją tak intymnie jak kochanka, do którego się wraca, nie drażąc jej tajemnicy, zaakceptowałam ją. Imitacja statku – fregaty, zostawiona w domu, w którym mieszkalam, w tamtym amerykańskim życiu, przez ostatniego właściciela, który tam umarł. Wiem o nim tyle, że kochał wodę, tęsknił do podróży.

Historia metalowych ptaków: ujrzałam je wystawione na ulicy, za żelaznym ogrodzeniem, gdzie kilka dni wcześniej znalazłam dwa dostojne, rzeźbione w drewnie smoki. Nie wzięłam tych ptaków, pomyślałam: to już za wiele. Potem, kiedy zniknęły, zaczęłam o nich myśleć i ich żałować. Kilka lat później zobaczyłam je, porzucone w tym samym miejscu. Zabrałam je bez wahania. Po kilku dniach wyleciał pierwszy: ptaki były nieporęczne, przewracały się, spadały ze ściany, kłuty w ręce metalowymi piórami. Ich ogony były rajskie, pawie, pomalowane na zielono i bordowo, głowy wąskie i splaszczone, długie dzioby, spojrzanie nerwowe i zakłopotane. Kilka tygodni później, jeszcze raz pokluta, pozbyłam się drugiego.

Indonezyjskie smoki przetrwały, chociaż nie służą im przewodzki. Drewno jest delikatne i, mimo zabezpieczeń, w transporcie ciągle im coś odpada: a to ogon, a to złocona korona, a to dumnie wysunięta stopa. Wtedy zostają potrątko-

wane specjalnym klejem do drewna, na parę dni obwiązane plastrami i sznurkiem. Jeszcze kilka dziesięcioleci, a ich ciata, z niewidocznymi na pierwszy rzut oka pasażami pełnymi kruszącego się kleju do drewna, zawierają będą w sobie historię mego życia.

Książki. Pozbywając się ich, usuwamy też fragment własnej świadomości, własnego życia, kawałek pamięci. Co działo się ze mną, w tych dniach, kiedy czytałam biografie Jean Rhys, biografie Duras, kilka biografii Virginii Woolf, eseje Carolyn G. Heilbrunn, biografie Anne Sexton, biografie McCarthy, pamiętłam dokładnie, kiedy patrzyłam na ich okładki. Co sprawiło, że te własnie książki chciałam mieć? Nie rozumiałam tego wówczas, a teraz mogę odczytać dokładną mapę tęsknot i pragnień. Dlaczego, kilka tygodni temu, słuchając Niny Simone przypomniałam sobie, jak na jednym ze stolików ulicznego antykwariatu, tuż obok farmerskich straganów rozstawionych w samym centrum wielkiego miasta, dostrzegłam biografie Niny Simone i pomyślałam absurdalnie: Kupię to później? To, że wiele lat po tamtym jesiennym, przejrzyście złotym popołudniu wyrzucam sobie własną nierozwagę, brak refleksu, niby straconą okazję, wobec której przeszedłam tak, jakby cudowne przypadek leżały na ulicy, brzmi jak przestroga.

Własny pokój to także muzyka.

Własny pokój to także ściany, podłoga, okno, sufit.

W pewnym sensie własnym pokojem są także plaki za oknem i dziecko płaczące za ścianą, i odgłosy miłości za ścianą.

Własny pokój to także spokój. Nocą najgłębszy, nie do naruszenia.

Własny pokój to także pieniądze na to, żeby mieć własny pokój.

To jeszcze moment, kiedy przekręcamy klucz w zamku, żeby dostrzec najpierw okienną poświatę, rozproszoną przez mleczne firanki, a potem stół, biurko, papier, nie naruszone, takie, jakimi je zostawiłyśmy, a potem gęste i słodkie ciepło, zbierające się w okolicy serca.

Jeanette Winterson w zbiorze esejów *Art [Objects]* pisze o swojej przestrzeni domowej, która, złożona z ulubionych przedmiotów, otwiera ją na ogromny obszar kultury: wszystkich przedmiotów sztuki, jakie zostały kiedykolwiek namalowane,

jakie zostały kiedykolwiek napisane. Winterson, zamiast malować własne, kolekcjonuje obrazy namalowane przez innych. Takie, które ją zachwyciły. Zbiera też białe krutki – książki wydane wiele lat temu, sygnowane przez ich autorów. To nie jest śmietnik prywatnych dewocjonaliów, przedmiotów niepotrzebnych, ale kolekcja świadomie powiększana, taka, na jaką prz znacza się prawdziwe pieniądze. Winterson, pisząca już w innym kontekście niż Woolf, kiedy wydzielała nauki kobiecych nie są miejscami wygnania, może pozwolić sobie na to, by domagać się praw dla sztuki wysokiej. Stara się przypomnieć, że wysoka sztuka domaga się finansowego wsparcia, bez względu na płeć. Twierdzi, że artyści znajdują się obecnie w gorszej sytuacji niż w czasach feudalizmu, kiedy suweren narzucał swemu poecie mniejsze ograniczenia, niż czyni to obecnie skomercjalizowany rynek. Christine de Pisan na przełomie XIV i XV wieku utrzymywała całą rodzinę sprzedając arystokratom iluminowane manuskrypty swoich powieści. Znowu najbardziej znaczyący twórcy XX wieku, za wyjątkiem Tomasza Manna, przed którego własnym pokojem odpowiedni respekt odczuwała żona i dzieci, długo byli bezdomni. Nie mówię o randze, ale o wpływie na innych: T.H. Lawrence, Miller, James Joyce. I radzili sobie jak zwykle – jak mogli. Można by zakpić, że umysł tworczy w istocie jest androgyniczny, gdyż w obu wypadkach ratuje się przy pomocy tych samych sztuczek. Udane małżeństwo, je cierpliwy mąż, kochanek albo kochanka gotowi, by nas wspierać, to już połowa sukcesu. A zatem, bez różnicy? Z jedną: że kochana kobieta chętniej gotowa jest pogodzić się z tym, że ukochany, dlatego właśnie, że tworzy, miewa nastroje i nie ma dla niej czasu, niż na odwrot. Własny pokój nie zawsze znaczą wspólny spokój. I znów wracamy – dokąd? Do punktu wyjścia. Może już czas, by wyjąć całą sprawę z buduaru.

A zatem, jak pisać? Woolf, jeszcze kilka stron później, nie zwracając uwagi na wcześniejsze przestrogi, wypowie inne, już nie przykazanie, ale wezwanie właśnie: „Ważne jest tylko, byście pisały to, co chcecie pisać; czy zaś owa ważność przetrwa stulecia, czy tylko kilka godzin, tego nikt Wam nie powie”.

Pisać to, co się chce. Żyć tak, jak się chce.  
Lecz najbliższa jest mi Woolf, która mówi:



„Kiedy więc każe Wam zarabiać pieniądze i zdobyć własny pokój, w istocie prosię Was o to, byście żyły świadome rzeczywistości, a więc wiodły żywot fascynujący, niezależnie od tego, czy uda wam się przekazać innym jego treść”.

Fascynujące to nie znaczy przez nikogo nie zakłócone.

Fascynujące to znaczy otwarte, jakby ten własny pokój na chwilę stawał się dworcem kolejowym, kawiarnią, salą uniwersytetu, siedzibą rządu, budynkiem ONZ, wielką przestrzenią w ruchu.

Fascynujące to znaczy takie, które zdołało rozpuścić sztywną barierę lęku przed tym, na co sobie akurat pozwalamy. I to jest najważniejsze. Chroniąc się bez przerwy, trudno jest stworzyć cokolwiek.

*Izabela Filipiak*

## Rozdział pierwszy

Wiem, prosiłyście mnie o wykład na temat kobiet i twórczości literackiej. Cóż to ma wspólnego – możecie teraz zapytać – z własnym pokojem? Spróbuję to wyjaśnić. Kiedy poproszono mnie, bym powiedziała coś o kobietach i twórczości, usiadłam sobie nad brzegiem rzeki i zaczęłam zastanawiać się nad sensem tych słów. Mogłyby one oznaczać kilka uwag o Fanny Burney; i jeszcze parę o Jane Austen; potem ułkon w kierunku siostr Brontë i pośpiesznie nakreślony wizerunek przysypanej śniegiem plebanii Haworth; dalej, w miarę możliwości, jakaś dwojcipna uwaga na temat panny Milford; pełna szacunku aluzja do George Eliot; wreszcie, parę słów o pani Gaskell – i sprawa załatwiona. Kiedy jednak przyjrzałam się tym słowom uważniej, przestały wydawać mi się takie proste. Tytuł „Kobiety i twórczość” mógł oznaczać – i być może to właśnie miałyście na myśli – pytanie o same kobiety; o to, jakie one są; mogło też chodzić o kobiety i ich twórczość; albo też o kobiety i twórczość, jaką inni uprawiają na ich temat; wreszcie, mógł ten tytuł oznaczać także i to, że wszystkie te trzy zagadnienia są jakoś nieodwracalnie ze sobą wymieszane i że chcecie, abym w takim świetle je omówiła. Kiedy jednak zaczęłam zastanawiać się nad całą sprawą w ten właśnie sposób – a wydał mi się on najbardziej interesujący – wkrótce okazało się, że metoda ta ma jedną zasadniczą wadę. Otóż w ten sposób nigdy nie udałoby mi się dojść do jakichkolwiek wniosków. Nie wywiązałabym się

zatem z tego, co, jak rozumiem, stanowi pierwszą powinność mówcy – nie podałabym Wam, po godzinnym wykładzie, owej bryłki czystej prawdy, którą każda z Was ukryłaby potem skrzętnie między kartkami swego notatnika, by trzymać ją na komodzie do końca swoich dni. Jedne, co mogłam uczynić, to zaproponować Wam pewną opinię na temat pewnej pomniejszej kwestii – otóż, kobieta musi mieć pieniądze i własny pokój, jeśli ma uprawiać twórczość literacką. I to właśnie sprawia, że wielki problem prawdziwej istoty kobiecości oraz prawdziwej istoty twórczości pozostaje nierozstrzygnięty. Udało mi się właśnie wymigać od obowiązków dojszcia do jakiegoś konkluzji na temat tych dwu pytań – kobiety i twórczość pozostają, jeśli o mnie chodzi, problemami bez rozwiązań. Aby jednak wynagrodzić Wam to jakos, opowiem, jakimi ścieżkami doszłam do owej opinii na temat pokoju i pieniędzy. Zamierzam, najlepiej i najszybciej jak tylko potrafię, rozwinąć w Waszej obecności cały ciąg myśli, które doprowadziły mnie do tego właśnie przekonania. Bądź może, kiedy już obnażę przed Wami wszystkie sądy i przesady, które się za tą myślą kryją, stwierdzicie jednak, że ona w istocie pewien związek z kobietami i twórczością literacką. Zresztą, kiedy ma się do czynienia z kwestią wysoce kontrowersyjną – a tak jest zawsze, gdy chodzi o płęć – wówczas nie można mieć nadziei, że powie się prawdę. Można jedynie pokazać, jak doszło się do poglądów, które głosi się obecnie. Można też pozwolić, aby słuchacze sami wyciągali wnioski, przyglądając się ograniczeniom, przesądom, czy dziwactwom mówiącego. Jest wiele prawdopodobne, że w fikcji odnajdziecie więcej prawdy niż w faktach. Dlatego też skorzystałam z wolności i przywilejów, jakie przysługują powieściopisarzom, by zaproponować Wam opowieść o tym, jak spędziłam dwa dni poprzedzające mój przyjazd tutaj – o tym, jak przysięgnęłam ciężarem tematu, który zrzuciłyście na moje ramiona, rozmyślałam nad nim, jak każalam mu się toczyć, pojawiać i zniknąć w toku codziennego życia. Nie muszę Was chyba zapewniać, że nic z tego, co tu opiszę, nie istnieje w rzeczywistości: Oxbridge to czysty wy-

myśl, podobnie jak Fernham, „ja” – to jedynie wygodna nazwa dla kogosi, kogo w ogóle nie ma. Z moich ust spływać będą kłamstwa, chociaż nie można wykluczyć, że wśród nich zaplącze się odrobina prawdy – do Was będzie należało prawdę tę odszukać i zdecydować, czy jakaś jej część warta jest zachowania. Jeśli nie, to na pewno wszystko wyrzucicie do śmieci, by natychmiast o całej sprawie zapomnieć.

Oto więc ja (a nazywać mnie możecie Mary Beton, Mary Seton, Mary Carmichael, czy jak Wam się tylko spodoba – to bez znaczenia) siedziałam sobie nad brzegiem rzeki tydzień czy dwa tygodnie temu, w piękną październikową pogodę, głęboko pogrążona w myślach. Owo brzemię, o którym wspominałam – kobiety i twórczość literacka – owa potrzeba dojszcia do jakichś ostatecznych wniosków na temat, który budzi tyle przesądów i namiętności, ciążyło mi ogromnie, pochylając moją głowę ku ziemi. Na prawo i na lewo ode mnie jakieś krzaki, złote i purpurowe, świeciły swymi barwanami tak intensywnie, że zdawały się płonąć. Na przeciwległym brzegu łkały w nieustającym lamencie wierzby z wtosami opadającymi na ramiona. Rzeka odbijała w swej tafli to, co jej się akurat spodobało – skrawki nieba i mostek, i płonące drzewa: a kiedy jakiś student przepłynął przez te obrazy łódka, dotykając ich wiosłem, wszystkie zasklepiły się nagle, jakby ich nigdy nie było. Można by tak siedzieć całymi godzinami, gubiąc się wśród własnych myśli. Myśli – choć może to dla niej zbyt wielkie słowo – zarzuciła jakiś czas temu wędkę w dół rzeki. Linka chwiała się przez kilka minut to tu to tam wśród odbić wodnych i nadbrzeżnych chaszczu, pozwalając, by woda to unosiła ją, to znów zatapiała, aż wreszcie – znacze przecież to lekkie szarpnięcie – ów moment, gdy myśl krystalizuje się na końcu linki, znacze na pewno to ostrożne wyciąganie zdobyczy, to delikatne wykładanie jej na brzegu? Ach, jakże śmiesznie nieistotna wydała mi się moja świeżo złowiona myśl, kiedy już leżała obok, na trawie – należała do tego gatunku ryb, które wytrawny wędkarz wrzuca z powrotem do wody, by mogły przybrać na wadze i pewnego dnia okazać się godne tego, by przyrządzić

Je i zjeść. Nie będę Wam teraz zwracać głowy moją małą myślą, lecz jeśli poszukacie dokładnie, być może same odnajdziecie ją w toku tej opowieści.

Jak by jednak nie była malenka, miała przecież tę tajemniczą cechę właściwą dla swego gatunku, że kiedy wrzucam ją na powrót do umysłu, stała się nagle ogromnie ekscytyjną i ważną; gdy tak pluskała, zagłębiała się i wypływała, migocąc to tu to tam, poruszyła taką powódź, taki tumult koinie. Zaczęłam więc iść szybkim krokiem przez trawnik. I oto naprzeciw mnie pojawiła się postać mężczyzny. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, że gorączkowe gesty tej i w wieczorowej koszuli skierowane są właśnie do mnie. Tymczasem na obliczu mężczyzny malowała się zgroza i obrzenie. Z pomocą przyszedł mi instruktor raczej niż rozum: on był Pedlem, ja byłam kobietą. Tu był trawnik, tam była ścieżka. Na murawę wolno wchodzić jedynie Członkom i Profesorom college'u, dla mnie zaś przeznaczona była żwirowa ścieżka. Pomyslałam to wszystko w jednej chwili. Gdy tylko wróciłam na ścieżkę, ręce Pedla opadły, a jego twarz przybrała swój zwykły spokojny wyraz i chociaż po trawie chodzi się przyjemniej niż po żwirze, ostatecznie przecież nie stało się nic strasznego. Jedynie oskarżenie, jakie mogłabym wysunąć przeciwko Członkom i Profesorom college'u, w którym się akurat znalazłam, było takie, że chłoniąc swój pielęgnowany od trzynastu lat trawnik, przeproszyli zupełnie moją małą rybkę.

Jaka myśl kazała mi popełnić tak niestychane wykroczenie – tego nie mogłam już sobie przypomnieć. Duch spokoju opadał powoli z nieba, niczym chmura, jeśli bowiem duch spokoju mieszka gdziekolwiek, to jego siedzibą są właśnie krząganki i dziedzińce Oxbridge w piękny październikowy ranek. Kiedy tak przechadzałam się wśród college'ów, mijając przastare budynki, szorstkość chwili obecnej niepostrzeżenie się wygładziła; ciało zdawało się być zamknięte w cudownym szklanym pomieszczeniu, do którego nie przenikał

żaden dźwięk, umysł zaś, uwolniony od wszelkiego kontaktu z rzeczywistością (o ile, rzecz jasna, nie weszło się znów na zakazany trawnik), mógł swobodnie oddać się dowolnym, stosownym do nastroju chwili medytacjom. Przypadek sprawił, że pewne zabłąkane wspomnienie o starym eseju opisyującym wakacyjną wizytę w Oxbridge przyniosło mi myśl o Charleise Lambie – o świętym Charleise, jak nazwał go kiedyś Thackeray, dotykając czołem listu pisarza. Istotnie, spośród wszystkich umarłych (podaję Wam tu moje myśli tak, jak kolejno przychodziły mi do głowy), Lamb jest jedynym z najsympatyczniejszych; to człowiek, do którego chciałoby się powiedzieć: niechże mi Pan opowie, jak Pan pisał swoje eseje? Eseje te – pomyślałam – przewyższają bowiem nawet dzieła Maxa Beerbohma, i to mimo całej perfekcyjności tych ostatnich, a to ze względu na ów dziki błysek wyobraźni, ową błyskawicę geniuszu, która rozdziera je w samym środku, pozostawiając je, co prawda, w stanie niedoskonalsci, ale za to ugwieżdżone poezią. Otóż Lamb przyjechał do Oxbridge jakieś sto lat temu i z całą pewnością napisał esej – tytuł nieśwety mi umknął – o rękopisie jednego z wierszy Miliona, który tutaj obejrzał. Był to chyba Lycidas. Lamb zaś napisał, jakim prerażeniem napawa go myśl, iż choćby jedno słowo z Lycidasa mogłoby być inne, niż było istotnie. Już sama myśl, że Milton mógłby w tym wierszu coś zmienić, wydała mu się świętokradztwem. Zaczęłam więc przypominać sobie to, co mogłam, z Lycidasa i zabawić się zgadzywaniem, które to słowo Milton mógł w tym wierszu zmienić i dlaczego. Przyszło mi wtedy na myśl, że ten sam rękopis, który kiedyś przeglądał Lamb, znajdował się przecież kilkakaset metrów stąd, że można by przejść przez dziedzińiec, krok w krok tą samą drogą co on i znaleźć się w owej sławnej bibliotece, gdzie zresztą zachował się także i rękopis Esmonda Thackeraya. Krytycy twierdzą często, że Esmonda to najdoskonalsza ze wszystkich jego powieści. Jednakże afektacja stylu, naśladowanie pisarstwa osiemnastowiecznego stawia, o ile dobrze pamiętam, pewien opór przy lekturze. Chyba że styl osiemnastowieczny był właśnie dla Thackeraya

naturalny – można by się o tym przekonać przeglądając rękopis i sprawdzając, czy poprawki dotyczyły głównie stylu, czy też głównie sensu powieści. Trzeba by jednak najpierw zacytować, co jest stylem, co zaś znaczeniem, a na to pytałem – ale oto znalazłem się przed drzwiami biblioteki. Musiałam je chyba uchylić, bo w tej samej chwili wyrzucił się z mroku, niczym anioł stróż, zagradzając mi drogę falowanymi srebrnawymi, dobrodusznymi pan o surowym spojrzeniu. Odesłał mnie gestem dłoni na zewnątrz, wyjaśniając przy tym, z ubolewaniem w swym przyciszonym głosie, że damy dopuszcza się do zbiorów bibliotecznych tylko w towarzystwie Członka College'u, lub też za przedstawieniem listu polecającego.

Fakt, że pewna inna sławna biblioteka została niegdyś przekłęta przez pewną kobietę, jest tej sławnej bibliotece całkiem obojętne. Szacowna i spokojna, trwa pogrążona w upojnym śnie chowając w swym łonie bezpiecznie zamknięte skarbki i, jeśli o mnie chodzi, może sobie tak spać przez całą wieczność. Nigdy już nie rozбудę drzemającego w niej echa, nigdy więcej nie poproszę jej o gościnność – za przysięgam to sobie schodząc po stopniach z narastającym uczuciem złości. Została jeszcze godzina do obiadu, cóż mogłam zrobić? Pospacerować po łące? Posiedzieć nad rzeką? Był prześliczny jesienny ranek; liście migotały czerwienią spadając z drzew, przechadzka nie byłaby więc żadnym wyrzeczeniem. Do moich uszu doleciały jednak dźwięki muzyki. Musiała to być jakaś uroczystość lub nabożeństwo. Przechodząc obok drzwi kaplicy, usłyszałam majestatyczne zawrozdzenie organów. Nawet ten chrześcijański smutek brzmiał w przepojonym ciszą powietrzu raczej jak wspomnienie o smutku, niż jak sam smutek; jęk praśtarych organów zdawał się być zanurzony w milczeniu. Nie miałam najmniejszej ochoty wchodzić do środka, nawet gdybym miała do tego prawo, mógł mnie przecież tym razem zatrzymać kościelny, żądając, być może, świadectwa chrztu, lub też listu polecającego od Dziekana. Zewnętrzne mury tych wspania-

nych budynków bywają jednak równie piękne jak ich wnętrza. Co więcej, zabawnie było tak stać, obserwując, jak zbierają się wierni, jak wchodzi, by po chwili znów wyjść z kaplicy, jak zaferowani tłoczą się przy drzwiach, niczym pszczoły przy wejściu do ula. Wielu z nich miało na sobie uniwersyteckie togi i kapelusze, a szaty niektórych przyozdobione były futrem na ramionach, innych wwożono na wózkach inwalidzkich; jeszcze inni, choć nie przekroczyli jeszcze wieku średniego, zdawali się być zmięci i powyginani w tak niebywale kształty, że przywodzili na myśl gigantyczne kraby i langusty, z trudnością wlokące swe cielska po piaszczystym dnie akwarium. Opartam się o mur i pomyślałam sobie, że Uniwersytet to coś w rodzaju rezerwatu, uchowywał się tu bowiem rzadkie okazy gatunków, które niechybnie wymarłyby, gdyby kazano im walczyć o byt na bruku londyńskiego Strandu. Przypomniały mi się zastyszane niegdyś opowieści o starych dziekanach i profesorach, ale zanim zebrałam się na odwagę, by zagwizdać – dawno temu krążyła bowiem pogłoska, jakoby na ten dźwięk stary Profesor — w mgiełniu oka zrywał się do galopu – zanim więc odważyłam się zagwizdać, całe to szacowne towarzystwo zniknęło we wnętrzu kaplicy. Pozostało mi przyrzeć się stronie zewnętrznej. Jak wiecie, oświetlone w nocy kopuły i wieże widoczne są zza odległych na wiele mil wzgórz – niczym żaglowiec, który wiecznie płynie i nigdy nie dociera do celu. Niegdyś, jak przypuszczam, zarówno dziedziniec z jego gładkimi trawnikami, jak i masywne budynki i wreszcie sama kaplica – kiedyś wszystko to było podmokłą łąką, na której chwiały się na wietrze trawy i pasy świnię. Pomyślałam sobie, że całe tabuny koni i wołów musiały przyciągnąć tu z dalekich stron wozy pełne kamieni, a potem te szare bloki, w cieniu których teraz stałam, przez całe dziesięciolecia z niezmierną pracowitością układano kolejno jeden na drugim, następnie zaś malarze przywieźli kolorowe szkło na okna, a na tantym dachu przez całe wieki trudzili się murarze ze swoim cementem i szpachlówką, szpadlami i kielniami. Co sobotę zaś ktoś musiał sypnąć złotem i srebrem ze skórzanej sakiewki prosto

w pracowane dłonie robotników, bo wieczorami lubili zapewne wyskoczyć na piwo i kręgle. Pomyślałam dalej o tym niustającym potoku złota i srebra, który musiał przecieź przepływać przez ten dziedziniec, by nie przestawano układać szarych kamieni, by murarze nie przerywali swej pracy, by wyrównać, przekopać, skanalizować. Był to jednak wiek wiary i pieniądże sypano hojną ręką, aby dać kamieniom odpowiednio głębokie fundamenty, a kiedy kamienie stały już na swoim miejscu, jeszcze więcej pieniędzy zaczęło sypać się ze skarbców królów, królowych i wielmożów – po to, by śpiewano tu hymny i kształcono młodych uczonych. Przyznawano grunty, skrupulatnie płacono dziesięciny. Kiedy zaś skończył się wiek wiary, nadszedł wiek rozumu, a złoto i srebro dalej płynęły wartkim strumieniem: nadal fundowano stypendia i finansowano katedry, z tą tylko różnicą, że teraz złoto i srebro płynęło już nie ze skrzyń królewskich, lecz z kufurów, gdzie składali swe fortuny kupcy i producenci, z sakiewek ludzi, którzy zbili majątki na przykład w przemyśle, a potem w testamentach zwracali wielkodusznie część swego dorobku tam, gdzie poznali swoje rzemiosło, fundując kolejne stypendia i katedry. Stąd biblioteki, stąd laboratoria i obserwatoria; stąd ich wspiane wyposażenie, stąd kosztowne i delikatne przyrządy, stojące dziś na szklanych półkach tam właśnie, gdzie kilka wieków temu chwiały się na wietrze trawy i pasty świnię. Kiedy tak leniwie przechadzałam się po dziedzińcu, fundamenty ze złota i srebra wydały mi się wystarczająco głębokie – dzięki trawy pokrywała naprawdę solidna warstwa bruku. Mężczyźni z tacami na głowach krążyli bez przerwy między jedną klatką schodową a drugą. Okna zdobiły skrzyżniki z wyzywająco kolorowymi kwiatami. Z któregoś z pokoi docierały przenikliwe dźwięki gramofonu. Refleksja narzucała się sama – ale ucięło ją nagle uderzenie zegara. Nadszedł czas, by poszukać drogi na obiad.

Rzecz to dziwna, ale powieściopisarze mają zwyczaj przekonywania nas, że proszony obiad pamięta się dlatego, że coś bardzo dowcipnego na nim powiedziano, lub niezwykłe mądrego uczyniono. Rzadko zdarza im się poświęcić

choćby kilka słów na opis tego, co właściwie zjedzono. Do konwencji powieściowej należy bowiem to, by milczeniem pominąć zupę, łososa oraz pieczoną kaczkę – zupełnie jakby zupa, łosoś i kaczka nie miały żadnego znaczenia, jakby nikt nigdy nie wypalił cygara i nie wychylił kieliszka wina. Tu jednak pozwolę sobie przełamnąć ową konwencję i powiedzieć Wam, że obiad rozpoczął się od ryb – zatopionych w głębokim półmisku soli, na których kucharz college'owy rozpostarł warstewkę idealnie białej śmietanki, tu i ówdzie upstrzonej brązowymi plankami, przypominającymi plamki na skrzydłach gołębia. Potem przyszała kolej na przepiórki, jeśli jednak słowo to kojarzy Wam się z kilkoma tysiącami brązowymi plaszkami rzuconymi ot tak na talerz, to jesteście w wielkim błędzie. Te przepiórki – a były one liczne i rozmaite – pojawiły się wraz z całym orszakiem sosów i sałatek, ostrych i słodkich, a każdy na właściwym sobie miejscu. Plasterki ziemniaków były cienkie niczym monety, lecz nie tak twarde; brukselka zaś przypominała kształtem pączki róży, będąc jednak od róży znacznie bardziej soczysta. Gdy tylko uporaliśmy się z pieczeniem i jej otoczeniem, mężczyzna, który w milczeniu usługiwał do stołu, a który był zapewne nieco łagodniejszy w wcieleniu samego Pedla, postawił przed nami przyzodobiony wieńcem serwetek deser, wyłaniające się spośród białych fal uosobienie śłodczy. Nazwać to puddingiem, sugerując w ten sposób pokrewieństwo z budyniem ryżowym i tapioką, byłoby straszliwą obełgą. Tymczasem bysnęły kieliszki, najpierw żółcią, potem szkarłatem; kolejno opróżniały się i napełniały. Gdzieś w połowie wysokości kręgosłupa każdego z biesiadników, mniej więcej tam, gdzie zamieszkuje dusza, stopniowo rozpałało się światło – nie to elektryczne światło zwane błyskotliwością, które pojawia się i znika na naszych ustach, lecz inne światło, znacznie głębsze, subtelniejsze i jakby podziemne – bogaty, zocisty płomień rozumnej rozmowy. Nie ma powodów do pośpiechu. Nie ma powodów, by błyszczeć. Nie ma powodów, by być kinkolwiek innym niż tylko sobą. Wszyscy wybieramy się przecież do nieba i jest wśród nas sam Van Dyck – innymi słowy, także

dobrze wydaje się życie, jakże słodkie są jego uroki, jak trywialne wszelkie pretensje i zmartwienia, jak bardzo godna podziwu jest przyjaźń i towarzysstwo innych, podobnych nam osób, gdy człowiek zapala dobrego papierosa, zapadając się wśród poduszek w stojący pod oknem fotel.

Gdybym za sprawą dobrego losu miała wtedy pod ręką popielniczkę, gdybym nie była zmuszona strzeptywać popiołu za okno, gdyby zatem wszystko ułożyło się choćby odrobiny inaczej, nie ujrzałabym zapewne kota bez ogona. Widok tego nerwowego, okaleczonego zwierzątka, drepcącego cichutko przez dziedziniec, sprawił, zapewne działając jakos na moją podświadomość, że wypełniający pokój niewidoczny blask emocjonalny zupełnie dla mnie zgasł. Było to tak, jakby ktoś nagle opuszcł zastonę. Być może, to wyśmienite białe wino przestawało właśnie wywierać na mnie swój przemożny wpływ. W każdym razie obserwując, jak kot z wyspy Man przystaje na moment pośrodku trawnika, jakby on także zwątpił we wszechświat, poczułam, że czegoś tu brak, że coś się zmieniło. Czego, jednak brakuje, co się zmieniło, zapomniałam samą siebie, przysłuchując się rozmowie. Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie, musiałam myślać opuścić pokój i przenieść się w przeszłość, aż przed wojnę, musiałam ustawić sobie przed oczami coś na wzór innego prozonoego obiadu, który odbył się w pokojach niezbyt odległych od tego, a jednak innych. Wszystko tam było inne. Rozmowa tymczasem toczyła się dalej gładko wśród gości, którzy – licząc ni i młodzi, kobiety i mężczyźni – rozprawiali przyjaźnie, swobodnie, dowcipnie. Rozmowę tę ustawiłam w myślach na tle tej innej rozmowy, a kiedy je porównałam, nie miałam najmniejszych wątpliwości – jedna była prawowitą, spadkobierczynią drugiej. Nic się nie zmieniło, to jest nic oprócz – tu nastawiłam uszu niezauważnie na to, co właśnie mówiono, ale raczej na pewien szmer, podskórnie brzęczenie słyszalne spoza słów. Tak, to było to – tu właśnie kryła się owa różnica. Przed wojną na podobnym obiedzie goście mówiliby podobne rzeczy, jednak ich słowa brzmiałyby inaczej, bo w tamtych dniach towarzyszyły im pewien brzęczący, nuca-

cy dźwięk, sam w sobie pozbawiony sensów, a jednak melodyjny, ekscytyjny, zdolny zmienić wartość wypowiedzianych zdań. Czy dałoby się dopasować do tego brzęczenia jakieś słowa? Może byłoby to możliwe z pomocą poetów? Obok mnie leżała książka, otworzyłam ją i bez wysiłku trafiłam na Tennysona. A Tennyson śpiewał tak:

*Z męczennicy na branie strącona  
Spadła tza śnieżnobiała.  
To najdroższa, ukochana, to ona  
Żywot i los mój związała;  
„Już tu jest”, krzyczy róża czerwona;  
Ostróżka słucha oniemiała;  
Biała róża załkała: „Spóźniona”;  
Lilia szeptce: „Będę czekała”.*

Czy to właśnie mruzczeni pod nosem panowie podczas przedwojennych prozonoonych obiadów? A panie?

*Serce me – ptak rozśpiewany,  
Jego gniazdo – wilgotna wiklina;  
Serce me na obraz jabłoni,  
Co się od jabłek ugina;  
I w błogostanie morskiej toni  
Jak muszla tęczowa się skrzy;  
Szczęśliwsze niżli to wszystko,  
Bo mój miły puka do drzwi\*.*

Czy to właśnie mruzczały pod nosem panie podczas przedwojennych prozonoonych obiadów?

Myśl, że ludzie mogliby nuć coś podobnego podczas przedwojennych prozonoonych obiadów, wydała mi się nagle tak niestychanie zabawna, że wybuchnęłam śmiechem i musiałam się z tego wytlumaczyć wskazując na kota z wyspy Man, który – biedne stworzenie – rzeczywiście wyglądał nieco absurdalnie stojąc tak, bez ogona, pośrodku trawnika. Urodził się taki, czy może stracił ogon w jakimś wypadku?

\* W przekładzie Jana Wilka (przyp. red.).

Koty bez ogonów żyją, podobno, na wyspie Man, stworzenie takie jest jednak czymś znacznie rzadszym, niż można by przypuszczać. Dziwaczne to zwierzątko, osobliwe raczej niż piękne. Niestuchane, jak wiele zmienia brak ogona, nieprawdaż? – Wiecie przecież, jakiego rodzaju kwestie zwykło się wypowiadać pod koniec prozowego obiadu, kiedy goście zaczynają już sięgać po płaszcz i kapelusz.

Dzięki gościnności gospodarza przyjęcie przeciągnęło się aż do późnego popołudnia. Piękny październikowy dzień szarzał powoli, a liście opadały z drzew stojących wzdłuż alejki, którą szłam. Bramy, jedna za drugą, zamykały się za mną delikatnie lecz nieodwołalnie. Niezliczeni pedle przekręcali niezliczone klucze w doskonale naoliwionych zamkach; skarbiec zabezpieczano na kolejną noc. Po przejściu alejki dochodzi się do drogi – nie pamiętam niestety jej nazwy – która, jeśli tylko skręci się w odpowiednim miejscu, doprowadzi nas do Fernham. Pozostało mi jednak jeszcze sporo czasu. Kolacja była dopiero o pół do ósmej. A po takim obiedzie można się było właściwie obyć bez kolacji. Dziwne to, jak strzępek poezji zadawawia się w umyśle i sprawia, że nogi same poruszają się w jego rytmie. Te słowa –

*Z męczennicy na bramie strzcona  
Spadła tza śnieżnobiała.  
To najdroższa, ukochana, to ona –*

odezwały się pulsując w mojej krwi, podczas gdy szybkim krokiem zmierzalam dalej, w kierunku Headingley. Potem, w miejscu, gdzie woda pieni się wypływając z tamy, przestawiałam się na ten drugi rytm i zaśpiewałam:

*Serce me – ptak rozśpiewany,  
Jego gniazdo – wilgotna wiklina;  
Serce me na obraz jabłoni...*

Cóż za poeci, wykrzyknęłam głośno, tak jak krzyczy się tylko o zmierzchu, cóż to byli za poeci!

Wiem, porównania takie są śmieszne i absurdalne, zaczęłam jednak odczuwać coś w rodzaju zazdrości w imieniu naszej epoki i zastanawiać się, czy daboży się z ręką na sercu wymienić dwoje żyjących poetów, którzy byłiby równie wielcy dziś, jak Tennyson i Christina Rossetti byli wówczas. Oczywiście – pomyślałam, wpatrując się w potok spienionej wody – podobne porównanie jest niemożliwe. Poezja budzi w nas takie wzruszenia, pozwala na takie zapamiętanie dlatego właśnie, że głosi pochwałę uczucia, którego doznawało się dawno temu (być może na prozornych obiadach przed wojną), tak że odpowiadamy na nie z łatwością, jak na coś dobrze znanego, nie zadając sobie trudu, by porównać je z tym, co odczuwamy obecnie. Natomiast żyjący poeci dają wyraz uczuciu, które powstaje teraz, wydarte z nas samych w upływającej właśnie chwili. Dlatego na pierwszy rzut oka nie rozpoznajemy go; odczuwamy wobec niego lęk; przyglądamy mu się z uwagą i porównujemy zazdrośnie i podejrzliwie z tym dawnym, dobrze znanym uczuciem. Stąd też cała trudność współczesnej poezji; to dlatego nie udaje się nam zapamiętać więcej niż dwu kolejnych linijek żadnego z wybitnych poetów współczesnych. Z tej też przyczyny – że zawiodła mnie pamięć – argument mój urwał się z braku stosownego materiału do porównań. Dlaczego jednak, ciągnęłam dalej, idąc w kierunku Headingley, przestaliśmy nucić pod nosem podczas prozornych obiadów? Dlaczego Alfred przestał śpiewać

*To najdroższa, ukochana, to ona?*

Dlaczego Christina przestała odpowiadać, że jej serce jest

*Szczęśliwsze niżli to wszystko,  
Bo mój mity pukca do drzwi?*

Czy winą należy obarczyć wojnę? Czy w sierpniu 1914 roku, gdy zabrzniały pierwsze wystrzały karabinowe, mężczyźni i kobiety zobaczyli nagle jasno, patrząc sobie w oczy,

że właśnie zamordowano romans? Z pewnością był to szok (zwłaszcza dla kobiet, z tą ich naiwną wiarą w edukację) zobaczyć twarze naszych władców w świetle ognia artyleryjskiego. Jakże odrażająco wyglądali – Niemcy, Anglicy, Francuzi – jak bardzo głupio. Kogokolwiek jednak i czegokolwiek nie obarczyłbyśmy za to winą, złudzenie, które kazalo Tennysonowi i Christine Rossetti śpiewać z taką namiętnością o wkraczającej w ich życie miłości, jest dziś nieporównanie rzadsze niż wówczas. By się o tym przekonać, wystarczy przeczytać, popatrzeć, posłuchać i powspominać. Dłaczę goż jednak w ogóle mówić o „winie”? Czy nie powinniśmy, skoro było to tylko złudzenie, być raczej wdzięczne owej niezna-nej katastrofie za to, że pozbawiła nas złudzeń, a w ich miejsce ofiarowała nam prawdę? Prawda bowiem... te kropki znaczą miejsce, w którym, poszukując prawdy, przegapiłam zakręt do Fernham. No właśnie, zapytałam sama siebie, co jest prawdą, a co jest złudzeniem? Jaka na przykład jest prawda o tych domach z czerwonymi oknami, które w tej chwili, o zmierzchu, zdają się być mgliste i odświętne, zaś o dziewiętej rano będą ze swoją czerwienią, firankami i kwiatkami w oknach wyglądać ponuro i obskurnie? A wierzy nad rzeką i ciągnące się wzdłuż rzeki ogrody, ledwie widoczne w osnuwającej je wieczornej mgle, zaś złoście i czerwone w świetle dnia – co tu jest prawdą, a co złudzeniem? Oszczę- dzę Wam wędrówki krętą dróżką moich rozważań, idąc do Headingley nie doszłam bowiem do żadnych wniosków; będziecie mi jednak musiły uwierzyć na słowo, że wkrótce potem sprostzęgam swój błąd i skierowałam się w stronę Fernham.

Jak Wam już powiedziałam, był to piękny październiko- wy dzień. Nie odważyłabym się więc teraz zburzyć Waszego szacunku do mnie i narazić na szwank dobre imię fikcji literackiej, zmieniając nagle porę roku i opisując zwisające nad murów ogrodowych bzy, a także krokusy, tulipany i inne wiosenne kwiaty. Fikcja, jak powszechnie wiadomo, musi trzymać się faktów, a im prawdziwsze są fakty – tym lepsza będzie fikcja. Była więc nadal jesień, liście wciąż były żółte

i wciąż opadały, może tylko nieco szybciej niż poprzednio, bo był teraz wieczór (dwadzieścia trzy po siódmej, jeśli chcecie wiedzieć dokładnie) i wiał (od południowego zachodu, by trzymać się faktów) lekki wietrzyk. Mimo to działo się coś dziwnego:

*Serce me – ptak rozśpiewany,*

*Jego gniazdo – wilgotna wiklina;*

*Serce me na obraz jabłoni,*

*Co się od jabłek ugina –*

być może słowa Christiny Rossetti były przynajmniej po części odpowiedzialne za obłądne złudzenie – nie mogło to być, rzecz jasna, nic innego jak tylko złudzenie – że krzak bzu sypnął kwieciami zza ogrodowego muru, a tu i ówdzie, w pełnym pyłków powietrzu, łopocąc skrzydełkami fruwały motyle cytrynki. Wiał wiatr, sama nie wiem z której strony, wiem jednak, że lekko unosiły się w nim na pół wyrosnięte listki, tak że w powietrzu pojawiały się srebrzystoszare blaski. Była to ta dziwna pora między jednym światłem a drugim, kiedy to barwy stają się intensywniejsze, a w szybach okien-nych raz po raz zapalają się czerwienie i złoście, niczym uderzenia ekstatycznego serca; kiedy to, nie wiedzieć czemu, objawione nagle lecz skazane na rychłą zagładę piękno świa- ta (w tym momencie pchnęłam furtkę do ogrodu, którą ktoś nierozwaznie zostawił otwartą, a nigdzie nie było widać ped- dłów), kiedy to piękno, skazane na rychłą zagładę, ma dwa ostrza – jedno radosne a drugie bolesne, serce zaś zostaje rozcięte na dwoje. Rozpościerały się oto przede mną w wio- sennym zmierzchu zdziczałe i na oścież otwarte ogrody Fernham, a tu i ówdzie, bezładnie rozrzucone wśród wysokich traw, rosły żonkile i dzwonki, które zapewne nawet w naj- lepszych czasach nie znaly porządku, teraz zaś, rozwiane na wietrze, chwiałały się nadwyręzając swe wątle korzenie. Okna budynku, wygięte niczym okna statku wśród obfitych fal czerwonej cechy, mieniły się od cytrynowej żółci po sre- brzystą szarość, w miarę jak po niebie przemykały wiosenne



chmury. Ktoś był w hamaku, a ktoś... ale w tym świetle wszyscy byli niczym przemykające po trawie widma, obecność można było na pół tylko dostrzec, a na pół odgadnąć – czyż nikt jej jednak nie zatrzyma? Wtem na tarasie pojawiła się – tylko na moment, by zacerpnąć powietrza lub rzucić okiem na ogród – pochylona postać, pełna siły i pokory zarazem, postać o wyniosłym czole, ubrana w znoszoną sukienkę – czy możliwe, że to słynna uczona, J———H——— we własnej osobie? Było szaro i mgliście, a jednak pojawiła się w powietrzu pewna intensywność, jakby miecz lub gwiazda rozdarła nagle całun, który zmrók rzucił na ogród – błysk jakiejś straszliwej rzeczywistości wymurzył się, jak to czasem bywa, z samego serca wiosny. Młodość bowiem –

Oto moja zupa. Kolaćję podano w wielkiej jadalni. Do wiosny pozostało jeszcze mnóstwo czasu, był przecież październikowy wieczór. Wszyscy zebrali się w jadalni. Kolaćja była gotowa. Oto zupa. Najwykleszy w świecie rosół. Nie było w nim nic, co mogłoby poruszyć wyobraźnię. Przeroczysty płyn pozwoliłby natomiast dostrzec rosół na dnie talerza, gdyby był tam jakiś rosół. Ale wzoru nie było. Talerz był gładki. Potem podano wołowinę z nieodłączną zieleniną i ziemniakami – brzydota tej trójki przywodziła na myśl zażybydłące i błotniste rynek, i pomarszczona, poóółkłą, na brzegach brukselkę na straganach, i targowanie się, i opuszczanie cen, i kobiety obladowane siatkami w poniedziałkowy ranek. Nie było żadnych powodów, by narzekać na to powszednie jedzenie, było go przecież dość, a górniczy na przykład muszą się zadłowić skromniejszym posiłkiem. Potem były suszone śliwki w mlecznym sosie. A jeśli ktoś ma ochotę ponarzekać sobie na śliwki, twierdząc, że nawet żagłodzone sosem pozostają niesympatycznym warzywem (owoce to przecież nie są), że są zylaste niczym serce skapca, a do tego wydzielają z siebie płyn, jaki z powodzeniem mógłby płynąć w żyłach skapca, który przez osiemdziesiąt lat odmawiał sobie wina i ciepła, nic przy tym nie oddając ubogim – przypominieć, że są na tym świecie ludzie, których wielkodu-

szność rozciąga się nawet na suszone śliwki. Potem nadeszły sucharki i sery, a dżbanek z wodą podawano sobie nawzajem, nikomu nie skapijąc, w naturze sucharków leży bowiem to, że są suche, te zaś były sucharkami aż do głębi duszy. To wszystko. Posiłek zakończony. Odsuwane krzesła szurały po podłodze; otwierane i zamykane drzwi wahałowe odchyły się z łoskotem to w jedną, to w drugą stronę; wkrótce w sali jadalnej nie było już choćby najmniejszych śladów posiłku, gotowa była, jak można przypuszczać, na jutrzejsze śniadanie. W korytarzach i na schodach młodzież angielska trząskala drzwiami i śpiewała. I czy byłoby teraz na miejscu, aby gość, ktoś obcy (byłam przecież tak samo obca tu w Fernham, jak w Trinity, Somerville, Girtton, Newnham czy Christchurch) stwierdził „Kolaćja nie była dobra”, lub spytał (Mary Seton i ja byłśmy teraz w jej saloniku) „Czy nie mogłyśmy zjeść tu, na górze, same?” – gdybym bowiem powiedziała coś w tym rodzaju, byłoby to równoznaczne z wtrącaniem się, ze wścibskim szperaniem wśród drobnych oszczędności domu, który przed obcymi starał się przybrać piękną fasadę radości życia i odwagi. Nie, nie można było powiedzieć czegoś takiego. Rozmowa urwała się na moment. A ponieważ istota ludzka jest tym właśnie, czym jest – sercem, ciałem i mózgiem połączonymi w jedną całość, nie zaś umieszczonymi w osobnych przegródkach, jak to będzie z pewnością za jakiś milion lat – udana kolaćja ma ogromne znaczenie dla udanej rozmowy. Człowiek nie będzie dobrze myślał, dobrze kochał, dobrze spał, jeśli nie spożył przedtem dobrego posiłku. Wołowina i suszone śliwki nie są zdolne zapalić owego światełka w połowie wysokości kregostupa. *Prawdopodobnie* wszyscy pójdziemy do nieba i *matny nadzieję*, że Van Dyck zechce spotkać nas za następnym rogiem – taki właśnie niepewny, pełen wątpliwości stan umysłu zrodzi się pod koniec pracowitego dnia z takiej pary, jak wołowina i suszone śliwki. Na szczęście jednak moja przyjaciółka, która wykładada nauki ścisłe, miała szafkę, a w szafce pękatą butelkę i małe szklaneczki – (choćaż właściwie trzeba było zacząć od soli i przepiórek), tak że mogłyśmy przysunąć się nieco

bliziej ognia i zacząć naprawiać szkody, jakie wyrządził w nas cały ten długi dzień. Po minucie czy dwu zsuwałyśmy się już w górę owych niezwykle ciekawych i intrygujących kwestii, które powstają w umyśle podczas nieobecności bliskiej nam osoby i które niezwłocznie należy omówić już przy pierwszym spotkaniu – to, że ktoś się ożenił, a ktoś inny nie; że jeden myśli to, a drugi tamto; ktoś niewiarygodnie daleko zaszedł, ktoś inny natomiast haniebnie wprost zszedł na psy – z tych opowieści nieuchronnie rodzą się ogólniejsze rozważania na temat ludzkiej natury oraz niezwykłości świata, w którym przyszło nam żyć. Ja jednak, podczas gdy kolejno padały wszystkie te słowa, stawałam się coraz bezwstydniej świadoma nurtu, który wypytywał sam z siebie i porwał naszą rozmowę w sobie tylko znanym kierunku. Mógłśmy równie dobrze gawędzić o Hiszpanii i Portugalii, o jakiejś księżce lub koniu wyścigowym – istota rzeczy nie miała nic wspólnego z żadnym z tych tematów, lecz ze scenką sprzed jakichś pięciu wieków, na której murarze pracują, na wysokim dachu, zaś królowie i szlachta przywożą w ogromnych workach skarby i wysypują je pod ziemię. Scenka ta wciąż na nowo odżywała w moim umyśle, a tuż obok niej zaryso- wywał się drugi obraz, na którym widać było wychudzone krowy, błotnisty targ, przywiędłe warzywa i żyłaste serca starców – te dwie wizje, jakkolwiek nie pasujące do siebie, odległe i nonsensowne, nieustannie jednak ustawiły się jedna obok drugiej i zaczynały walczyć ze sobą, ja zaś pozosta- wałam całkowicie zdana na ich łaskę. Jeśli cała rozmowa nie miała zostać zniekształcona, należało czym prędzej przewie- trzyć moje myśli w nadziei, że raz wypuszczone na zewnątrz wyblakną i rozsypią się, tak jak rozsypała się głowa jednego z królów w Windsorze, gdy tylko podniesiono wieko trumny.

Opowiedziałam więc pannie Seton pokrótce o murarzach, którzy przez wszystkie te lata siedzieli na dachu kaplicy, a także o królach, królowych i wielmożach taszczących wory złota i srebra na ramionach, by je następnie topatami wpy- chać pod ziemię; i dalej o tym, jak wielcy magnaci finansowi z naszej własnej epoki przychodzili w to samo miejsce i za-

pewne dokładali czeki oraz obligacje tam, gdzie inni złożyli sztaby i bryły złota. To wszystko – powiedziałam wskazując ręką za okno – stanowi podwaliny tamtych college'ów; a ten college, spytałam, a miejsce, w którym teraz siedzimy – cóż kryje się pod tą piękną cegłą, z czego wyrastają dzięki, nie- uczesane trawy w ogrodzie? Jaka siła kryje się za gładką porcelaną, z której jadłyśmy nasz posiłek i (ta uwaga wy- mknęła się z moich ust, zanim zdałam ją powstrzymać) za wołwiną i suszonymi śliwkami z sosem mlecznym?

No cóż, zaczęła Mary Seton, koło roku 1860 – Ach, ale znasz przecież tę historię, przerwała, najwyraźniej znużona wielokrotnie powtarzaną opowieścią. Po chwili mówiła jed- nak dalej – wynajęto pokoje. Zwolano komisje. Adresowano koperty. Spisywano okólniki. Organizowano zebrania; od- czytywano listy; taki-a-taki obiecał tyle-a-tyle, natomiast pan —, przeciwnie, nie da ani pensa. Tygodnik „Saturday Review” był niesłychanie napaśliwy. Jak zdobyć fundusze na prowadzenie biur? Czy nie należałoby urządzić wyprzedzaży? Czy uda nam się znaleźć ładną dziewczynę do pierwszego rzędu? Zobaczmy, co też miał na ten temat do powiedzenia John Stuart Mill. Czy ktokolwiek zdola przekonać redaktora pisma —, aby wydrukował nasz list? Czy uda się namó- wić lady —, żeby go podpisała? Niestety, lady — wyje- chała z miasta. Tak to się właśnie odbywało sześćdziesiąt lat temu, kosztem ogromnego wysiłku i wielkiej ilości czasu. Do- piero po długiej walce i z największą trudnością udało im się zgromadzić trzydzieści tysięcy funtów<sup>1</sup>. Jest więc oczywiste,

<sup>1</sup> „Powiedziano nam, że powinniśmy się ubiegać co najmniej o 30 000 funtów.... nie jest to wielka suma, zważywszy, że w całej Wielkiej Bry- tanii, Irlandii i Koloniach istnieje obecnie tylko jeden tego rodzaju col- lege, a także zważywszy, jak łatwo udaje się zebrać ogromne sumy na szkoły dla chłopców. Jeśli jednak weźmie się pod uwagę, jak niewielu ludzi naprawdę życzy sobie, by kobiety zdobywały wykształcenie, suma ta okaże się bardzo znaczną” – Lady Stephen, *Life of Miss Emily Davies*.

wyjaśniła, że nie możemy jadać przepiórek, pijać wina ani zatrudniać służących z tacami na głowach. Nie możemy pozwolić sobie na kanapy i osobne pokoje. „Przyjemności”, dodała, cytując jakąś książkę, „będą musiały poczekać”<sup>2</sup>.

Na myśli o tych kobietach, które, pracując przez całe lata, miały trudności z uzbieraniem dwóch tysięcy funtów i którym cudem tylko udało się zebrać trzydzieści tysięcy, wezbrała w nas niepohamowana pogarda dla haniebnego ubóstwa naszej płci. Cóż w tym czasie robiły nasze matki, że nie zostały nam w spadku żadnych bogactw? Pudrowały sobie nosy? Przyglądały się oknom wystawowym? Wylegiwały się na słońcu w Monte Carlo? Na komodzie stało kilka fotografii. Matka Mary – o ile było to jej zdjęcie – mogła być utracjuszką jedynie w wolnych chwilach (miała trzynaścioro dzieci oraz męża, pastora kościoła anglikańskiego), ale jeśli tak było, to pełne uciech i rozpuszty życie pozostało dziwnie mało śladów radości na jej twarzy. Była to istota wyglądająca swojsko i sympatycznie; starsza dama z kraciastym szalem zarzuconym na ramiona i spiętym dużą broszką z kamką; siedziała w wiklinowym fotelu, starając się przekonać spaniela, by patrzył w obiektyw i miała rozbawiony choć lekko napięty wyraz twarzy kogoś, kto jest przekonany, że pies poruszy się, gdy tylko błysnie lampa. Otóż, gdyby ta dama zajęła się niegdyś interesami, gdyby została producentem sztucznego jedwabiu lub magnatem finansowym na giełdzie, gdyby tak została ze dwieście lub trzysta tysięcy funtów w spadku dla Fernham, wówczas siedziałabyś sobie dzisiaj bez żadnej troski, a tematem naszej rozmowy byłaby archeologia lub botanika, antropologia lub fizyka, istota atomu, matematyka, astronomia, relatywizm lub może geografia. Gdyby tylko pani Seton a także jej matka, a przedtem matka jej matki posiadały niegdyś wielką, sztukę zdobywania

<sup>2</sup> „Każdy pens, który udało się skądś wytkrobać, należało odłożyć na cel budowy, przyjemności trzeba było odłożyć na potem” – R. Strachey, *The Cause*.

pieniędzy, gdyby następnie przeznaczyły te pieniądze – tak jak czynili to ich ojcowie, a przedtem ojcowie ich ojców – na fundowanie stypendiów i katedr, i nagród naukowych specjalnie dla członkin swej własnej płci, no cóż – wówczas posilek nasz odbyłby się w zaciszu tego pokoju i składałby się zapewne z całkiem przyzwoitego ptaka i butelki wina; planowałybyśmy też, i nie byłoby to mrzonki, że resztę swego przyjemnego i uczciwego życia spędzimy w przytulnym schronieniu, jakie daje każda z sówicie opfacych profesji. Byłybyśmy, być może, podróżniczkami lub pisarkami; snułybyśmy się leniwie po najszcowniejszych zakątkach ziemi; siedziałabyśmy zamysłone na stopniach Partenonu lub też szłybyśmy o dziesiątej do jakiegoś biura i wracaty do domu o rozsądnej porze, powiedzmy o pół do piątej, po to, by popisać nieco poezji. Tylko gdyby pani Seton i jej podobne osoby zajmowały się interesami w wieku lat piętnastu, wówczas nie byłoby – tu właśnie pojawiła się owa paskudna rysa w moim rozumowaniu – wówczas nie byłoby Mary Seton. Co na to – zapytałam – sama Mary? Oto za oknem zapada październikowa noc, cudownie spokojna, z kilkoma gwiazdami zabłąkanymi wśród żółknących liści. Czy byłaby skłonna zrezygnować z naleźnej jej części tej nocy, a także (jej rodzina była przecież szczęśliwa, choć liczna) ze wspomnień zabaw i sprzeczek gdzieś w Szkocji, której nigdy nie przedstawiała chwalic za krystaliczność powietrza i smakowitość ciastek – czy oddałaby to wszystko po to, by Fernham mógł otrzymać dar z pięćdziesięciu, powiedzmy, tysięcy funtów, oddanych ot tak, jednym podziękowaniem pióra? Bo przecież, aby ufundować college, trzeba zapamiętać całkowicie o życiu rodzinnym. Zrobić fortunę i urodzić trzynaścioro dzieci – nie, tego nie zniostaby żadna ludzka istota. Przyrzynamy się faktem, powiedziatymy sobie. Najpierw mija dziewięć miesięcy, zanim urodzi się dziecko. Potem dziecko się rodzi. Następnie, przez jakieś trzy czy cztery lata trzeba to dziecko karmić. A kiedy się je już wykarmi, z pewnością trzeba się z nim przez jakieś pięć lat pobawić. Niestety, jak się zdaje, nie można pozwolić na to, by dzieci biegaty po ulicach sa-

mopas. Osoby, które widziały, jak zdziczałe dzieci biegają po ulicach w Rosji, twierdzą zgodnie, że nie jest to widok przyjemny. Panuje też pogląd, że natura człowieka kształtuje się między pierwszym a piątym rokiem życia. Jakie więc, spytałam, wspomnienia zabaw i sprzeczek miałabyś dzisiaj, gdyby pani Seton zajmowała się w tym czasie robieniem fortuny? Co byś wiedziała o Szkocji, jej wysmienitym powietrzu i pysznych ciastkach, i o całej reszcie? Ale są to zbyteczne pytania, bo gdyby tak było, wówczas w ogóle nie przyszedłabyś na świat. Co więcej, nie warto pytać, co by się stało, gdyby pani Seton i jej matka, a przedtem matka matki pani Seton zgromadziły w owych czasach wielkie bogactwa, by złożyć je następnie u fundamentów college'u i biblioteki – nie warto, ponieważ, po pierwsze, zarabianie pieniędzy nie było dla nich możliwe, a po drugie, gdyby nawet było możliwe, to i tak prawo zabraniało im posiadania tego, co zarobiły. Dopiero od czterdziestu ośmiu lat pani Seton może posiadać na własność choćby pensa. Przez wszystkie poprzednie stulecia to, co miała, było własnością jej męża – i świadomość tego faktu, być może, przyczyniła się nieco do tego, że pani Seton oraz jej matka trzymały się z dala od gierdy. Każdy zarobiony przeze mnie pens – tak zapewne mawiały – odbierze mi mój mąż, a następnie rozporządzi nim wedle swej mądrości, być może fundując stypendium lub katedrę w Balliol lub Kings. Zarabianie pieniędzy, nawet gdybym umiała je zarabiać, nie jest więc czymś, co interesuje mnie zbyttnio. Już lepiej zostawię to mojemu mężowi.

Tak czy owak, niezależnie od tego, czy można za to winić spoglądającą na spaniela starszą panią, nie ma najmniejszej wątpliwości, że z tej czy z innej przyczyny nasze matki fatalnie zaprzepaściły swoje interesy. Ani pensa nie można teraz było przeznaczyć na „przyjemności”; na przepiórki i wino, na pedłów i trawniki, książki i cygara, biblioteki i rozrywki. Już samo wzniesienie surowych murów na surowej ziemi było wszak wielkim wyczynem.

Tak rozmawiałymy stojąc przy oknie i spoglądając, tak jak spoglądają, tysiące osób każdej nocy, w dół, na kopuły

i wieże sławnego miasta, które rozpościerało się przed nami. Było niezwykle piękne i tajemnicze w jesiennej poświacie księżycowej. Stare kamienne mury wydawały się bardzo białe i bardzo szacowne. Pomyślałam o zgromadzonych tam, na dole, niezliczonych książkach; o portretach starych praatów i wielkich mężów, wiszących w wyłożonych drewnem salach; o witrażowych oknach, rzucających na chodnik dziwaczne kola i półksiężyce; o tablicach, popiersiach i inskrypcjach; o fontannach i trawnikach; o cichych pokojach wychodzących na ciche podwórce. A także (wybaczycie mi tę myśl, prawda?) o świetnym tytoniu, wysmienitym winie, głębokich fotelach i pięknych dywanach: o wykwincie, uprzejmości i dostojństwie, które są dziećmi luksusu, prywatności i przestrzeni. Nie ulega wątpliwości, że nasze matki nie zostały nam w spadku nic, co mogłoby się równać z tym wszystkim – nasze matki, którym z takim trudem przyszło uzbieranie trzydziestu tysięcy funtów, nasze matki, które rodziły trzynastoletnio dzieciom pastorem anglikańskim w St. Andrews.

Wróciłam więc do swej gospody, a przemierzając ciemne uliczki rozmyślałam o tym i owym, tak jak się zwykło rozmyślać pod koniec pracowitego dnia. Zastanawiałam się, dlaczego pani Seton nie miała pieniędzy, które mogłaby nam zostawić w spadku i o tym, jaki wpływ na ludzki umysł wywiera ubóstwo, a jaki bogactwo: pomyślałam też o tych dziewczynych dżentelmenach z kawałkami futerka na ramię, których widziałam rano i przypomniałam sobie, że jeśli się zagwiżdże, jeden z nich powinien rzucić się do biegu; i jeszcze o dźwiękach organów w kaplicy i o zamkniętych drzwiach biblioteki i o tym, jak przykro jest nie być wpuszczonej do środka i że, być może, jeszcze mniej przyjemnie jest być w środku zamkniętym; i rozmyślałam tak o bezpieczeństwie i zamożności jednej płci a ubóstwie i niepewności drugiej oraz o wpływie tradycji lub jej braku na umysł pisarza, doszłam wreszcie do wniosku, że czas już zwinąć pomietą skórę dnia, wszystkie zapísane nań spory i wrażenia, cały gniew i cały śmiech, że czas już to wszystko odrzucić za siebie, w krzaki. Po rozległym granatowym: nie-

## Rozdział drugi

bie przemysłki tysiące gwiazd. Poczulałam się samotna w obliczu czegoś niepojętego. Wszystkie ludzkie istoty leżały uśpione – wyprostowane, poziome, nieme. Nikt, zdawało się, nie drgnął nawet w którejkolwiek z uliczek Oxbridge. Nawet drzwi hotelu otworzyły się jakby poruszone niewidzialną dłońią – nikt nie pojawił się, by oświetlić mi drogę do pokoju, tak już było późno.

Jeśli zgodzicie się iść za mną dalej, zauważycie, że sceneria zmienia się teraz. Nadal opadają liście, ale tym razem w Londynie, nie w Oxbridge; spróbujcie też wyobrazić sobie pokój, podobny do tysięcy innych pokoi i rozciągający się z jego okna widok na kapelusze przechodniów, na samochody, ciężarówki i dalej, na inne okna, a na stole w tym pokoju czystą kartkę papieru, na której ktoś dużymi literami napisał: **KOBIETY I TWÓRCZOŚĆ LITERACKA**, ale nic poza tym. Obiad i kolacja w Oxbridge okazały się, niestety, mieć nieuchronny ciąg dalszy w postaci wizyty w British Museum. Trzeba było teraz odsądzić z moich liczących wrażeń wszystko to, co było w nich osobiste i przypadkowe i uzyskać esencjonalny olejek czystej prawdy. Bowiem owa wizyta w Oxbridge, zjedzony tam obiad i kolacja, dały początek istnej powodzi pytań. Dlaczego mężczyźni piją wino, a kobiety wodę? Jakli wpływ na twórczość literacką ma ubóstwo? Jakie warunki muszą zostać spełnione, by powstały dzieła sztuki? - tysiące pytań przychodziły mi do głowy jednocześnie. Potrzebne były jednak odpowiedzi, nie pytania; odpowiedź zaś uzyskuje się w jeden tylko sposób — zwracając się po nią do ludzi uczonych i pozabawionych uprzedzeń, do ludzi, którzy wzniesili się racjonalną myślą ponad skłócone języki i zagubione ciała zwykłych śmiertelników, a plody swych badań wydali w dziełach, które obecnie znaleźć można w bibliotece British Mu-

seum. Jeśli bowiem nie da się znaleźć prawdy w British Museum, to gdzieś, spytałam samą siebie, biorąc do ręki notatnik i ołówek, to gdzież jest prawda?

Tak wyposażona, tak pewna swego celu i żądna wiedzy, wybrałam się na poszukiwanie prawdy. Dzień, chociaż nie padał deszcz, był ponury, a sąsiadujące z muzeum ulice pełne były otwartych okienek piwnicznych, do których, jeden za drugim, wrzucano worki z węglem; wózki podjeżdżały, zostawiając na chodniku związane sznurkiem pudła, a w nich zapewne całą garderobę jakiejś szwajcarskiej czy włoskiej rodziny, która poszukiwała tu szczęścia, schronienia lub innych godnych pożądania dóbr, jakie zimową porą znaleźć można w pensjonatach dzielnicy Bloomsbury. Ci sami co zwykle zachrypli mężczyźni paradowali po ulicy z wartywanami na wózkach. Niektórzy krzyczeli, inni śpiewali. Londyn przypominał warsztat. Londyn przypominał potężną maszynę. Jakaś siła przerzucała nas wszystkich to w przód, to w tył, po jednolitej powierzchni, tak, by w efekcie powstał pewien wzór. Oto rozwarły się drzwi wahadłowe – stoimy teraz pod przestrzenną kopułą, niczym myśli pod olbrzymią tysiączką, pięknie przyozdobioną wieńcem sławnych nazwisk. Podchodzimy do lady; bierzemy czystą kartkę papieru; otwieramy odpowiedni tom katalogu i.... każda z tych pięciu kropek oznacza jedną minutę osłupienia, zdumienia, oszołomienia. Czy macie pojęcie, ile książek o kobietach powstaje w ciągu jednego tylko roku? Czy macie pojęcie, ile z nich piszą mężczyźni? Czy jesteście świadome tego, że stanowiąc bodaj najszerzej dyskutowane zwierzę świata? Przybyłam tu z zeszytem i ołówkiem, zamierzając spędzić ranek przy lekturze i sądziłam, że do południa zdążę przełać prawdę na karty mojego zeszytu. Musiałabym jednak zamienić się w stado stoni albo w chmarę pajaków – tu zaczęłam rozpaczliwie szukać w pamięci zwierząt uważanych za najbardziej długowieczne i wielookie – aby poradzić sobie z tym wszystkim. Musiałabym mieć stalowe szpony i mosiężny dziób, aby się przebić przez samą tylko skorupę. Czy kiedykolwiek zdolałam odnaleźć drobiny prawdy ukryte w tej gorze papieru, spyta-

tam samą siebie, i z desperacją zaczęłam przebiegać wzrokiem długą listę książek. Już same tytuły dawały sporo do myślenia. Byłoby naturalne, gdyby kwestia istoty płciociągła lekarzy i biologów; jest jednak rzeczą zdumiewającą i trudną do wyjaśnienia, że płęć – to znaczy kobieta – pojęcia również sympatycznych esejistów, lekoopalcych powieściopisarzy, młodych mężczyzn ze stopniem magistra, młodych mężczyzn bez stopnia magistra, a także mężczyzn, których kwalifikacje w kwestii kobiecej ograniczają się do tego, że sami nie są kobietami. Niektóre z tych książek były, na pierwszy rzut oka, frywolne i żartobliwe; wiele jednak było dzieł poważnych, proroczych, moralizatorskich, pełnych namnień. Lektura samych tylko tytułów przywodziła na myśl niezliczonych nauczycieli i kaznodziejów, którzy wspinają się na podesty i mównice, by następnie wygłaszać mowy, których długość znacznie wykracza poza godzinę przeznaczoną zwykle na podobne, poświęcone jednej tylko kwestii, wystąpienia. Było to zjawisko doprawdy przedziwne; przy czym wszystko wskazywało na to – tu odszukałam w katalogu literę M – że ogranicza się ono do jednej tylko płci. Kobiety nie piszą książek o mężczyznach – przyznam, że odkrycie to przyjąłam z ulgą, gdybym bowiem musiała najpierw przeczytać wszystko, co mężczyźni napisali o kobietach, potem zaś wszystko, co kobiety napisały o mężczyznach, to aloeś, który kwitnie raz na sto lat, zdążyłby zakwitnąć dwukrotnie, zanim zdołałabym choćby dotknąć piórem papieru. Wybrałam więc na chybił trafił około tuzina tytułów, złożyłam moje karteczki na drucianej tace i zaczęłam czekać przy swoim stoliku, wśród innych poszukiwaczy esencji czystej prawdy.

Co było jednak przyczyną tej zdumiewającej dysproporcji, zastanawiałam się, rysując koła młyńskie na karteczkach, dostarczonych mi przez brytyjskiego podatnika w zupełnie innych celach. Dlaczego kobiety, jeśli wierzyć katalogowi, są o tyle bardziej interesujące dla mężczyzn, niż mężczyźni dla kobiet? Fakt ten wydał mi się niezmiernie dziwny, a mój umysł zaczął krążyć, przedstawiając sobie postacie mężczyzn, którzy spędzali swój czas na pisaniu książek o kobietach; czy

byli młodzi, czy starzy, żonaci czy samotni, czerwononosi a może garbaci – myśl, że stanowią przedmiot tak wyrażonej uwagi, wydała mi się nawet nieco pochlebna, pod tym oczywiście warunkiem, że nie byłaby to uwaga jedynie chorych i kalek – tu jednak moje frywolne rozmyślania przerwała la-wina książek, która zwała się na mój stolik. Teraz zaczęły się prawdziwe kłopoty. Student, któremu metodologię badań wpojono w Oxbridge, z pewnością bez większego trudu po-trafił bezpiecznie przeprowadzić swoje pytanie mimo wszel-kich przeszkód – jak pasterz owieczkę – tak, by wreszcie, jak owieczka do zagrody, trafił do właściwej sobie odpowiedzi. Na przykład student zajmujący sąsiedni stolik przepisywał coś pilnie z jakiegoś podręcznika, mniej więcej co dziesięć minut wyłuskując zeń – byłam o tym przekonana – grudki najczy-stszej prawdy. Świadczyły o tym niezbitcie jego pełne zado-wolenia pochrapykiwania. Jeśli jednak nie miało się szczęścia być przeskolonym na uniwersytecie, nasze pytanie bynaj-mniej nie daje się zapędzić do swej zagrody – przeciwnie, biega w bezładzie to tu to tam, nieczym wystraszone stadko, a za nim cała sfera psów gończych. Profesorowie, nauczy-ciele, socjologowie, pastorki, powieściopisarze, eseści, dziennikarze, a także mężczyźni, których kwalifikacje polega-ły na tym tylko, że sami nie byli kobietami, wszyscy oni ści-gali zajądła moje jedno proste pytanie – Dlaczego kobiety są ubogie? – aż zrobiło się z niego pięćdziesiąt pytań, aż wre-szcie owe pięćdziesiąt pytań wskoczyło w panice do potoku i popłynęło z prądem. Wszystkie kartki mojego zeszytu zaba-zgrane były notatkami. Aby jaśniej przedstawić Wam ówczes-ny stan mojego umysłu, odczytam kilka z nich; dodam tyl-ko, że strona, z której pochodziła, zatytułowana była po pro-siu KOBIECY I UBÓSTWO, dużymi literami, zaś po tytule nastę-powało coś takiego:

Sytuacja kobiet w średnowieczu;  
Zwyczaże kobiet na Wyspach Fidżi;  
Oddawanie czci kobietom jako boginiom przez;  
Zmysł moralny kobiet słabszy niż;

Idealizm kobiet;  
Sumiennosc kobiet wieksza niz;  
Mieszkańcy Wysp Południowych, wiek dorastania;  
Atrakcyjność i powab kobiet;  
Oddawanie kobiet w ofierze dla;  
Mozgu kobiety mniejszy rozmiar niz;  
Nieświadomość kobiety głębsza niz;  
Owłosienie ciała kobiety mniej obfite niz;  
Umysłową, moralną i fizyczna niższość kobiet od;  
Kobiety młodość do dziecka;  
Długość życia kobiet większa niz;  
Mięśnie ciała kobiet słabsze niz;  
Siła uczuć kobiet w porównaniu z;  
Próżność kobiet;  
Wyższe wykształcenie kobiet;  
Opinia Szekspira na temat kobiet;  
Opinia Lorda Birkenheada na temat kobiet;  
Opinia La Bruyère'a na temat kobiet;  
Opinia Doktora Johnsona na temat kobiet;  
Opinia Oscara Browninga na temat kobiet.....

Tu wzięłam głęboki oddech i dopisałam na marginesie: dla-czego Samuel Butler twierdzi: „Mądrzy mężczyźni nigdy nie mówią, co myślą o kobietach”? Mądrzy mężczyźni nie mówią, jak się zdaje, o niczym innym. Najgorsze jest jednak to – pomyślałam przechylając się do tyłu w swoim krześle i patrząc na wielką kopułę, pod którą stanowiąłam teraz je-dną i nieco znękaną myśl – najgorsze jest to, że mądrzy mężczyźni nigdy nie myślą o kobietach tego samego. Oto Pope:

Większość kobiet nie ma zupełnie charakteru.

A oto La Bruyère:  
*Les femmes sont extrêmes; elles sont meilleures ou pires que les hommes.*

Wszak to rażąca sprzeczność wypowiedzi dwóch bystrzych obserwatorów, którzy byli sobie współcześni. Napoleon był wręcz przeciwnego zdania<sup>3</sup>. Czy mają dusze, czy też dusz nie mają? Niektóre spośród dzikich ludów twierdzą, że nie. Inne natomiast utrzymują, że kobiety są półbogami i oddają im z tego powodu cześć<sup>4</sup>. Są mędrcy, którzy utrzymują, że są one płyt- sze umysłowo niż mężczyźni, inni zaś przypisują im większą głębię świadomości. Goethe oddawał im cześć; Mussolini nimi pogardza. Gdzie się nie spojrzy, mężczyźni myślą o kobietach, a każdy myśli co innego niż pozostali. Nigdy nie zorientuję się w całym tym bałaganie, stwierdziłam zerkając z zadzirością na mojego sąsiada, który robi niesłychanie porządne notatki, punkty i podpunkty nazywając czasem A, B lub C, podczas gdy mój własny zeszyt tonął wśród szalonych zagrożeń i sprzecznych zapisków. To było przerażające; to było rozpaczliwe; to było upokarzające. Prawda prześliznęła mi się między palcami. Nie została mi nawet kropelka.

Nie mogę przecież wrócić do domu, pomysłam i przedstawić – jako swój wkład w wiedzę o kobietach i twórczości literackiej – twierdzenia, że kobiety są mniej owłosione od mężczyzn, lub też że mieszkający Wysp Południowych osiągają dojrzałość mając lat dziewięć – a może dziewięćdziesiąt? – widzicie, nawet moje pismo stało się nieczytelne wśród ogólnego zamieszania. To było kompromitujące – tylko tyle mieć do zaprezentowania po całym przedpołudniu pracy.

<sup>3</sup> „Mężczyźni wiedzą dobrze, że nie sposób im stawać w szranki z kobietami, dlatego też wybierają spośród nich najsłabsze i najgłupsze. Gdyby nie wierzyli w wyższość kobiet, nie obawialiby się wszak, że będą one wiedzieć tyle samo co oni... Aby oddać płci pięknej sprawiedliwość, muszę szerze dodać, iż w późniejszej rozmowie powiedział mi, iż mówi wówczas poważnie” – Boswell, *The Journal of a Tour to the Hebrides*.

<sup>4</sup> „Starożytni Germanie wierzyli, że w kobietach jest coś świętego, dlatego też zwracali się do nich jako do wyroczni” – Frazer, *Złota gałąź*.

Jeśli jednak nie byłam w stanie uchwycić żadnej prawdy o przeszłości K. (jak zaczęłam ją nazywać, żeby było krócej), to po cóż zwracać sobie głowę jej przyszością? Nagabywanie w tej sprawie owych panów, którzy wyspecjalizowali się w kobiecie oraz jej wpływie na to i owo – politykę, dzieci, płace, moralność – wydało mi się czystą stratą czasu, mimo iż panowie ci byli liczni i świątli. Równie dobrze można było w ogóle nie otwierać ich książek.

Jednak rozmyślając w ten sposób, zaniemiał jak mój sąsiad rozsądnie zapisywać wnioski, w swej desperacji i zobojętnieniu zupełnie nieświadomie rysowałam pewien obrazek. Rysowałam twarz, a właściwie postać. Należały one do niejakiego Profesora von X, który zajęty jest obecnie pisaniem swego monumentalnego dzieła p. t. *Umysłowa, moralna i fizyczna niższość płci żeńskiej*. Na moim obrazku nie wyglądał on na mężczyznę, który mógłby się podobać kobietom. Był ciężkiej budowy; miał wielką szczękę i – aby to zrównoważyć – bardzo małe oczy; a przy tym był bardzo czerwony na twarzy. Jej wyraz wskazywał, że dręczy go jakiś uczucie, które każe mu dźgać piórem kartkę papieru, zupełnie jakby pisząc chciał jednocześnie zabić jakiegoś wstrętnego owada. Lecz nawet zabicie go nie dawało mu zadowolenia; musiał go jeszcze dobić; a nawet wówczas pozostał mu jeszcze jakiś powód do gniewu i irytacji. Czyżby była to wina jego żony, zadałam sobie pytanie, patrząc na rysunek. Czyżby zakochała się w oficerze kawalerii? Czy oficer był smukły, elegancki i chodził odziany w astrachan? A może – by posłużyć się teorią Freuda – kiedy profesor był jeszcze dzieckiem w kołysce, wyśmiała go jakaś śliczna dziewczyna? Bo przecież, pomysłam, nawet w kołysce nie mógł być takim samym dzieckiem. Jakże by jednak nie były przyczyny tego faktu, coś sprawiło przecież, że profesor wyglądał gniewnie i brzydko na moim obrazku, kiedy tak pisał swe wielkie dzieło o umysłowej, moralnej oraz fizycznej niższości kobiet. Zakończyć bezowocne przedpołudnie rysując obrazki – to świadczy wręcz o lenistwie. Jednak właśnie w chwilach naszej beczeczności, a także w snach, wypływa czasem na po-



wierzbnię jakąś głęboko utajona prawda. Prosie ćwiczenie z psychologii, nie zastępujące nawet na szacowne imię psychoanalizy, pokazało mi, gdy spojrzalam raz jeszcze na kartkę, że mój szkic gniewnego profesora sam powstał w gniewie. To gniew przechwycił mój ołówek, podczas gdy ja sama oddałam się marzeniom. Co jednak miał tu do roboty gniew? Ciekawość, zdziwienie, rozbawienie, nuda – tak, wszystkie te emocje byłam w stanie prześledzić i nazwać po imieniu, gdy ogarniały mnie, jedna po drugiej, w ciągu tego ranka. Czyżby gniew, ten czarny wąż, czał się między nimi? Owszem, odpowiedział mój szkic, właśnie gniew. Myśl ta skierowała mnie od razu do jednej książki, jednego zdania, które sprawiło, że zbudził się demon: chodziło o pogląd profesora na temat umysłowej, moralnej oraz fizycznej niższości kobiet. Moje serce zabiło nagle mocniej; policzki zaczęły płonąć. Tak, ogarniał mnie gniew. Było to może głupie, ale z pewnością nie dziwne. Nikt przecież nie lubi, gdy mówi mu się o jego wrodzonej niższości wobec małego człoweczka – tu spojrzalam znów na siedzącego obok studenta – który dyszy ciężko, ma zwyczaj nosić krawat z gotowym węzłem i który nie golił się od dwóch tygodni. No cóż, każdy z nas nosi w sobie pewną głupią próżność. Leży to wszak w naturze ludzkiej, pomyślałam, i znów zaczęłam rysować młyńskie koła i zawijas, pokrywając nimi stopniowo twarz profesora, tak że wreszcie wyglądał jak płonący krzak lub ognista kometka – a w każdym razie jak zjawą, która w niczym nie przypominała już istoty ludzkiej. Profesor nie był teraz niczym więcej niż tylko wiązką chrustu płonącą na szczycie Hampstead Heath. Wkrótce mój gniew, skoro już zrozumiałam jego źródło, ulotnił się; została jednak ciekawość. Jak wyjaśnić gniew profesorów? Dlaczego byli wściekli? Jeśli przeanalizować wrażenie, jakie zostawiały po sobie owe książki, okaże się, że zawsze był w nich element żaru. Ow żar przybierał liczne kształty; pojawiał się w satyrze, w sentymentalizmie, w ciekawości, w gwałtownych przycianach. Był jednak i ten drugi element, obecny równie często, choć trudniejszy do rozpoznania. Nazwałam go gniewem. Ale był to gniew, któ-

ry zstąpił pod ziemię i zmieszał się tam z różnego rodzaju innymi uczuciami. Sądząc po jego dziwacznych skutkach, był to gniew zamaskowany i złożony, nie zaś zwykły i otwarty. Tak czy inaczej, pomyślałam mierząc wzrokiem stos tomów na stoliku, wszystkie te książki są dla moich celów całkowicie bezwartościowe. Chodzi o brak wartości naukowej, bo pod względem czysto ludzkim są niezmiernie pouczające: pełno w nich rzeczy ciekawych, nudnych, a także dziwacznych faktów o obyczajach mieszkańców Wysp Fidzi. Pisano je przy czerwonym blasku uczuć, nie zaś przy białym świetle prawdy. Należy je zatem odłożyć na stojący pośrodku biblioteki stół, by każda z nich mogła spokojnie wrócić do swej komórki gdzieś w tym ogromnym plastrze miodu. Ten jeden fakt – fakt gniewu – oto wszystko, co zdołam uzyskać dzięki wysiłkom tego przedpołudnia. Profesorowie – zrosli się już w moich myślach w jedną całość – pełni byli gniewu. Ale dlaczego, zadawałam sobie pytanie, kiedy już zwróciłam książki, dlaczego, powtórzyłam, stojąc pod kolumnadą wśród gołębi i prehistorycznych łodzi wiosłowych, dlaczego byli wściekli? I wciąż obracając w myślach to pytanie, powoli udałam się na poszukiwanie odpowiedniego miejsca na postłek. Oto zagadka, której rozwiązanie zajmie mi cały czas potrzebny na obiad w małej restauracji gdzieś w pobliżu British Museum. Jakiś wcześniejszy amator obiadów zostawił na krześle południowe wydanie wieczornej gazety, czekając więc na kelnera, zaczęłam leniwie czytać nagłówki. Przez sam środek strony przebiegała wstęga bardzo dużych liter. Ktoś pobił ważny rekord w Afryce Południowej. Pomniejsze wstęgi ogłaszają, że sir Austen Chamberlain jest właśnie w Genewie. W pewnej piwnicy znaleziono topór do mięsa, a na nim ludzki włos. Sędzia — wypowiedział się w Sądach Rozwodowych w kwestii Bezwestydu Kobiet. Po całej gazecie porozsiewane były strzępki najnowszych wiadomości. Pewną aktorkę filmową opuszczono na linach ze szczytu góry gdzieś w Kalifornii, po czym zostawiono ją tak, zawieszoną w powietrzu. Będzie mgła. Pomyślałam, że ktoś, kto przejazdem tylko pojawiłby się na tej planecie, z pewnością zorientowałby się,

nawet na podstawie tych bezładnie rozsianych świadectw, że w Anglii panuje patriarchat. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł nie dostrzec uprzywilejowanej pozycji profesora. To do niego należały władza, pieniądze i wpływy. To on był właścicielem gazety, jej redaktorem naczelnym oraz zastępcą redaktora. To on był ministrem spraw zagranicznych i sędzią. To on grał w krykieta; to on był właścicielem koni wyścigowych i jachtów. Jako dyrektor firmy, która wypłaca dwieście procent swoim udziałowcom, ofiarowywał miliony datki organizacjom charytatywnym i college'om, którymi zresztą sam kierował. To on zawiesił w powietrzu aktorkę filmową. To on sam zdecydował wreszcie, czy wlos na toporze do mięsa jest istotnie ludzkim wlosem; po czym skazał lub uniewinni mordercę, a następnie powiesił go lub wypuścił na wolność. Za wyjątkiem mgły, zdawał się kontrolować wszystko. A jednak był wściekły. Rozpoznałam to po tym, że czytając jego rozważania o kobietach myślałam nie o tym wcale, co miał mi do powiedzenia, lecz o nim samym. Ktoś, kto argumentuje na chłodno, myśli tylko o toku swej argumentacji; zaś jego czytelnik także, chcąc nie chcąc, kieruje uwagę na argumenty. Gdyby profesor pisał o kobietach na chłodno, gdyby na poparcie swych poglądów użył niezbytich dowodów, gdyby nie było widać po nim choćby śladu pragnienia, by wnioski były takie a nie inne, wówczas i ja nie odczułabym gniewu. Należałoby wtedy po prostu przyjąć do wiadomości pewien fakt, tak jak przyjmuję się fakt, że groszek jest zielony a kanarek żółty. Trudno, widać tak musi być, rzekłabym wówczas do siebie. Odczułam jednak gniew, ponieważ on się gniewał. Czy to nie absurdalne, pomyślałam przeglądając popołudniówkę, by złość odczuwał mężczyzna rozporządzający tak wielką władzą? A może, zastanowiłam się, odwracając gazetę, gniew jest nieodłącznym towarzyszem władzy? Ludzie bogaci, na przykład, często odczuwają gniew, podejrzewają bowiem, że biedni chcą im odebrać bogactwo. Gniew profesorów, choć właściwie należałoby ich nazywać patriarchami, wynikać może częściowo z tej właśnie przyczyny, częściowo zaś z innej, która kryje się nieco głębiej

pod powierzchnią. Być może wcale nie jest to „gniew”; przecież w prywatnych związkach z kobietami ci sami mężczyźni często bywają pełni podziwu i oddania. Możliwe, że obstając odrobinnę zbyt uparczywie przy niższości kobiet, profesor nie miał wcale na uwadze niższości kobiet właśnie, ale raczej swoją własną wyższość. To ją właśnie starał się ochronić – a robił to gorączkowo i może z nieco zbyt wielkim naciskiem, ponieważ jego wyższość stanowiła dlań niestycharnie cenny klejnot. Życie obu płci – tu popatrzyłam, jak przedstawiciele jednej i drugiej przechodzili obok, torując sobie drogę w tłumie przechodniów – jest mozolne, trudne, złożone z nieustannych zmagani. Wymaga ogromnej odwagi i siły. Bardziej niż czegokolwiek innego wymaga jednak – człowiek jest bowiem istotą żyjącą złudzeniami – wiary w samego siebie. Bez wiary w siebie jesteśmy bezbronni niczym niemowlęta w kołyskach. Jakże jednak wytwarzać w sobie tę niepokojącą, a zarazem bezcenną cechę i to odpowiednio szybko? Oczywiście wierząc, że inni są od nas gorsi, czując, że mamy jakąś wrodzoną wyższość – w postaci bogactwa, pozycji społecznej, prostego nosa lub portretu dziadka namalowanego przez Romneya – jeśli chodzi o pychę, wyobraźnia ludzka nie zna przecież granic – nad innymi ludźmi. Dlatego też patriarcha, który musi zdobywać i rządzić, tak bardzo potrzebuje wierzyć, iż wiele osób, przynajmniej połowa ludzkości, jest z natury gorsza od niego. Ta wiara to, w istocie, jedno z głównych źródeł jego siły. Dlaczego by jednak, pomyślałam, nie wypróbować prawdy tego sprostowania na samym życiu? Czy pomoże ono rozwiązać część owych psychologicznych zagadek, które zapisujemy codziennie na marginesie życia? Czy na przykład zrozumieniem teraz, dlaczego tak bardzo zdumiałam się kilka dni temu, kiedy to Z, najbardziej ludzki i skromny z mężczyzn, biorąc do ręki książkę Rebecki West przeczytał kawalek, po czym wykrzyknął: „Toż to wójniująca feministka! Ona twierdzi, że mężczyźni to snoby!” Okrzyk ten, dla mnie tak zdziwiający – dlaczego bowiem panna West ma być wójniującą feministką z tej tylko przyczyny, że wypowiedziała o płci przeciwniej zdanie, które, choć

z pewnością nie było pochlebne, mogło być przecież prawdziwe? – otóż okrzyk ten nie był jedynie jękiem zranionej próżności; był to protest przeciwko naruszeniu prawa pana Z. do wiary w siebie. ~~Pod~~ Od wielu wieków kobiety służą mężczyznom za zwierciadła, posiadające tę magiczną i bardzo użyteczną moc, że odbijają postać męską w co najmniej dwukrotnym powiększeniu. Gdyby nie owa zdolność, ziemię do dziś pokrywałaby bagna i dzungle. Nie zazналиbyśmy chwwały wszystkich naszych wojen. Nadal rylibyśmy kontury saren na resztkach kości baranich i prowadzili handel wymienny oddając krzemień za owczą skórę lub za jakąś prostą ozdobę, która zadowoliłaby nasze nieskomplikowane gusta. Nie zaświtałaby nam myśl o nadludziach i Palcu Opatrzności. Car i cesarz nigdy nie nosiliby koron i nigdy by ich nie stracili. W cywilizowanym społeczeństwie lustra służą najróżniejszym celom, z pewnością są jednak niezbędne do wszelkich czynów gwałtownych i heroicznych. Dlatego Napoleon i Mussolini tak bardzo upierają się przy niższości kobiet; gdyby nie owa niższość, zanikłaby kobieca moc powiększania. Wyjaśnia to, przynajmniej częściowo, dlaczego kobiety są mężczyznom tak niezbędne. Wyjaśnia też, dlaczego mężczyźni ogarniają tak wielki niepokój w obliczu krytyki wypowiedzianej przez kobiety; dlaczego ona nie może powiedzieć, że ta książka jest kiepska, a tamten obraz słaby, czy czegoś w tym rodzaju, nie powodując przy tym nieporównanie większego gniewu, niż mężczyzna, który powiedziałby dokładnie to samo. Bo kiedy ona zaczyna mówić prawdę, postać w zwierciadle kurczy się i zanika męska zdolność do życia. Jakże bowiem miałby mężczyzna dalej wygłaszać sądy, cywilizować dzięki ludzi, stanowić prawa, pisać książki, ubierać się elegancko i wygłaszać toasty na bankietach, jeśli nie będzie mógł obejrzeć siebie dwa razy dziennie, przy śniadaniu i kolacji, w przynajmniej dwukrotnym powiększeniu? Tak rozmyślałam, krusząc chleb, mieszając kawę i spoglądając od czasu do czasu na przechodzących ulicą ludzi. ~~Wizja~~ Wizja siebie w lustrze powiększającym jest rzeczą najwyższej wagi, ponieważ to ona daje mu napęd życiowy, to ona stymuluje system ner-

wowy. Odbierzcie mu ją, a mężczyzna może umrzeć, jak umiera narkoman pozbawiony dawki kokainy. Pod urokiem tego złudzenia, pomyślałam patrząc przez okno, zmierzając do pracy połowa ludzi idących właśnie chodnikiem. W jego mitym świetle zakładają codziennie rano płaszcze i kapelusze. Zaczynają swój dzień pełni wiary w siebie, umocnieni, przekonani, że na herbatce u panny Smith wszyscy ich podziwiają; wchodząc do jej bawialni mówią do siebie: „Jestem lepszy niż połowa osób w tym pokoju”, dlatego też przemawiają z ową wiarą i pewnością siebie, których daleko siężne skutki odczuwamy w życiu publicznym i które prowadzą do najdziwniejszych zapisków na marginesie prywatnych rozmyślań.

Jednak moje badania w niebezpiecznej i fascynującej dziedzinie psychologii drugiej płci – mam nadzieję, że same zaczniecie ją zgłębiać, gdy będziecie miały pięćset funtów rocznie tylko dla siebie – zostały przerwane, gdyż trzeba było zapłacić rachunek. Wyniósł on pięć szylingów i dziewięć pensów. Podatam kelnerowi banknot dziesięcioszylingowy, on zaś poszedł po resztę. W portmonetce miałam jeszcze jeden taki banknot; zauważyłam go, ponieważ zdolność mojej portmonetki do automatycznego rozmnażania banknotów dziesięcioszylingowych nadal zapiera mi dech w piersi. Społeczństwo zaopatruje mnie w kurczaki i kawę, w łóżka i nodlegi w zamian za pewną liczbę kawalków papieru, które zostawiła mi moja ciotka, a to z tej tylko przyczyny, że nosimy to samo nazwisko.

Trzeba Wam bowiem wiedzieć, że moja ciotka, Mary Beton, zabiła się spadając z konia podczas przejażdżki, na którą udąta się kiedyś w Bombaju, by się nieco przewietrzyć. Wiadomość o spadku dotarła do mnie pewnego wieczora, w tym samym mniej więcej czasie, gdy kobiety otrzymały prawo głosu. Do mojej skrzynki wpadł list od adwokata i dowiedziałam się, że ciotka zapisała mi pięćset funtów rocznie aż do końca moich dni. Przyznam, że z tych dwu rzeczy – prawa głosu i pieniędzy – pieniądze wydały mi się nieporównanie bardziej istotne. Do tamtej chwili utrzymywałam się wypra-

szając dorywcze prace w gazetach, pisując to o wystawie ołów, to znów o jakimś weselu; zarobiłam też parę funtów adresując koperty, czytając na głos starszym paniom, robiąc sztuczne kwiaty, ucząc alfabetu dzieci w jakimś przedszkolu. Takie właśnie zajęcia były dostępne dla kobiet przed rokiem 1918. Obawiam się, że nie ma potrzeby szczegółowo opisywać Wam, jak ciężka jest tego rodzaju praca, bo zapewne znacie kobiety, które ją wykonywały; nie będę też wyjaśniać, jak trudno jest się utrzymać za zarobione w ten sposób pieniądze, bo być może same już tego próbowałyście. To jednak, co do dziś wspominam jako najboleśniejsze, to trujący strach i gorycz, które rodziły we mnie tamte dni. Przede wszystkim dzień w dzień trzeba było robić to, czego nie chciało się robić, i to jak niewolnica, schlebając i płaszcząc się, co, być może, nie zawsze było konieczne, ale wtedy takie się wydawało, a stawka była zbyt wielka, by warto było ryzykować; w dodatku nieustannie towarzyszyła mi myśl o tym jednym jedynym darze, którego ukrywanie jest jak śmierć – dar to niewielki, ale także cenny dla właściciela. Dręczyła mnie myśl, że to coś umiera, a wraz z nim ja sama i moja dusza – i wszystko to stało się niczym pożerająca wiosenne kwiaty rdza, która wgrzyza się w samo serce drzewa. Jednakże, jako się rzekło, zmarła moja ciotka; i za każdym razem, gdy rozmięliam na drobne dziesięć szylingów, ściera się odrobina rdzy, znikają po trochu lęk i gorycz. Doprawdy, pomyślałam, wrzucając do torebki garść monet, niezwykła to rzecz, kiedy się wspomni gorzki smak tamtych dni, jak wielką zmianę temperamentu spowodować może staty dochód. Żadna siła tego świata nie może odebrać mi moich pięciuset funtów. Jedzenie, dach nad głową i ubranie zapewnione mam już na zawsze. Znika więc nie tylko wysiłek i praca, lecz także nienawiść i gorycz. Nie muszę nienawidzić żadnego mężczyzny; żaden z nich nie jest w stanie mnie skrzywdzić. Nie muszę pochlebiać żadnemu mężczyźnie; żaden nie ma mi nic do zaoferowania. W ten sposób niepostrożenie zaczęłam przybierać zupełnie nową postawę wobec drugiej połowy ludzkiego gatunku. Wydało mi się

absurdalne winić jakąkolwiek grupę społeczną lub płeć jako całość. Wielkie masy ludzkie nigdy nie bywają odpowiedzialne za to, co robią. Kierują nimi instynkty, nad którymi nie panują. Oni także, patriarchowie, profesorzy, napotykali na swej drodze nie kończące się trudności, straszliwe przeszkody. Ich edukacja była pod wieloma względami równie niewystarczająca jak moja. Wytworzyła w nich wady równie wielkie jak moje. Mieli, co prawda, pieniądze i władzę, lecz kosztem tego, że musieli na własnej piersi hodować orła czy też sępa, który nieustannie szarpał ich wątrobę, wyskubywał płuca – ów instynkt posiadania, szaleństwo zdobywania, które nieustannie kazały im pożądać cudzych pól i cudzego dobytku, tworzyć granice i sztandary; budować okrutny wojenne i produkować trujące gazy; poświęcać dla sprawy swoje życie i życie swoich dzieci. Przejdźcie kiedyś pod Łukiem Admiralicji (dotarłam właśnie do tego pomnika), przepaszajcie się wzdłuż dowolnej aleji poświęconej trófeom i działom, i zastanówcie się, ku czyjej chwale powstają. Albo przyjrzyjcie się w świetle wiosennego słońca maklerowi gietdowemu i wielkiemu adwokatowi, jak znikają w drzwiach urzędów po to, by zarabiać tam pieniądze, a potem więcej pieniędzy i jeszcze więcej, podczas gdy jest niewątpliwym faktem, że pięćset funtów rocznie pozwala człowiekowi żyć wygodnie i grać się na słońcu. Nieprzyjemnie jest, pomyślam, nosić w sercu podobne instynkty. Rodzą się one z warunków życia; karmią się brakiem cywilizacji, pomyślałam, przyglądając się pomnikowi księcia Cambridge, a zwłaszcza piórom w jego trójgraniastym kapeluszu, z uporczywością, której zapewne nigdy przedtem nie zaznały. Kiedy zaś zdątam sobie sprawę z przykrych stron władzy, lęk i gorycz stopniowo zaczęły przeobrażać się w litość i tolerancję; zaś po roku czy dwóch litość i tolerancja minęły również, pojawiło się natomiast największe możliwe wyzwoleństwo, jakim jest wolność myślenia o rzeczach samych w sobie. Tamten budynek, na przykład – czy on mi się podoba? A tamten obraz, czy jest piękny, czy nie? Czy uważam, że to dobra czy kiepska książka? W istocie, spadek po mojej ciotce odstąpił mi

niebo; wielką, imponującą postać jakiegoś mężczyzny, którą Milton polecał memu nieustannemu wielbiemu, zastąpił widokiem otwartego nieba.

Tak rozmyślając, takie snując rozważania, ruszyłam w drogę powrotną do mojego domu nad rzeką. Zapalano właśnie latarnie, a Londyn dotknęła od godzin porannych jakaś nie dająca się opisać przemiana. Było to tak, jakby po całodziennym wysiłku potężna maszyna utkała z naszą pomocą kilka jardów czegoś wstrząsającego pięknego – migoczącą czerwonymi ślepiami ognistą materię, zięjącego ogniem brunatnego potwora. Nawet wiatr zdawał się topotać niczym flagą, smagając domostwa, wstrząsając nagromadzonymi w spiżarniach zapasami.

Moja mała uliczka pozostała jednak przytulna i zaciszna. Malarz schodził po drabinie; nianka ostrożnie popychała tam i z powrotem wózek, zmiierzając na herbatkę do pokoju dzieciennego; tragarz składał jeden na drugim puste worki po węglu; kobieta, która prowadzi sklepik spożywczy, przeliczała utarg z całego dnia dłońmi w czerwonych rękawiczkach. Tak byłam jednak pochłonięta problemem, którym mnie obarczyłyście, że nawet tych zwykłych widoków nie byłam w stanie oglądać, nie odnosząc ich wciąż do tej jednej centralnej kwestii. Pomyslałam więc, o ile trudniej jest stwierdzić dzisiaj, niż choćby sto lat temu, które z tych zajęć jest bardziej potrzebne. Czy lepiej jest nosić węgiel, czy niańczyć dzieci; czy sprzątaczką, która wychowała ich ośmioro, przedstawia mniejszą wartość dla świata niż adwokat, który zarobił sto tysięcy funtów? Nie ma sensu zadawać takich pytań; nikt bowiem nie umie udzielić na nie odpowiedzi. Względne wartości sprzątaczek i adwokatów nie tylko rosną i maleją z dekadą na dekadę, ale przecież nie mamy też żadnej miary, którą daby się określić ich wartość obecną. Głupota było żądać od mego profesora, by w swych wywodach o kobiecie dostarczył mi jakichś „niezbitych dowodów” na to czy tamto. Nawet gdyby dało się stwierdzić obecną wartość jakiegoś talentu, to wartości te zmieniają się przecież; jest wielce prawdopodobne, że w ciągu jednego stulecia zmieniają się całkowicie.

Co więcej, pomyślałam w chwili, gdy znalazłam się u drzwi swego domu, za sto lat pięć żeńska nie będzie już pod ochroną. Jest logiczne, że kobiety będą brać udział we wszystkich zajęciach i wysiłkach, do których kiedyś odmawiano im dostępu. Nianka będzie przerzucać węgiel. Sklepiarką poprowadzi lokomotywę. Toteż znikną wszelkie założenia oparte na faktach, które zaobserwowano w czasach, gdy kobiety stanowiły pięć chronioną – to na przykład (w tym momencie przemaszerał ulicą szwadron żołnierzy), że kobiety, duchowni i ogrodnicy żyją dłużej niż inni ludzie. Przystańcie je chronić, kaźcie im podjąć te same zajęcia i te same wysiłki, zróbcie z nich żołnierzy, marynarzy, maszynistów i stoczniovców, a kobiety zaczną umierać w młodszym wieku i o tyle szybciej niż mężczyźni, że pewnego dnia zacznie się mówić „Widziałem dziś kobietę”, tak jak niegdyś mawiało się „Widziałem dziś samolot”. Wszystko się może zdarzyć, gdy kobiecość przestanie być stanem chronionym pomyślałam, otwierając drzwi. Cóż to wszystko ma jednak wspólnego z tematem mojego eseju, z „Kobietami i twórczością literacką”? – spytałam sama siebie, wchodząc do środka.

## Rozdział trzeci

Jakże się czułam rozczarowana, że nie przyniosłam wieczorem do domu żadnego istotnego stwierdzenia, żadnego autentycznego faktu. Kobiety są uboższe od mężczyźni, ponieważ – to czy tamto. Być może, lepiej byłoby już skończyć z poszukiwaniem prawdy, które jak dotąd zawsze owocowało jedynie tym, że na głowę spadała mi lawina opinii, gorących jak lawa i mętnych jak woda po myciu naczyń. Może lepiej zasłonić okna; odciąć się od wszystkiego, co rozprasza uwagę; zapalić lampę; zawęzić moje poszukiwania i zwrócić się do historyka, który zbiera nie opinie lecz fakty, po czym opisać, w jakich warunkach żyły kobiety – nie przez wszystkie minione stulecia, lecz w Anglii, powiedzmy, w epoce królowej Elżbiety.

Jest bowiem odwieczną zagadką, dlaczego żadna kobieta nie napisała ani słowa z tej niezwykłej literatury, podczas gdy, jak się wydaje, co drugi mężczyzna był w stanie ułożyć pieśń lub sonet. W jakich warunkach żyły owe kobiety? – zadalam sobie to pytanie, ponieważ fikcja, to jest wszelkie dzieła wyobraźni, nie spada na ziemię jak kamień, jak to zapewne dzieje się w naukach ścisłych; fikcja literacka przypomina raczej pajęczynę, zawieszoną, może tylko leciutko, ale jednak zawieszoną w ludzkim życiu za wszystkie cztery rogi. To zamocowanie jest często ledwo widoczne i na przykład dramaty Szekspira zdają się unosić same z siebie, jako dośkonale całości. Kiedy jednak pajęczyna przekrzywi się nieco,

podwinięta z brzegu lub przzerwana w środku, wówczas przypominamy sobie, że nie są to sieci utkane w powietrzu przez bezcielesne istoty, lecz efekt pracy żywych, cierpiących ludzi i że są one uwikłane w sprawy potoczne i materialne, takie jak pieniądze i domy, w których mieszkamy.

Podeszam więc do półki, na której stoją dzieła historyczne i wyjętam z niej jedno z najnowszych, *Historię Anglii* profesora Treveljana. Raz jeszcze odszukałam w indeksie hasło „kobiety” i dalej „pozycja”, po czym zaczęłam czytać na odpowiedniej stronie. „Bicie żon było powszechnie uznane za prawo każdego mężczyzny i praktykowane bez żadnego wstydu zarówno na wyżynach jak i na nizinach społecznych.... Podobnie”, pisze dalej historyk, „jeśli córka odmówiła wyjścia za mąż za dżentelmena, którego wybrali dla niej rodzice, rzyknęła, iż zostanie zamknięta, pobita, że będzie się nią ciskać po pokoju, a wszystko to bez najmniejszych protestów ze strony opinii publicznej. Matężństwo nie było sprawą osobistych uczuć, lecz interesów rodzinnych, zwłaszcza w przypadku «rycerskich» klas wyższych.... Do zaręczyn dochodziło często, gdy obie zainteresowane strony były jeszcze w kołyskach, do ślubu zaś – ledwie wydostały się spod nadzoru nianki”. Tak było około roku 1470, niedługo po epoce Chaucera. Następna wzmianka o kobietach pojawia się jakieś dwieście lat później, w epoce Stuartów. „Nadal jedynie wyjątkowo zdarzało się, by kobiety ze sfer wyższych i średnich same wybierały sobie mężów, kiedy zaś kobiecie przydzielono męża, stawał się on jej panem i władcą, na tyle przynajmniej, na ile pozwalały prawa i obyczaje. A jednak”, konkluduje profesor Treveljan, „ani kobiety Szeksprowskie, ani te, które znamy z siedemnastowiecznych pamiętników, lady Verney lub lady Hutchinson, nie zdają się cierpieć na niedobór osobowości i charakteru”. Istotnie, jeśli się nad tym zastanowić, okaże się że Kleopatra musiała mieć w sobie «coś»; można też wyrazić przypuszczenie, iż lady Makbet posiadała własną wolę; wiele wskazuje na to, że Rozalinda była dziewczyną dość atrakcyjną. Czystą więc prawdę mówi profesor Treveljan, kiedy zauważa, że kobie-

tom Szekspira nie brakowało osobowości ani charakteru. Nie będąc historykiem, posunę się jednak jeszcze dalej i powiem, że od zarania dziejów kobiety płonęły nieczym latarnie morskie w dziełach poetów – Klitajmestra, Antygona, Kleopatra, lady Makbet, Fedra, Cressida, Rozalinda, Desdemona, księżna Malfi, jeśli chodzi o dramaturgów; u prozaików zaś: Mil-lamant, Clarissa, Becky Sharp, Anna Karenina, Emma Bovary, madame de Guermantes – imiona same pchają się do umysłu i bynajmniej nie przywołują na myśl istot „cierpiących na niedobór osobowości i charakteru”. Wreż przeciwnie, gdyby kobieta nie istniała w rzeczywistości, a jedynie w pisanej przez mężczyźn literaturze, można by ją sobie wyobrazić jako istotę o niesłychanym wprost znaczeniu: bardzo różnorodną; heroiczną i podłą; wspaniałą i wstrętną; nie-skończenie piękną i odrażającą do granic możliwości; równie wielką i potężną jak mężczyźna, a zdaniem niektórych jeszcze go przerasstającą<sup>5</sup>. To jednak jest kobieta z fikcji literac-

<sup>5</sup> „Jest faktem nader dziwnym i niezrozumiałym, że w tym samym gro-dzie Ateny, gdzie kobiety trzymano w orientalnym niemal zniewoleniu, jako odaliski lub popychadła, na scenie pojawiały się takie postacie jak Klitajmestra i Kasandra, Atossa i Antygona, Fedra i Medea oraz wszy-skie inne heroiny, które dominują, jedna po drugiej, w kolejnych sztuka-kach tego »mitogina« Eurypidesa. Nie wyjaśniono jeszcze w zadowala-jącej sposób paradoksu tego dziwnego świata, gdzie w rzeczywistości szanująca się kobieta ledwie mogła pokazać się sama na ulicy, zaś na scenie kobieta równa była mężczyźnie, a nawet go przerasstała. W tra-gedii nowożytnej mamy do czynienia z tym samym zjawiskiem. Nawet pobieżny przegląd dzieł Szekspira (podobnie jest u Webstera, chociaż nie u Marlowe'a i Jonsona) wystarczy, by przekonać się, jak ta domina-cja, ta inicjatywa kobieca trwa nieustannie od Rozalindy aż po lady Makbet. Tak samo jest u Racine'a; aż sześć z jego tragedii nosi imiona swych bohaterek; i czyż znalazł się męska postać, którą można by porównać z Hermioną i Andromachą, Fedrą i Atalią? Jest jeszcze Ibsen – jakż mężczyźna może się zmierzyć z jego Solweig i Nora; Hedda czy Hilda Wangel, z Rebeką West?” – F.L. Lucas, *Tragedy*, s. 114-15.

kiej. W rzeczywistości, jak słusznie stwierdza profesor Trevelyan, zamknięto ją na klucz, bito, ciskano nią po pokoju.

Tak oto pojawia się przed nami istota ogromnie dzi-waczna i bardzo złożona. W wyobraźni przypisuje się jej najwyższe znaczenie; w rzeczywistości jest go całkowicie pozbawiona. Przenika na wskroś tomiki poezji; w książkach historycznych jest prawie nieobecna. Włada życiem królów i zdobywców w powieściach; faktycznie jednak była niewol-nicą chłopca, którego rodzice wcisnęli na jej palec obrączkę. W literaturze padają z jej ust natchnione słowa, najdonioślejsze z myśli; w rzeczywistości ledwie umiała czytać, z najwyższym trudem składała litery i stanowiła własność swego męża.

Doprawdy, dziwaczne monstrum uzyskujemy, czytając najpierw historyków, potem zaś poetów – jest nieczym robak o orlich skrzydłach, duch życia i piękna zamknięty w kuchni, przy krojeniu słoniny. Jednakże te potwory, choć zabawne dla wyobraźni, faktycznie nigdy nie istniały. Aby ożywić ko-bietę, trzeba pomyśleć o niej jednocześnie poezją i prozą, nie tracąc z pola widzenia faktów – takich jak te, że nazywa się pani Martin, ma lat trzydzieści sześć, ubrana jest na nie-biesko, ma czarny kapelusz i brązowe buty; parniętając jed-nak także o fikcji – że jest naczyniem, wewnątrz którego wędrują, zapalając się wciąż i gasnąc, najrozmaitsze duchy i moce. Niestety, gdy tylko spróbujemy zastosować tę me-todę do kobiety z czasów elżbietzańskich, zatamie się jeden z wątków naszej iluminacji: oto na drodze stanął nam niedo-statek faktów. Nie znamy na jej temat żadnych szczegółów, żadnej pewnej i konkretnej prawdy. Historia prawie o niej nie wspomina. Tu zwróciłam się do profesora Treveljana, by przekonać się, co dla niego znaczy słowo „historia”. Czytając tytuły rozdziałów przekonałam się, że są to:

„Dobra lenne i metody uprawy ziemi... Cystersi i ho-dowla owiec... Wyprawy Krzyżowe... Uniwersytet... Izba Gmin... Wojna Stuletnia... Wojny Róż... Uczeń renesansu... Rozpad klasztorów... Spory agrarne i religijne... Początki an-gielskiej potęgi na morzu... Armada...” i tak dalej. Od czasu

do czasu pojawia się jakaś pojedyncza kobieta, jakaś Elżbieta lub Maria: królowa lub wielka pani. Nie było jednak sposobu, by kobieta z klas średnich, nie władająca niczym, prócz bystrego umysłu i siły charakteru, mogła wziąć udział w którejkolwiek z tych wielkich przemian, które w sumie składają się na przeszłość, tak jak rozumię ją historyk. Nie znajdźmy jej też w żadnym ze zbiorów anegdot. Aubrey ledwie o niej wspomina. Nigdy nie spisyuje ona swego życia, rzadko prowadzi dziennik; zachowała się jedynie garść jej listów. Nie została po sobie żadnych dramatów ani wierszy, wedle których można by ją dziś osądzić. To, czego nam trzeba, pomyślałam – i dlatego nie miałaby nam tego dostarczyć jakaś wybitna studentka z Newnham lub Girton? – to cała masa informacji: w jakim wieku wychodziła za mąż; ile zazwyczaj miała dzieci; jak wyglądał jej dom; czy miała własny pokój; czy sama musiała gotować; czy to prawdziwie podobne, że miała służącą? Wszystkie te fakty leżą gdzieś, zapewne, zagrzebane w parafianych rejestrach i księgach rachunkowych; życie przeciętnej kobiety z czasów elżbietanek musi być gdzieś rozsiane, można by więc je zebrać i uczynić zeń jedną książkę. Nie odważyłabym się, pomyślałam, spoglądając na półki w poszukiwaniu nieistniejących książek, na coś tak ambiguego jak sugestia, by studentki tych sławnych college'ów spisały historię od nowa, choć przyznam, że w swoim obecnym kształcie często wydaje mi się ona nieco dziwaczna, jakby nierzeczywista i lekko skrzywiona; dlaczego by jednak nie miały dopisać do historii małego suplementu, nadając mu, rzecz jasna, odpowiednio skromny tytuł, tak by kobiety mogły wystąpić w nim, nie popelniając nietaktu? Często bowiem udaje się dostrzec któregoś z nich w życiu jakiegoś wielkiego człowieka, jak czym prędzej znika gdzieś w tle, kryjąc, jak mi się czasem zdaje, porozumiewawcze mrugnienie, uśmiech lub może tę. Mammy wszak dość zyciorysów Jane Austen; nie ma też chyba potrzeby roztrząsać po raz kolejny wpływu tragedii Joanny Baillie na poezję Edgara Allana Poe; i jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciw temu, by domy i miejsca pobytu Mary Russell Mit-

ford zamknięto dla publiczności na co najmniej sto lat. Oburza mnie raczej to, myślałam dalej, znów spoglądając na półki, że nic nie wiemy o kobietach sprzed osiemnastego wieku. Nie mam w umyśle żadnej wizji, którą mogłabym teraz obracać w myślach i opisywać. Zastanawiam się oto, dlaczego w czasach królowej Elżbiety kobiety nie pisały poezji, a tymczasem nie mam pewności, jak były wykształcone; czy ktokolwiek uczył je pisać; czy miały dla siebie pokój, w którym mogłyby spokojnie usiąść; jak wiele z nich rodziło dzieci, zanim ukończyły dwudziesty pierwszy rok życia; nie wiem, krótko mówiąc, co robiły od ósmej rano do ósmej wieczorem. Jest pewne, że nie miały pieniędzy; zdaniem profesora Trevellyana wydawano je za mąż, czy im się to podobalo, czy też nie, zanim jeszcze na dobre wyniosły się z pokojów dziecińczych, zwykle w piętnastym lub szesnastym roku życia. Na podstawie tych skąpych informacji doszłam do wniosku, iż byłoby rzeczą ogromnie dziwną, gdyby któraś z nich napisała nagle dramaty Szekspira. I zaraz przyszedł mi na myśl pewien starszy pan, który już nie żyje, ale był, o ile dobrze pamiętam, biskupem, i który zawyrokoował, że jest niemożliwością, by jakakolwiek kobieta, w przeszłości, teraźniejszości lub kiedykolwiek, mogła mieć geniusz Szekspira. I nawet napisał o tym do gazet. Poinformował także pewną damę, która zwróciła się do niego w tej sprawie, że koty nie mogą w rzeczy samej iść do nieba, mimo że mają, jak dodał, swego rodzaju dusze. Ileż myślenia oszczędzali nam kiedyś ci starsi panowie! Ileż murów niewiedzy runęło dzięki ich interwencji! Koty nie mogą iść do nieba. Kobiety nie mogą pisać dramatów Szekspira.

Jak by jednak nie było, patrząc na ustawione na półce dzieła Szekspira, nie mogłam się oprzeć myśli, iż przynajmniej w jednej kwestii miał ów biskup rację: byłoby niemożliwością, zupełną i całkowitą, aby jakakolwiek kobieta zdolna napisać dramaty Szekspira w czasach Szekspira. Skoro tak trudno o fakty, pozwólcie, że spróbuję sobie chociaż wyobrazić, co by się stało, gdyby Szekspir miał cudownie utalentowaną siostrę imieniem, powiedzmy, Judith. Sam Szekspir



został najprawdopodobniej posłany – jego matka była przecież dziedziczką – do szkoły, gdzie poznał zapewne łacinę, Owidiusza, Wergiliusza, Horacego a także elementy gramatyki i logiki. Był, jak powszechnie wiadomo, dość dzikim chłopcem; łapał w sidła króliki, może nawet zdarzyło mu się ustrzelić sarnę i być zmuszony, nieco wcześniej niż powinien był to uczynić, poślubić pewną kobietę z sąsiedztwa, ta zaś powiła mu dziecko nieco wcześniej, niż wypadało. Ta przygoda skłoniła go do tego, by szukać szczęścia w Londynie. Miał, jak się wydawało, pewną skłonność do teatru; zaczął więc od pilnowania koni u jego bram. Wkrótce jednak dostał pracę w samym teatrze, zyskał powodzenie jako aktor i czuł, że oto żyje w samym sercu świata; spotykał wszystkich, znał każdego, uprawiał swą sztukę na deskach sceny, dowcip zaś szlifował na ulicy i uzyskał dostęp nawet do pałacu królowej. Przypuściłmy teraz, że w tym samym czasie jego niezwykle utalentowana siostra została w domu rodzinnym. Była tak samo jak on żądna przygód, tak samo obdarzona wyobraźnią i pałacą ciekawością świata. Jej jednak nie wysłano do szkoły. Nie miała okazji, by uczyć się gramatyki i logiki, nie mówiąc już o czytaniu Horacego i Wergiliusza. Od czasu do czasu zdarzało jej się wziąć do ręki książkę, może jedną z tych, które stanowiły własność jej brata i przeczytać kilka stron. Zaraz jednak wchodzili rodzice i kazali jej cerować pończochy lub pilnować polewki i nie tracić czasu wśród książek i papierów. Ich słowa, choć surowe, pełne były troski, byli to bowiem ludzie rozsądni i solidni, znali warunki życia kobiety i kochali swoją córkę – jest nawet prawie pewne, że była oczkiem w głowie swego ojca. Być może nagryzmoliła kiedyś po kryjomu kilka stron, schroniwszy się gdzieś na strychu, schowała je jednak potem dokładnie lub spaliła. Wkrótce też, jeszcze jako nastolatkę, zaręczono ją z synem mieszkającego w sąsiedztwie handlarza drewnem. Zaplakata, że małżeństwo jest jej nienawistne, za co ojciec dotkliwie ją pobił. Potem jednak przestał na nią krzyżować. Zaczął błagać, by go nie raniła, nie narażała go na wstyd odmawiając zaślubiny. Da jej za to korale, powiedział, lub piękną spód-

nicę; a w jego oczach zobaczyła tży. Jakże mogła być mu nieposlušna? Jak mogła tannać mu serce? Gnata ją jednak siła jej talentu. Spakowała niewielki tobolek i pewnej letniej nocy spuściła się po linie przez okno i ruszyła drogą do Londynu. Nie miała jeszcze siedemnastu lat. Jej talent muzyczny nie ustępował w niczym zdolnościom ptaków, które śpiewały wśród drzew. Miała niezwykle bystry umysł oraz dar, taki jak dar jej brata, nadawania melodii słowom. Tak jak on rozmawiana była w teatrze. Stała więc u jego bram; pragnęła grać – tak powiedziała. Zaśmiali jej się w twarz. Kierownik aktorów – tłusty mężczyzna o obwisłych wargach – wybuchnął rubasznym chichotem. Mamrotał coś o tańczących pudlach i kobietach grających na scenie – żadna kobieta, powiedział, nie mogłaby zostać aktorką. Padła sugestia – same możecie sobie wyobrazić jaka. Judith nie mogła więc podjąć nauki swego rzemiosła. Czyż mogła choćby szukać strawy w tawernie, lub samotnie krążyć po ulicach o północy? A przecież jej geniusz skłaniał się ku literaturze i domagał się obfitego pożywienia; pragnął podpatrywać życie mężczyzn i kobiet, przyglądać się ich obyczajom. Wreszcie – była wszak młodą kobietą, a jej twarz dziwnie przypominała twarz tego poety, Szekspera, miała te same szare oczy i zaokrąglone brwi – wreszcie Nick Greene, kierownik aktorów, ziltował się nad nią; i oto dzięki temu dżentelmenowi była brzemienna i dlatego – któż jednak zmierzy żar i namiętność serca poety, usidlonego w kobiecym ciele? – zabiła się pewnej zimowej nocy i leży pogrzebana na rozstaju dróg, tam, gdzie dziś zatrzymują się omnibusy, przed tawerną Elephant and Castle.

Tak mniej więcej potoczyłaby się ta historia, gdyby w czasach Szekspera kobieta miała geniusz Szekspera. Ze swej strony jednak gotowa jestem zgodzić się ze zmarłym biskupem, jeśli istotnie był to biskup – jest nie do pomysłenia, by kobieta w czasach Szekspera miała geniusz Szekspera. Geniusz na miarę Szekspera nie rodzi się bowiem wśród ludzi, którzy ciężko pracują na chleb, pozbawieni są edukacji, żyją w ubóstwie i ponizieniu. Nie zrodził się w Anglii wśród Sakso-

nów i Brytów. Nie rodzi się i dziś wśród klas pracujących. Jakże więc mógł się zrodzić wśród kobiet, które, jak twierdzi profesor Trevelyan, zaczynały ciężko pracować niemal zanim jeszcze opuściły pokój dziecienny, przymuszane do tej pracy najpierw przez rodziców, później zaś przez prawo i obyczaj? A jednak coś w rodzaju geniuszu musiało istnieć wśród kobiet, tak jak musiało istnieć wśród klas pracujących. Na dowód tego pojawia się od czasu do czasu jakas Emily Brontë lub Robert Burns. Geniusz ten z pewnością jednak nie został w pełni przelany na papier. Kiedy czytamy o plawieniu czarownicy, o kobiecie, którą opętały diabły, o mądrej wiedźmie sprzedającej ziola, lub o matce jakiegoś niezwykłego mężczyzny, wówczas, jak sądzę, jesteśmy na tropie zaprzepaszonej powieściopisarki, poetki, której zamknięto usta, jakiejś niemej Jane Austen, o której nikt nigdy\* nie słyszał. Lub jakiejś Emily Brontë, która rozwalila sobie czaszkę gdzieś na wzniosłości lub pętała się otumaniona i nieszczęsną po drogach, oszalała z bólu, na który skazał ją jej własny geniusz. Zarzykowałabym nawet taką hipotezę, że Anon, który stworzył tyle wierszy nigdy ich nie podpisując, w wielu przypadkach był kobietą. Zdaje się, że to Edward Fitzgerald zasugerował kiedyś, iż te wszystkie ballady i pieśni ludowe ułożyła kobieta, nucąc je swoim dzieciom lub umilając sobie śpiwem pracę przy kołowrotku w długie zimowe wieczory.

Może to prawda, a może nie – któż to osądzi? – jedno wszak wydało mi się w tym wszystkim prawdziwe, kiedy raz jeszcze zastanowiłam się nad wymyśloną przez siebie opowieścią o siostrze Szekspira – to mianowicie, że każda kobieta, która w szesnastym wieku przyszedła na świat obdarzona wielkim talentem, z pewnością oszalała by, zastrzeżona się lub dokonała swych dni w jakiejś samotnej chatce z dala od wioski jako pół-wiedźma, pół-czarownica, otoczona lękiem i sztyderstwem. Nie trzeba bowiem wielkiej wiedzy z zakresu psychologii, aby wiedzieć na pewno, że genialnej dziewczynie, która próbowałaby w tych czasach wykorzystywać swój talent, stawiano by takie przeszkody, tak by ją dręczyli inni ludzie, tak boleśnie rozdarła by była przez własne sprzeczne

pragnienia, że niechybnie postradaby i zdrowie, i rozum. Żadna dziewczyna nie mogłaby bowiem udać się pieszo do Londynu, stanąć u bram teatru i dostać się siłą przed oblicze jego dyrektora, nie zadając sobie przy tym gwałtu i nie odczuwając cierpienia, które mogło być irracjonalne – skromność i czystość można bowiem uznać za fetsze wynalezione przez pewne społeczeństwa z nieznanym przyczyn – ale mimo to byłoby nieuniknione. Skromność i czystość miały bowiem i mają do dzisiaj religijne znaczenie w życiu kobiety i do tego stopnia owinęły się wokół nich nasze nerwy i instynkty, że aby wyciąć je i uwolnić z tego gąszczu, aby wystawić je na światło dzienne, trzeba odwagi, jaką mają tylko nieliczne. Żyć w szesnastowiecznym Londynie jak człowiek wojny oznaczało – jeśli było się kobietą, a przy tym poetką i dramaturgiem – napięcie nerwowe i dylematy tak wielkie, że mogły okazać się śmiertelne. Gdyby zaś przeżyła, cokolwiek zdołałaby napisać, byłoby kalekie i zniekształcone, zrodziłoby się bowiem w zniekanej i pełnej napięcia wyobraźni. Nie ma przy tym najmniejszej wątpliwości, pomyślałam spoglądając na półkę, na której nie było żadnych dramatów napisanych przez kobiety, że jej dzieła nie byłoby podpisane. Przynajmniej tyle by uczyniła dla własnego bezpieczeństwa. Jeszcze w dziewiętnastym wieku to, co zostało z wiary w skromność i czystość, nakazywało kobietom anonimowość. Currer Bell, George Eliot, George Sand, z których każda, jak dowodzą ich dzieła, była ofiarą wewnętrznych zmagani, nieskutecznie usiłowały chronić się za zasłoną męskich nazwisk. Oddawały w ten sposób hold konwencji, która, nawet jeśli nie była przez przeciwną płęć wymuszana, to jednak w istotny sposób podtrzymywana („największym powodem do chwały jest dla kobiety to, że się o niej nie mówi”, powiedział Perykles, człowiek, o którym mówiono nieustannie), tej mianowicie, że w przypadku kobiet rozgłos jest czymś odstręczającym. Kobiety mają anonimowość we krwi. Wciąż jeszcze odczuwają nieprzepartą chęć, by kryć się za woalem. Także obecnie nie troszczą się, tak jak mężczyźni, o dobre samopoczucie swej sławy i większość z nich jest w stanie

przejąć obok grobowca lub drogowskazu, nie czując przy tym nieodpartej chęci, by wyrzyc na nich swoje nazwiska. Alf, Bert i Chas muszą to natomiast uczynić, nakazuje im to instynkt, który szepce, widząc przechodzącą obok piękną kobietę, a nawet ładnego psa, «Ce chien est à moi». Zresztą wcale nie musi to być pies, pomyślałam, przypominając sobie Parliament Square, Sieges Allee i inne wspaniałe ulice; równie dobrze może to być skrawek ziemi, lub mężczyzna o czarnych kręconych włosach. Do lepszych stron bycia kobietą należy to, że człowiek jest w stanie minąć na ulicy nawet niezwykle piękną Murzynkę, nie pragnąc przy tym uczy-  
nić z niej Angielki.

Tak więc kobieta, która w szesnastym wieku urodziła się z wielkim darem poetyckim, była kobietą nieszczęśliwą, zagrożoną w nieustannej walce z samą sobą. Wszystko, co składało się na warunki jej życia, a także jej własne instynkty, stawalo na przekór owemu stanowi umysłu, który pozwala uwolnić to, co zrodziło się w mózgu. Jakież jednak stan umysłu najbardziej sprzyja aktom twórczym, zapytałam. Czy można wyobrazić sobie choćby w zarzysie stan, który ową dziwną czynność wspiera i umożliwia? Tu otworzyłam tom tragedii Szekspira. Jaki był stan umysłu Szekspira, gdy ten pisał *Króla Leara* lub *Antoniusza i Kleopatrę*? Był to bez wątpienia stan, który ze wszystkich możliwych najlepiej sprzyjał tworzeniu poezji. Sam Szekspir nie powiedział jednak o tym ani słowa. Wiemy tylko, a i to przez przypadek, że „nigdy nie skreślił ani linijki”. W rzeczy samej, aż do osiemnastego chyba wieku artyści nie wypowiadali się na temat stanu swych umysłów. Zaczęło się to, zdaje się, od Rousseau. W każdym razie, w dziewiętnastym wieku rozwój samoświadomości zaszedł już tak daleko, że ludzie pióra nabrali zwyczajną opisywania swych stanów ducha w wyznaniach i autobiografiach. Pisano też ich życiorysy, a gdy umierali, drukowano ich listy. Dlatego też, chociaż nie wiemy, co przeżywał Szekspir, gdy pisał *Leara*, wiemy jednak, przez co przechodził Carlyle, gdy pisał *Rewolucję francuską*; i przez co przeszedł Flaubert, pisząc *Panią Bovary*; a także co dzia-

ło się z Keatsem, gdy usiłował stworzyć poezję na przekór nadchodzącej śmierci i obojętności świata.

I oto z całej tej ogromnej nowoczesnej literatury wyznani i autoanaliz można się dowiedzieć, że napisanie genialnego dzieła jest prawie zawsze wyczynem niesłychanie trudnym. Wszystko przemawia przeciw temu, by mogło się ono wydo- stać z umysłu pisarza całe i nienaruszone. Przeciwnie są temu okoliczności materialne. Szczekają psy, wciąż przerywają pracę ludzie; trzeba zarobić pieniądze; szwankuje zdrowie. Co więcej, wszystkie te trudności uwypukla jeszcze notorycz- na obojętność świata, która sprawia, iż stają się one niemal nie do zniesienia. Świat nie prosi nikogo, by pisał wiersze, powieści lub książki historyczne; świat ich nie potrzebuje. Nie obchodzi go, czy Flaubert znajdzie właściwe słowo, ani czy Carlyle skrupulatnie sprawdzi taki lub inny fakt historycz- ny. Naturalnie, świat nie płaci też za to, czego nie pragnie. Dlatego pisarz – Keats, Flaubert czy Carlyle – musi znieść, zwłaszcza w najbardziej twórczych latach swojej młodości, to że wciąż na najrozmaitsze sposoby zniechęca się go i prze- szkadza mu w pracy. Z owych wyznań i autoanaliz wydob- wa się jedno przekleństwo i jęk agonii: „Wielcy poeci umie- rają w nędzy” – oto piętno ich pieśni. Jeśli mimo wszystko coś jednak wydostaje się na zewnątrz, to tylko cudem i jest bardzo prawdopodobne, że żadna książka nie rodzi się w ca- łości, nieokaleczona, w kształcie, w jakim została poczęta.

Ale dla kobiet, pomyślałam patrząc na puste półki, trud- ności te były nieskończenie bardziej dotkliwe. Po pierwsze, posiadanie własnego pokoju, nie mówiąc już o pokoju ci- chym lub dźwiękoszczelnym, właściwie nie wchodziło w ra- chubę, chyba że miało się niezwykle bogatych lub bardzo szlachetnych rodziców i tak było aż do początków dziewięt- nastego wieku. Ponieważ drobne sumy, jakie otrzymywała jedynie dzięki dobrej woli swego ojca, starczyły zaledwie na ubranie, ówczesna kobieta nie miała dostępu nawet do tych przyjemności, którymi, mimo swego ubóstwa, cieszyć się mogli Keats, Tennyson czy Carlyle – nie dla niej pieszka wy- cieczka, nie dla niej mały wyjazd do Francji, nie dla niej

osobne mieszkanie, które, nawet jeśli by było podrzędnej jakości, chroniłoby ją przeciw przed roszczeniami i tyranią rodziny. Materialne przeszkody były ogromne; jednak o wiele gorsze były te niematerialne. Obojętność świata, którą z takim trudem znosili Keats, Flaubert i inni genialni mężczyźni, w jej przypadku nie była obojętnością, lecz wrogością. Świat nie mówił jej, tak jak im: „Pisz, jeśli masz ochotę, dla mnie to bez znaczenia”. Na jej widok świat parskat szyderczym śmiechem i mówił: „Pisać? A cóż dobrego może wyniknąć z twojej pisaniny?” W tym miejscu prędyć by nam się mogły adeptyki psychologii z Newnham i Girton, pomyślałam, znów patrząc na puste miejsca na moich półkach. Bo z pewnością nadszedł już czas, by ktoś zmierzył, jaki wpływ na umysł artysty mają słowa szyderstwa i krytyki; tak jak – sama to kiedyś widziałam – w firmie mleczarskiej mierzy się wpływ zwykłego mleka i mleka klasy A na organizm szczura. Klątki z dwoma szczurami ustawiono tam obok siebie i jeden z nich okazał się nerwowy, płochliwy i mały, drugi zaś łśniący, śmiały i dorodny. Zastanówmy się więc, czym karmimy kobiety-artystki? Zadając sobie to pytanie, miałam w pamięci, jak sądzę, ową kolację, na której podano śliwki w mlecznym sosie. Aby na nie odpowiedzieć wystarczyło otworzyć wieczorną gazetę i przeczytać, co też lord Birkenhead sądzi na temat – doprawdy jednak, nie zamierzam zadawać sobie trudu przepisywania poglądów lorda Birkenheada na temat kobiecego pisarstwa. Zostawię też w spokoju to, co mówi dziekan Inge. Specjaliście z Harley Street pozwolę wygłaszać jego tyrady, od których na Harley Street często budzi się echo; nie poruszają one jednak ani jednego włoska na mojej głowie. Zacytuję natomiast pana Oscara Browninga, ponieważ pan Oscar Browning był kiedyś ważną osobistością w Cambridge, a w dodatku egzaminował studentki z Girton i Newnham. Otóż pan Oscar Browning miał zwyczaj twierdzić, „że po przeczytaniu dowolnego zestawu egzaminów pisemnych zostawało mu zawsze to samo wrażenie, to miałowicie, że niezależnie od ocen, które stawiał, najlepsza z kobiet intelektualnie stała niżej od najgorszego spośród

mężczyzn”. Wypowiedziawszy to zdanie, pan Browning udał się do swych pokoi – to właśnie czyni go w moich oczach sympatycznym, przysparzając tej postaci wielkości i majestatu – udał się więc do swych pokoi i zastał tam chłopca stajennego, leżącego na jego sofie – „mizerny szkielet o bladych, zapadłych policzkach, szczeriałych zębach, który zdawał się nie mieć pełnej władzy w kończynach...”. „To jest Arthur” [powiedział pan Browning] „doprawdy, kochany chłopiec a przy tym niezwykle wzniosłego umysłu”. Zawsze uważałam, że te dwa obrazki doskonale się uzupełniają. Co więcej, tak się szczęśliwie składa, że w obecnych czasach, gdy pisze się tyle biografii, te dwa obrazki często pokazują się razem, abyśmy mogli interpretować opinie wielkich mężów nie tylko na podstawie ich słów, lecz także uczynków.

Chociaż podobne opinie można usłyszeć i dzisiaj, to pięćdziesiąt lat temu, gdy nieustannie padały z ust ważnych osobistości, musiały mieć naprawdę sporą siłę oddziaływania. Wyobraźmy sobie, że jakiś ojciec, kierując się najwyższymi pobudkami, nie chciał, by jego córka opuściła dom rodzinny i została pisarką, malarką lub uczoną. „Zobacz, co mówi pan Oscar Browning”, powiedziałaby ów ojciec; a przecież oprócz pana Oscara Browninga była jeszcze gazeta „Saturday Review”; a także pan Greg – twierdził on z całym przekonaniem, że „istotę bytu kobiet stanowi to, że są one *utrzymywane przez mężczyzn i mężczyznom służą*” – istniał zatem ogromny skarbiec męskich opinii, z których jasno wynikało, że w zakresie intelektu po kobiecie nie można spodziewać się niczego. Nawet jeśli ojciec nie czytał jej tych opinii na głos, każda dziewczyna mogła je sobie sama przeczytać, i lektura ta, nawet w dziewiętnastym wieku, nieuchronnie osłabiała jej siły vitalne i wywierala głęboki wpływ na jej pracę. Zawsze bowiem wisiaty w powietrzu te słowa – tego z pewnością nie potrafisz zrobić, nie jesteś w stanie, nie poddasz – i trzeba było protestować, trzeba było z tą opinią walczyć. Zapewne, w dzisiejszych czasach zarazki tej choroby nie dopadają już z taką siłą powieściopisarek; kobiety napisaty bowiem sporo wybitnych powieści. Ale dla malarek

z pewnością i dziś jeszcze istnieje niebezpieczeństwo; zaś dla kobiet-muzyków jest to wirus nadal aktywny a nawet zabójczy. Kobieta-kompozytorka stoi dziś tam, gdzie w czasach Szekspira stała aktorka. Nick Greene – tu przypominałam sobie historię, którą ułożyłam o siostrze Szekspira – powiedział, że kobieta grająca na scenie przywodzi mu na myśl tańczącego psa. Johnson powtórzył to zdanie dwieście lat później, odnosząc je do kobiet, które pragną wygłaszać kazania. A oto, powiedziałam otwierając książkę o muzyce, te same słowa użyte w obecnym roku pańskim 1928 o kobietach, które próbują pisać muzykę: „Jeśli chodzi o pannę Germaine Tailleferre, można jedynie powtórzyć diction doktora Johnsona o kobietach-kaznodziejach, przenosząc je na teren muzyki. «Drogi panie, komponująca kobieta jest niczym pies chodzący na tylnych łapach. Nie robi tego dobrze, ale dziwny się, że w ogóle to robi»<sup>6</sup>. Aż tak dokładnie powtarza się historia.

Tak więc, zamykając biografię Oscara Browninga i odsuwając na bok wszystkie pozostałe, jest oczywiste, że nawet w dziewiętnastym wieku nikt nie zachęcał kobiety, by została artystką. Przeciwnie, czekały ją szyderstwa i policzki, kazania, przestrogi i wymówki. Konieczność, by wciążyć się czemuś sprzeciwiać, by ciągle coś obalać, musiała ogromnie nadwyreżać jej umysł, osłabiać jej vitalność. Oto bowiem znów znaleźliśmy się w polu rażenia tego niezwykle interesującego i tajemniczego męskiego kompleksu, który tak silnie wpływa na kobietę aktywność – głęboko zakorzenionego pragnienia, nie tyle by ona była gorsza, ile by on okazał się lepszy, pragnienia, które każe mu, gdzie się nie spojrzy, bronić jej wstępu do sztuki, a także zamykać przed nią drogę do polityki i to nawet wówczas, gdy ryzyko jest mikroskopijne, petentka zaś pokorna i oddana. Nawet lady Bessborough, o ile pamiętam, przy całej swej pasji politycznej, musiała iść się w pokornych ułkonach w swym

liście do lorda Granville'a Leveson-Gowera: „...mimo całej mej gwałtowności w polityce i całego gadulstwa na jej temat, zgadzam się z Panem najzupełniej, że nie jest rzeczą kobiety mieszać się do tych lub innych poważnych spraw i wykraczać poza wypowiedzenie swej opinii (gdym zostanie o nią poproszona)”. I dalej w podobnym tonie marnuje swój entuzjazm tam, gdzie nie napotka on na żaden opór, pisząc o tej niezmiernie ważnej kwestii, jaką była mowa inauguracyjna lorda Granville'a w Izbie Gmin. Doprawdy, dziwaczne to widowisko, pomyślałam sobie. Historia męskiego sprzeciwu wobec emancypacji kobiet jest, być może, ciekawsza niż historia samej emancypacji. Można by z niej zrobić całkiem interesującą książkę, gdyby tylko jakaś młoda studentka z Giron lub Newnham zechciała zebrać przykłady i wysnuć z nich teorię – musiałaby jednak założyć grube rękawice i schronić się za kratą ze szczerzego zła.

Lecz to, co dziś wydaje się zabawne, uświadomiłam sobie, zamykając pisma lady Bessborough, kiedyś musiało być traktowane ze śmiertelną powagą. Te same opinie, które dziś wklejamy do albumu z nagłówek „Dyrdymaty, głupstwa i androny”, aby czytać je potem w letnie wieczory słabiej dobranej publiczności, niegdyś – możecie być tego pewne – doprowadzały ludzi do łez. Wiele spośród Waszych babek i prababek wyplakało w ten sposób oczy. Florence Nightingale głośno krzyczała w swej agonii<sup>7</sup>. Co więcej, iatwo jest Warn, które dostatyście się do college'u i macie tu teraz własne bawialnie – a może tylko sypialnio-bawialnie? – iatwo jest Warn mówić, że geniusz powinien przechodzić do porządku nad takimi opiniami, że geniusz powinien wznieść się ponad wszelką troskę o to, co się o nim mówi. Niestety, nikt bardziej od ludzi genialnych nie bierze sobie do serca tego, co mówią o nim inni. Przypomnijcie sobie Keatsa. Przypomnijcie sobie słowa, które wyrzył na swoim nagrobku.

<sup>6</sup> A Survey of Contemporary Music, Cecil Gray, s. 246.

<sup>7</sup> Patrz: Cassandra, Florence Nightingale, wydrukowana w *The Cause*, R. Strachey.

## Rozdział czwarty

Pomyślcie o Tennysonie; pomyślcie – ale nie ma chyba potrzeby mnożyć przykładów tego niezaprzeczalnego, choć niefortunnego faktu, że w naturze artysty leży przejmować się nadmiernie tym, co się o nim mówi. Literatura pełna jest wraków ludzkich – pozostałości pg. tych, którzy do szaleństwa przejmowali się sądami innych.

Ta wielka nadwrażliwość jest podwójnie niefortunna – tu powróciłam do mych pierwotnych rozważań nad tym, jaki stan umysłu najbardziej sprzyja pracy twórczej – ponieważ umysł artysty, aby móc zdobyć się na niesfychany wysiłek wyzwolenia z siebie w całości i bez uszczerbku dzieła, które w sobie nosi, musi być pełen wewnętrznego światła, tak jak umysł Szekspira; takie snułam przypuszczenia, spoglądając znowu na leżącą na stole książkę, która otworzyła się na *Antoniuszu i Kleopatrze*. Nie może być w nim żadnej przeszkody, żadnych nieprzetrawionych obcych ciał.

Bo chociaż utrzymujemy, że nic nam nie wiadomo o stanie umysłu Szekspira, to przecież nawet w chwili, gdy wyprzedamy te słowa, mówimy o stanie umysłu Szekspira coś niezwykle ważnego. Przyczyną, dla której tak mało wiemy o Szekspirze – w porównaniu na przykład z Donne, Ben Jonsonem lub Miltonem – jest, być może, to, że przed naszym wzrokiem ukryte są jego pretensje, zmartwienia i antypatie. Nie staję na naszej drodze żadna „rewelacja”, która przypominałaby nam o pisarzu. Wszelkie pragnienia, by za protestować, wygłosić kazanie, poskarżyć się się komuś lub wyrównać z kimś porachunki, by wezwać cały świat na świadka swego trudu lub krzywdy, wszystkie te pragnienia wypalały się w nim i zniknęły. Poezja płynęła zeń swobodnie, bez żadnych przeszkód. Jeśli kiedykolwiek jakiejś ludzkiej istocie udało się wyrazić swe dzieło w całości, to właśnie Szekspirovi. Jeśli kiedykolwiek istniał umysł prawdziwie świetlisty i wolny, pomyślałam, znów spoglądając na półkę, to był to umysł Szekspira.

Jest oczywiście niemożliwe, by w szesnastym wieku dano się znaleźć kobiecie o takim stanie umysłu. Wystarczy przypomnieć sobie nagrobki z czasów elzbietańskich i wszystkie te dzieci, klęczące na nich z rączkami złożonymi do modlitwy; wystarczy pomyśleć o ich przedwczesnych zgonach, obejrzeć ich domy, ich ciemne, zattoczone pokoje, by uświadomić sobie, że żadna kobieta nie mogła w tamtej epoce pisać poezji. Można się raczej spodziewać, że nieco później jakaś wielka dama wykorzystwała swą względną swobodę i dobrobyt, aby opublikować coś, na czym widniałoby jej własne nazwisko, ryzykując przy tym, że zostanie uznana za potwora. Mężczyźni, rzecz oczywista, nie są snobami, ciągnęłam dalej swoją myśl, starannie unikając „wojującego feminizmu” panny Rebeki West; większość z nich jest jednak skłonna życzyliwie docenić próby poetyckie, jeśli ich autorka przypadkiem była hrabiną. Można przypuszczać, że dama posiadająca tytuł szlachecki mogła w owych czasach liczyć na znacznie większe poparcie i zachętę, niż jakaś nikomu nie znana panna Austen czy panna Brontë. Można jednak przypuszczać także i to, że jej umysł nękały obce i nieprzejazne uczucia, takie jak lęk i nienawiść, oraz że ślady tych uczuć widoczne będą w jej poezji. Oto na przykład lady Winchilsey, pomyślałam, zdejmując z półki tomik jej wierszy. Urodziła się w roku 1661; zarówno z urodzenia jak i przez małżeństwo należała do szlacheckiego rodu; była bezdzietna; pisała poe-

zię i wystarczy stworzyć tomik jej wierszy, by zobaczyć, jak wybuchala oburzeniem przeciwko pozycji kobiet:

*Jakeśmy upadłej Upadłe przez błędne prawa,  
A bardziej to Edukacji niż Natury sprawa;  
Od wszelakich doskonałych umysłu odcięte,  
W oczekiwaniach i wzorach za głupie pojęte;  
A jeśli która nad swój stan poleci,  
Gdy w sercu ogień pasji i ambicje wznieci,  
Tak przemożna zda się ta przeciwna strona,  
Że nadzieję na sukces lekliwość pokona.*

Jest rzeczą jasną, że jej umysł nie zdołał wcale „pokonać wszelkich przeszkód i stać się świetlistym”. Wręcz przeciwnie, umysł ten wciąż jest targany złością i żalem. Ludzkość jest dla tej poetki podzielona na dwie zwalczające się partie. Mężczyźni to „przeciwna strona”; mężczyźni należy nienawidzić i obawiać się, mają bowiem moc, by zagrozić jej drogę do tego, co pragnie robić – do pisania.

*Biada! O takiej, co by sobie pisać chciała,  
Tuierdzą, że jest pyszna oraz przemądrzała,  
Tedy żadną cnotą zmasza skazy tej nie mogę,  
Boć mówią, że pieć piękna złą obrwała drogę;  
Obejście, stroj i taniec, moda i zabawa,  
To są owe sprawy, których chceć wypada;  
A pisać albo czytać, myśleć czy dociekać,  
To kazi czas, urodę, trzeba ich zaniechać,  
Bo przepadną przewagi zwycięskiej młodości,  
Tępa służką być w domu – to jest cnotliwością,  
Nasej sztuki i pożytku szczyt – zadaniem wielu.*

Co więcej, musi zachęcać samą siebie do pisania przyposzczeniem, że to, co napisze, nigdy nie ukaże się w druku; pociesza się i uspokaja tą myślą, nuąc smętnie:

*Paru przyjaciółkom, smutkom swoim śpiewaj,  
Korona z wawrzynu nie dla ciebie święta;  
Usiądź w ciemnej sieni i bądź tam kontenta.*

Jest jednak jasne, że gdyby zdołała uwolnić swój umysł od nienawiści i lęku, wówczas, zamiast napędnąć go po przegni gorączką i niechęcią, znalazłaby w sobie prawdziwy żar. Zdarzało jej się bowiem napisać kilka słów czystej poezji:

*W zblakłych jedwabiach nic nie wroży  
Cienia niewyobrażalnej róży.*

– słusznie chwalił je pan Murry; Pope zaś podobno zapamiętał i wykorzystał taki oto fragment:

*Żonki przenika umysł czule;  
Omdlewamy pod aromatycznym bólem.*

Podobnie szkoda, że kobieta, która potrafiła pisać w ten sposób, kobieta, której myśli zwracały się ku przyrodzie i czystej refleksji, została zepchnięta ku złości i gorczy. Cóż jednak mogła zrobić? – zapytałam, wyobrażając sobie drwiny i złośliwy śmiech, uwielbienie pochlebców i sceptycyzm zawodowego poety. Aby pisać, musiała zapewne zamknąć się w jakimś pokoju na wsi, targana gorączką i wyrzutami sumienia; mimo iż mąż jej był uosobieniem czułości, a ich życie małżeńskie bliskie idealu. Powiadam „musiała zapewne”, bowiem kiedy próbuję odnaleźć jakieś fakty z życia lady Winchilsey, okazuje się jak zwykle, że prawie nic o niej nie wiadomo. Cierpiała okrutnie z powodu melancholii, co przynajmniej w pewnym stopniu wyjaśniają jej własne słowa, gdy opisuje, jak w szponach smutku wyobrażała sobie, iż:

*Wiersze me uznane, zajęcia oszczędzone  
Jako grzeszna pycha i kaprysy pfonne.*

Możemy się domyślać, że zajęcia, które oceniano tak surowo, polegały na niewinnych wędrówkach przez pola i na marzeniach:

*Moja dłoń śledzi kształt niezwykłych rzeczy  
I lubi schodzić ze znanej i pospólnej drogi,*

*W zblakłych jedwabiach nie nie wróży  
Cienia niewyobrażalnej róży\*.*

Naturalnie, jeśli takie miała nawyki i takie były jej radości, musiała liczyć się z tym, że zostanie wysmiana; i rzeczywiście, Pope a może Gay opisał ją satyrycznie jako „sawantkę, którą do czczej bazarziny aż ręka świerzbiła”. Jej zaś podobno zdarzyło się zażartować z Gaya, czym wielce mu się naraziła. Powiedziała, że jego *Triuia* wskazują, iż „lepiej nadaje się on do tego, by popychać wózek, niż aby na nim jechać”. Wszystko to jednak są „podejrzanane plotki”, a przy tym, jak powiada pan Murry, „mało interesujące”. Lecz tu nie mogę się z nim zgodzić, bo z radością powitałabym jak najwięcej podejrzananych plotek, które pozwoliłyby mi stworzyć sobie jakiś obraz tej melancholijnej damy, która uwielbiała włożyć się po łapkach, rozmysliając o niezwykłych rzeczach i która tak pochopnie, tak lekomyślnie uznała, iż nie chce „łepą służką być w domu”. Straccia jednak ostrość umysłu, jak powiada pan Murry. Jej talent porosty chwasty, zagłuszyły go dzikie róże. Nie mógł pokazać się światu w całym swoim blasku. Odstawiłam więc na półkę ładu Winchilsey i zwróciłam się ku innej wielkiej damie, tej ukochanej przez Lamba księżnej, niemądrej lecz pełnej fantazji Margaret z Newcastle, która była od tamtej starsza, choć żyła współcześnie z nią. Bardzo się od siebie różniły, ale w tym przynajmniej były podobne, że obie pochodziły ze szlacheńskich rodów, obie były bezdzietne i obie miały mężów niezwykłej wprost dobroci. W obydwu płonął ten sam ogień poezji, lecz piarstwo obu jest z tych samych przyczyn kalekie i zdeformowane. Otwórzcie książkę księżnej, a znajdziecie tam ten sam wybuch oburzenia i rozpacz: „Kobiety żyją niczym nietoperze i sowy, pracują, jak zwierzęta, zdychają zaś jak robaki...” Margaret miałaby szansę wyrosnąć na poetkę; gdyby żyła w naszych czasach, cała jej niespożyta energia poruszyłaby przecież w końcu jakąś dźwięczną strunę. Stało

\* W przekładzie Jana Wilka (przyp. red.).

się jednak inaczej, cóż bowiem mogło w tamtej epoce opowiadać, zatamować i ucywilizować tę dziką, przelewającą się, nigdy nie skoloną inteligencję i uczynić ją użyteczną dla ludzi? Wylewała się więc bez opamiętania, płynęła strumieniami wierszy i prozy, poezji i filozofii, a wszystko to, niczym skamielina, spoczywa dziś w postaci poźółkłych, przez mikrogo nie czytanych broszur i foliatów. Ktoś powinien być dać jej do ręki mikroskop. Ktoś powinien być nauczyć ją patrzeć na gwiazdy i rozumować tak, jak każe nauka. Tymczasem samotność i nadmiar swobody pomieszały jej zmysły. Nikt jej nie pilnował. Nikt jej nie uczył. Profesorowie płaszczli się przed nią. Na dworze królewskim wysmiewano ją. Sir Egerton Brydges narzekał na jej szorstkość – „zwłaszcza, że pochodziła od kobiety wysokiej rangą i wychowanej we dworze”. Wreszcie zamknęła się w swej samotni w Welbeck.

Jakże straszna jest wizja samotności i buntu, którą przywołuje na myśl Margaret Cavendish! Zupenie jakby jakiś gigantyczny ogórek rozrósł się do tak monstrualnych rozmiarów, że przykryłby sobą róże i goździki w ogrodzie i zadusił je wszystkie na śmierć. Jakież to marnotrawstwo, że kobieta, która napisała, iż „najlepiej wychowane kobiety to te o najsłabiej umysłach”, traciła rozrzućnię swój czas bagrząc niedorzeczności i popadając w otchłań coraz głębszego dziwactwa i obłądki, aż wreszcie grupki gapiów zaczęły się zbiegać, by popatrzeć, jak wychodzi z powozu. Wszystko wskazuje na to, że szalona Księżna stała się potworem, którym straszono rozumne dziewczynki. Tu odłożyłam Księżnę na półkę i otworzyłam listy Dorothy Osborne, ponieważ przypomniałam sobie, co Dorothy Osborne napisała do Temple'a o nowej książce Księżnej: „Ta biedna kobieta musiała nieco zwariować, wszak inaczej nigdy nie byłaby tak śmieszna, by pisać książki i to jeszcze wierszem; gdybym nawet dwa tygodnie nie spała, tak nisko bym przecie nie upadła”. A zatem, ponieważ żadna rozsądna i skromna kobieta nie mogła pisać książek, Dorothy, istota o naturze wrażliwej i melancholijnej, zaś temperamente przeciwnym do Księżnej, nie napisała nic. Listy się nie liczyły. Kobieta mogła



wszak pisać listy czuwając przy łóżu chorego ojca. Mogła je pisać przy kominku, nie przeszkadzając mężczyznom w rozmowie. Niezwykle jest jednak to, pomyślałam przewracając kartki listów Dorothy, że ta nigdy nie kształcona samotna dziewczyna miała tak wielki dar pisarski, że tak pięknie po- trafia uformować zdanie, tak zwięźle naszkicować scenkę. Posłuchajcie, jak opowiada:

„Po kolacji siadamy pospołu i gawędzimy aż ktoś wspomni pana B. i wtedy ja wychodzę. Skwarne godziny przepędzam czytając lub szyjąc, zaś koło szóstej lub siódmej, idę na Łąki gminne, co leżą niedaleko domu gdzie wiele dziewcząt wypasa owce i krowy, same zaś siadają w cieniu i śpiewają Ballady; idę więc do nich i porównuję ich głosy z głosami i pięknem twarzy Starożytnych Pasterek, o których czytałam i różnicę znajduję ogromną, choć wierzę, że myślę iż są to najniewinniejsze z dziewcząt. Rozmawiam z nimi i znajduję, że do tego by być najszcześniejszymi istotami pod słońcem nie dostaje im nic oprócz wiedzy że tak właśnie jest. Często kroć w samym środku naszego dyskursu któraś z nich się rozzejrzy i widzi że krowa jej w zboże weszła a wtenczas wszystkie zrywają się pędem, jakby im kto skrzydła do stóp poprzyczepiał. Ja zaś tak jestem zwinna, że daleko w tyle za nimi zostaję, i kiedy widzę jak gnają bydlę do domu, to myślę że i na mnie już pora. po kolacji idę do ogrodu i dalej nad brzeg tej małej Rzeczki która płynnie opodal i siadam sobie i marzę, żebyś Ty była tu ze mną...”

Mozna by przysiąc, że miała w sobie zadatki na pisarkę. Cóż, skoro „gdybym nawet dwa tygodnie nie spała, tak nisko bym przecie nie upadła” – łatwo zgadnąć, jakiego potępienia mogła oczekiwać kobieta, która pragnęła pisać, skoro nawet jeśli miała wielką skłonność do pióra, kazała sobie wierzyć, że napisać książkę to tyle, co okazać się śnieżną a nawet szaloną. I tak, ciągnęłam dalej, odstawiając na półkę cienki tomik listów Dorothy Osborne, doszłyśmy do pani Behn.

Dochodząc zaś do pani Behn, osiągamy na naszej drodze bardzo istotny zakręt. Zostawiamy oto za sobą, zamknię-

te w wielkich ogrodach, wśród starych foliastów, wszystkie te samotne wielkie damy, które pisały bez publiczności i bez krytyki, dla własnej tylko przyjemności. Jesteśmy teraz w mieście, co krok ocieramy się o zwykłych przechodniów. Pani Behn była kobietą z klasy średniej i posiadała wszelkie plebejskie cnoty – poczucie humoru, radość życia i odwagę. Była kobietą, którą śmierć męża oraz kilka niefortunnych przygód zmusiły do tego, by zarabiać na chleb bystrością własnego umysłu. Pracowała bardzo ciężko i udało jej się zarobić tyle, by przeżyć. Otóż ten jeden prosty fakt przyciemnia sobą wszystko, co napisała, nawet wspaniały *Tysiąc mężczyznów*, nawet *Mitość zasiadła w fantastycznej chwałce* – od tego faktu zaczyna się bowiem wolność umysłu, czy może raczej możliwość, że z czasem umysł będzie na tyle wolny, by pisać to, na co ma ochotę. Od chwili, gdy Aphra Behn postawiła na swoim, młode dziewczyny mogły powiedzieć rodzicom: „Nie musicie dawać mi kieszonkowego; mogę zarabiać piórem”. Oczywiście, jeszcze przez wiele lat dziewczęta sływały w odpowiedzi: „Tak, i wieść takie życie jak Aphra Behn? Śmierć byłaby lepsza!”, potem zaś drzwi trzaskały gwałtowniej niż kiedykolwiek. W tym miejscu należałoby może podjąć tę niezwykle interesującą kwestię, jaką jest wartość przypisywana przez mężczyzn kobiecej czystości oraz wpływ tych przekonań na kobiecą edukację. Datoby się zrobić z tego całkiem ciekawą książkę, gdyby tylko jakaś studentka z Girton lub Newnham zechciała zgłębić ten temat. Za ołdakę mógłby posłużyć portret lady Dudley, siedzącej na wrzosowisku gdzieś w Szkocji, przybranej w diamenty i otoczonej chmarą much. Całkiem ostatnio, w dniu śmierci lady Dudley, „The Times” napisał, że lord Dudley, „mężczyzna o wielkim smaku i licznych zasługach, był człowiekiem wielkodusznym i hojnym, lecz przy tym kapryśnym despotą. Upięrał się, by jego żona występowała w pełnej toalecie nawet w najodleglejszej górskiej chatce myśliwskiej; obwieszał ją klejnotami” i tak dalej, „dawał jej wszystko – zawsze jednak z wyjątkiem najmniejszej choćby dozy odpowiedzialności”. A potem lord Dudley miał wylew, żona zaś pielę-

nowała go i zarządzała jego dobrami w sposób niestydnie kompetentny, aż do końca swoich dni. Kapryśny despotyzm istniał więc także i w dziewiętnastym wieku.

Wróćmy jednak do rzeczy. Aphra Behn dowiodła, że można zarabiać pieniądze pisząc książki, choć trzeba przy tym poświęcić, być może, pewne nader sympatyczne cechy charakteru; i tak pisanie stopniowo stało się nie tyle oznaką szaleństwa lub rozkojarzenia, co raczej czymś o znaczeniu praktycznym. Mógł umrzeć mąż, taka lub inna katastrofa zawsze mogła osiągnąć rodzinę. W osiemnastym wieku setki kobiet zaczęły uzupełniać zawartość swych sakiewek lub spieszyc na ratunek swoim rodzinom, robiąc tłumaczenia lub pisząc owe niezliczone podrzędne powieści, o których dziś nie pisze się nawet w podręcznikach, ale które można kupić za cztery pensy na Charing Cross Road. Ta niezwykła aktywność umysłowa, która ujawniła się wśród kobiet w drugiej połowie osiemnastego wieku – całe to rozprawianie, urządzanie spotkań, pisanie esejów o Szekspirze, tłumaczenie klasyków – wszystko to oparte było na jednym bardzo konkretnym fakcie, tym mianowicie, że kobiety mogły teraz pisanem zarabiać pieniądze. Pieniądże dodają godności temu, co pozostaje frywolne, jeśli nikt za to nie płaci. Można było co prawda nadal naśmiewać się z „sawantek, które do czczej bazgraniny aż ręka świerzbiła”, nie sposób było jednak przeczyć temu, że potrafiły one napełniać swoje sakiewki. Pod koniec osiemnastego wieku nastąpiła więc pewna przemiana i gdybym to ja miała na nowo pisać historię, opisałabym ją, dokładniej i przypisałabym jej większe znaczenie niż wyprawom krzyżowym i wojnom Dwóch Róż. Oto kobieta z klas średnich zaczęła pisać. Jeśli bowiem liczy się *Duma i uprzedzenie*, jeśli liczą się *Middlemarch*, *Villette* i *Wichrowe Wzgórza*, to liczy się również i to – o wiele bardziej niż mogę to wykazać podczas godzinnego wykładu – że za piora chwyciły teraz już nie pojedyncze arystokratki, zamknięte wśród foliatów w swych wiejskich posiadłościach, lecz zwykłe kobiety. Bez tych prekursorok ani Jane Austen, ani siostry Brontë i George Eliot nie napisałby nic – tak jak Szekspir

nie napisałby nic bez Marlowe'a, Marlowe bez Chaucera, Chaucer zaś bez owych zapomnianych poetów, którzy wytoczyli pierwsze drogi i okiełznali pierwotną dzikość ludzkiej mowy. Arcydzieła nie rodzą się bowiem samotnie i pojedynczo; są efektem wielu lat zbiorowego myślenia, myślenia, które wspólnie podejmuje ludzka gromada, tak, że za pojedynczym głosem stoi doświadczenie tysięcy. Jane Austen powinna być złożyć wieniec na grobie Fanny Burney, George Eliot, zaś oddać hold potężnemu cieniowi Elizy Carter – tej dzielnej starej kobiety, która u węgłowa swego łózka przywiązała dzwonek, by wstawać wcześniej i uczyć się greki. Wszystkie kobiety powinny wspólnie składać kwiaty na grobie Aphry Behn, który – fakt to skandaliczny, a przecież uzasadniony – znajduje się w Westminster Abbey, ona to bowiem zdobyła dla nich prawo mówienia tego, co myślała. To dzięki niej właśnie – tej ciemnej i kochliwej postaci – nie jest zupełną mrzonką, gdy mówię dziś do Was: „Spróbujcie zarobić pięćset funtów rocznie pracą własnego umysłu”.

I tak dotarliśmy do początków dziewiętnastego wieku. Tu po raz pierwszy znalazłam kilka półek przeznaczonych wyłącznie na twórczość kobiecą. Przebiegając wzrokiem po tytułach, nie mogłam się jednak oprzeć pytaniu, dlaczego z bardzo nielicznymi wyjątkami znajduję tu jedynie powieści? Wszak pierwotny impuls zwraca się ku poezji. „Najwzszsza głowa pieśni” była poetką. Zarówno we Francji, jak i w Anglii poetki były poprzedniczkami powieściopisarek. Co więcej, pomyślałam przyglądając się czterem sławnym nazwiskom, cóż właściwie łączy George Eliot z Emily Brontë? Czyż nie jest faktem, że Charlotte Brontë błędnie odczytała Jane Austen? Pomijając może to, że ani jedna z nich nie miała dzieci, trudno byłoby zebrać w pokoju cztery bardziej nieprzystające do siebie postacie – do tego stopnia trudno, że aż odczuwam pokusę, by wymyślić między nimi spotkanie i dialog. A jednak wszystkim czterem, kiedy siadały do pisania, jakaś dziwna siła kazała pisać właśnie powieści. Czyżby, zapytałam, miało to coś wspólnego z tym, że urodziły się w klasie średniej; z tym, że, jak to błyskotliwie opi-

sała potem panna Emily Davies, rodzina klasy średniej miała w początkach dziewiętnastego wieku tylko jedną bawialnię? Jeśli więc kobieta pragnęła pisać, musiała robić to we wspólnej bawialni. Co więcej, jak dowiadujemy się z gwałtownych skarg panny Nightingale – „kobiety nigdy nie mają, choćby pół godziny... dla samych siebie” – wciąż jej przerywano. W bawialni łatwiej było pisać prozę i fikcję niż poezję i dramaty. Wymaga to mniejszego skupienia. Jane Austen pisała w ten sposób aż do końca swoich dni. „To zdumiewające”, pisze w swych *Wspomnieniach* jej bratanek, „że udało jej się tyle osiągnąć, nie miała bowiem osobnego gabinetu, w którym mogłaby się schronić i większość jej pracy musiała być wykonywana w ogólnej bawialni, gdzie wciąż coś jej przerywało. Dbala też o to, by jej zajęcie nie zostało dostrzeżone przez służbę, gości lub kogokolwiek innego z wyjątkiem najbliższej rodziny”<sup>8</sup>. Jane Austen chowała więc swój rękopis lub zakrywała go skrawkiem bibuły. Z drugiej jednak strony, kobieta żyjąca w początkach dziewiętnastego wieku mogła w jeden tylko sposób doskonalić się w sztuce pisarstwa – ćwicząc się w obserwowaniu żywych ludzi i w analizie ich uczuć. Jej wrażliwość kształtował wpływ wspólnej bawialni. Uczucia innych osób musiały odcisnąć na niej swoje piętno, niustannie przecież miała przed oczami ich osobiste relacje. Dlatego też, kiedy kobiety z klas średnich zabrały się do pisanania, w naturalny sposób zaczęły pisać powieści, mimo iż wydaje się, że dwie z czterech słynnych pisarek ewidentnie nie były do pisania powieści stworzone. Emily Brontë powinna była pisać dramaty poetyckie; zaś wielki umysł George Eliot powinien był dalej podążać śladem impulsu, który pchał ją ku historii i biografii. Pisyła jednak powieści; można nawet posunąć się dalej, powiedziała, zdejmując z półki *Dumę i uprzedzenie*, i powiedzieć, że pisała dobre powieści. Nie chwalać się i w niczym nie uchybiając płci przeciwnej moż-

<sup>8</sup> *Memoir of Jane Austen*, autorstwa jej bratanek, Jamesa Edwarda Austen-Leigha.

na bowiem powiedzieć, że *Duma i uprzedzenie* to dobra książka. Ja w każdym razie nie poczułabym wstydu, gdyby ktoś przytapat mnie na pisaniu *Dumy i uprzedzenia*. A jednak Jane Austen była zadowolona, że skrzypią zawiasy, co pozwalało jej w porę ukryć rękopis, zanim ktokolwiek wszedł do pokoju. Jane Austen widziała bowiem w pisaniu *Dumy i uprzedzenia* coś wstydliwego. Zastanowiłam się, czy *Duma i uprzedzenie* nie byłaby lepszą powieścią, gdyby Jane Austen nie uważała za konieczne chować swój rękopis przed gośćmi? Żeby się o tym przekonać, przeczytałam jedną czy dwie strony, nie znalazłam jednak nic, co świadczyłoby o tym, iż okoliczności choćby w najmniejszym stopniu zaszkodziły jej pracy. Na tym zapewne polega największy cud. Oto kobieta żyjąca koło roku 1800 pisała bez nienawisści, bez goryczy, bez lęku, bez skarg, bez kazań. Tak właśnie pisał Szekspir, pomyślałam, rzucając spojrzenie w kierunku Antoniusza i Kleopatry; i ci, którzy porównują Szekspira i Jane Austen, mają zapewne na myśli to, iż umysły obojga wchłonęły bez śladu wszelkie przeszkody; dlatego właśnie nie znamy Jane Austen i nie znamy Szekspira, a przy tym zarówno Jane Austen, jak i Szekspir obecni są w każdym słowie, jakie kiedykolwiek napisali. Jeśli bowiem Jane Austen ucierpiała jakoś przez okoliczności zewnętrzne, to chyba tylko z powodu ciasnoty życia, które jej narzucano. Kobieta nie mogła samotnie wyjść z domu. Nigdy więc nie podróżowała; nigdy nie przejechała omnibusem przez Londyn, nigdy sama nie zjadła obiadu w gospodzie. Być może naturą Jane Austen było nie pragnąć tego, czego mieć nie mogła. Może jej geniusz i warunki jej życia pasowały do siebie zupełnie. Wątpię jednak, by mogło tak być w przypadku Charlotty Brontë, pomyślałam, otwierając *Dziwne losy Jane Eyre* i kładąc je obok *Dumy i uprzedzenia*.

Otworzyłam rozdział dwunasty i uwagę moją przykuło zdanie: „Niech mnie zresztą gani, kto zechce...” Za cóż to, zdziwiłam się, ganiono Charlotte Brontë? I zaczęłam czytać o tym, jak Jane Eyre lubiła wchodzić na dach, podczas gdy pani Fairfax smażyła galaretki, i jak tęsknie spoglądała w dal,

ponad wzgórze, na mglistą linię widnokregu. Wówczas to pojawiło się pragnienie i tęsknota, za które spodziewała się nagany: „pragnęłam mieć się wzroku, która by sięgnęła poza te granice, która by dotarła do ruchliwego świata, do miast pełnych życia, o których słyszałam wprawdzie, lecz nie widziałam nigdy – że wtedy pragnęłam więcej poznać i doświadczyć; nawiązać więcej stosunków z ludźmi, zaznajomić się z większą rozmaitością typów, niż mi było dane. Ceniłam to, co było dobre w pani Fairfax i w Adelce, ale wierzyłam, że istnieją inne i żywsze rodzaje dobrego, a to, w co wierzyłam, pragnęłam zobaczyć.

Kto może mieć mi to za złe? Wielu niezawodnie, i ci nazwą mnie malkontentką. Nie moja jednak była to wina. Niepokój leżał w mojej naturze, wzburzał mnie niekiedy do bólu...

Daremnie byłoby mówić, że istoty ludzkie powinny zadowolić się spokojem: potrzebują działania – a jeżeli nie mogą go znaleźć, stwarzają je sobie. Miliony skazane są na cichszy los od mego i miliony w milczeniu buntują się przeciwko swemu losowi. Nikt nie wie, ile buntów – prócz buntów politycznych – fermentuje w tłumach zaludniających świat. Kobiety uważa się na ogół za bardzo spokojne istoty, ale kobiety czują, tak samo jak mężczyźni; potrzebują ćwiczeń dla swych zdolności, pola dla swych wysiłków nie mniej niż ich bracia; cierpią, gdy są zbyt skrępowane, cierpią w bezwzględnym zastoju zupełnie tak samo, jak cierpiełby mężczyźni; i ciasnotą umysłu grzeszą ich bardziej uprzywilejowani bracia, którzy twierdzą, że kobiety powinny się ograniczyć do gotowania puddingów, robienia pończoch, grania na fortepianie i haftowania. Bezmysłnością jest potępiać je albo śmiać się z nich, jeżeli starają się robić więcej albo nauczyć więcej, niż zwyczaj wymaga dla ich płci.

Chodząc tak w samotności, nieradko słyszałam śmiech Gracji Poole...”\*

\* W przekładzie Teresy Świderskiej (przyp. red.).

Jakże niezręczny jest ten nagły zwrot, pomyślałam. Nieprzyjemnie jest tak ni stąd ni z owąd natknąć się na Grację Poole. Tok myśli został przerwany. Można by powiedzieć, ciągnęłam dalej, kładąc tę książkę obok *Dumy i uprzedzenia*, że kobieta, która napisała te strony, miała większy talent niż Jane Austen; jeśli jednak przeczytały je raz jeszcze i dostrzeżemy w nich to szarpnięcie, to oburzenie, to zrozumniemy, że nigdy nie uda jej się go w całości wydobyc na światło dzienne. Jej książki zawsze będą okaleczone i zdeformowane. Będzie bowiem pisać w gniewie tam, gdzie powinna pisać spokojnie. Będzie pisać głupstwa tam, gdzie powinna pisać mądrze. Będzie pisać o samej sobie tam, gdzie powinna pisać o postaciach swej powieści. Prowadzi nieustanną wojnę z własnym losem – czy można się zatem dziwić, że umrze młodo, cierpiąca i zdziwaczata?

Ogarnęła mnie teraz nieprzeparta chęć, by zabrać się przez moment myśla o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Charlotte Brontë miała, powiedzmy, trzysta funtów rocznie – ta niemądra kobieta sprzedała jednak prawa autorskie do swoich powieści z góry, za tysiąc pięćset funtów. Co by się jednak stało, myślałam dalej, gdyby jakimś sposobem posiadała więcej wiedzy o świecie, o pełnych życia miastach i dalekich stronach, więcej praktycznych doświadczeń, więcej styczności z ludźmi swojego pokroju, lepszą znajomość różnych typów osobowości. W swych narzekaniach dotknęła prawdy dotyczącej nie tylko własnych niedostatków jako pisarki, lecz całej swojej płci w owych czasach. Nikt lepiej od niej nie wiedział, jak bardzo mógłby jeszcze rozwinać się jej talent, gdyby nie wypalał się na darmo podczas samotnych wizji o odległych polach; gdyby dane jej było doświadczenie, podtrzymanie, znajomość ludzi. To jednak nie było jej dane – przeciwnie, tego właśnie jej odmawiano; musimy pogodzić się z faktem, że wszystkie te świetne powieści, *Villette*, *Emma*, *Wichrowe Wzgórze*, *Middlemarch*, pisaty kobiety, które tylko tyle doświadczyły życia, ile go mogło przelknąć do domu szacownego pastora, że pisaty je we wspólnych bawialniach tych szacownych domów kobiety tak ubogie, iż

mogły sobie pozwolić tylko na kilka kartek papieru naraz i na nich powstały potem *Wichrowe Wzgórze* i *Jane Eyre*. Co prawda, jedna z nich, George Eliot, uciekla wreszcie po licznych przygodach, jednak nie dalej niż do odosobnionej willi w St. John's Wood. Tam też osiadła, pozostając na zawsze w cieniu publicznej dezaprobaty. „Chciałabym”, napisała, „by dla wszystkich było zrozumiałe, że nigdy nie zaproszę do siebie nikogo, kto przedtem nie poprosi mnie o zaproszenie”; czyż nie żyła z żonatym mężczyzną i czyż jej widok nie mógł zagrozić niewinności pani Smith, czy dowolnej innej osoby, która przypadkiem udałaby się do niej z wizytą? Trzeba było się poddać konwencji społecznej i „odciąć się od tego, co ludzie nazywają światem”. W tym samym czasie, na odległym krańcu Europy pewien młody człowiek żył sobie dość swobodnie to z jakąś Cyganką, to znów z wielką damą; jeździł na wojny; zbierał bez żadnych przeszkód i ograniczeń różnorodne doświadczenia życiowe, które tak świetnie przysłużyły mu się później, kiedy zabrat się do pisania swych książek. Gdyby jednak Tolstoj mieszkał w tym czasie na plebanii, na odludziu, razem z zamężną damą, „odcięty od tego, co ludzie nazywają światem”, wówczas – choć z pewnością byłoby to doświadczenie bardzo uszlachetniające – wówczas wątplię, czy napisałby *Wojnę i pokój*.

Być może, dałoby się zapuścić nieco dalej w kwestię pisania powieści oraz wpływu płci na powieściopisarza. Jeśli zamknie się oczy i pomyśli o powieści jako o pewnej całości, okaże się ona tworem, który łączy z życiem pewne lustrzane podobieństwo, choć, rzecz jasna, jest to podobieństwo pełne niezliczonych uproszczeń i zniekształceń. W każdym razie konstrukcja ta pozostawia na zrenicy naszego wewnętrzznego oka pewien kształt, odsłania się nam to jako kwadraty, to w kształcie pagody, to znów jako budowla o niezliczonych skrzydłach i arkadach, to wreszcie jako gmach zwarty i solidny, przykryty kopułą jak katedra św. Zofii w Konstantynopolu. Kształt ten, pomyślałam sięgając pamięcią do kilku sławnych powieści, budzi w nas pewne określone, tylko

sobie właściwe uczucie. Uczucie to jednak natychmiast miesza się z innymi, ponieważ ów „kształt” nie powstaje z relacji między kamieniem a kamieniem, lecz między człowiekiem a człowiekiem. I tak powieść budzi w nas najrozmaitsze i sprzeczne ze sobą emocje. Życie kłóci się z czymś, co nie jest życiem. Ślad wielka trudność, by osiągnąć jakiegokolwiek porozumienie na temat powieści, ślad wielka siła naszych osobistych przesądów i wrażeń. Z jednej strony czujemy: „Ty, Johnie – bohaterze powieści – musisz przeżyć; jeśli zginiessz, wpadnę w otchłań rozpacz”. Z drugiej strony jednak mówimy: „Niestety, Johnie, musisz zginąć, bo tego wymaga kształt powieści”. Życie kłóci się z czymś, co nie jest życiem. Skoro jednak jest to choć po części życie, oceniamy je tak, jak oceniamy życie. Mówimy więc: „James należy do typu ludzi, których po prostu nie cierpię”. Albo: „Toż to zbieranina czystych absurdów. Ja nigdy nie mogłabym czuć czegoś podobnego”. Jeśli przywołamy z pamięci którąkolwiek ze sławnych powieści, zobaczymy jasno, iż cała ta konstrukcja jest czynną nieskończenie złożonym, ponieważ zbudowana zostaje z tyłu najrozmaitszych sądów i tyłu najrozmaitszych emocji. Jest więc rzeczą niesamowitą, że jakakolwiek książka, która powstała w ten sposób, żyje przez okres dłuższy niż rok lub dwa i że jest w ogóle możliwa, by angielski czytelnik rozumiał ją w ten sam sposób co Rosjanin lub Chińczyk. A jednak, od czasu do czasu, udaje im się przetwać i to w sposób godny podziwu. To, co utrzymuje je w całości w tych rzadkich przypadkach, gdy książki udaje się przeżyć (rozmyślałam właśnie o *Wojnie i pokoju*), to cecha, którą nazywamy uczciwością, choć nie ma ona nic wspólnego z placeniem rachunków lub honorowym zachowaniem w trudnych chwilach. To, co nazywam uczciwością w przypadku powieściopisarza, to przekonanie, które daje on czytelnikowi, że to właśnie jest prawda. Tak, czujemy, nigdy by mi nie przyszło na myśl, że tak może być; nigdy nie wi działam ludzi postępujących w ten sposób. A jednak przekonaneś mnie, tak właśnie jest, tak się czasem zdarza. Czytając, oglądamy więc każde zdanie, każdą scenę pod światło – tak

się bowiem dziwnie składa, że Natura wyposzystała nas w pewne wewnętrzne światło, w którym ocenić można uczciwość lub nieuczciwość powieściopisarza. A może jest raczej tak, że Natura, będąc akurat w niezwykle irracjonalnym nastroju, na ścianach ludzkiego umysłu naszkicowała niewidzialnym atramentem pewne przecucie, które wielki artysta potrafi potwierdzić; by szkic ten stał się widzialny, trzeba go oświetlić ogniem prawdziwego geniuszu. Kiedy go tak naświetlimy, możemy zobaczyć, jak nagle powraca do życia i ogarnia nas nagły zachwyt i chęć, by zakrzyknąć: „Ależ to właśnie jest to, co zawsze czułem, zawsze wiedziałem, to, czego zawsze pragnąłem!” I aż w nas kipi ze wzruszenia i przejęcia, i zamykamy książkę z szacunkiem, jakby była czymś niezwykle cennym, czymś trwałym i solidnym, do czego będziemy mogli powracać aż do końca naszych dni. Jeśli jednak te biedne zdania, które sprawdzamy pod światło, wzniecają w nas, co prawda z początku, szybki i chętny odzew jaskrawością swych barw i gwałtownością gestów, to potem zatrzymują się, jakby coś powstrzymywało ich rozwój; lub jeśli pod światło widać jedynie niewyraźną kreskę w jednym rogu, a plamkę czy kłęksa w drugim, jeśli nie pojawia się w całości żaden kształt, wówczas wdychamy zawiedzeni i mówimy sobie – no cóż, jeszcze jedna porażka. Gdzieś po drodze tej powieści stała się krzywda.

Istotnie, większej części książek gdzieś po drodze dzieje się jakaś krzywda. Ogromne napięcie sprawia, że wyobraźnia złamuje się w końcu. Umysł zatraca się i gubi swoją klarowność; nie potrafi już odróżnić prawdy od fałszu; nie ma już siły, by pchać naprzód tę wielką pracę, która wymaga, by w każdym momencie używać tak wielu różnych zmysłów i umiejętności. Jaki jednak wpływ ma na to wszystko płecć autora, pomyślałam, spoglądając na *Jane Eyre* i całą resztę. Czy fakt, że jest kobieta, może w jakikolwiek sposób naruszyć uczciwość powieściopisarki – tę uczciwość, którą uznalam za kręgosłup pisarza? Otóż fragment, który zacytowałam z *Jane Eyre*, niezłomie świadczy o tym, że z uczciwo-

Wartosci!

ścią powieściopisarki nazwiskiem Charlotte Brontë niebezpiecznie igrał gniew. Oto porzuciła swoją opowieść, której winna była całkowite oddanie, by zająć się osobistą bolączką. Przypomniała sobie, że pozabawiono ją należnej jej porcji doświadczeń życiowych – pragnęła swobodnie wędrować po świecie, tymczasem kazano jej tkwić w stagnacji na plebanii, cerując pończochy. Pod wpływem oburzenia jej wyobraźnia zbroczyła nagle z drogi i ten ostry zakręt jest dla nas odczuwalny. Wiele innych czynników oprócz gniewu szarpało jej wyobraźnię, spychając ją z właściwej jej drogi. Na przykład ignorancja. Portret Rochestera narysowany jest przecież po omacku. Czuje się w nim wpływ lęku; tak jak czuje się nieustannie gorzyc, która jest skutkiem ucisku, zaś pod całą jej namiętnością czuje się także cierpienie; jej książki, przy całym ich pięknie, przesywają spazmy okrutnego bólu.

Ponieważ powieść w pewien sposób odzwierciedla życie, zawarte w niej wartości są do pewnego stopnia wartościami z życia. Jest zaś oczywiste, że wartości kobiece różnią się często od tych, które stworzyła płęć przeciwna, to rzecz naturalna. A przecież męskie wartości mają przewagę. Ujmując rzecz po grubiańsku, piłka nożna i sport są „istotne”; zaś moda i kupowanie strojów – „trywialne”. I te wartości nieuchronnie zostają przeniesione do literatury. Oto ważna książka, zakłada z góry krytyk, ponieważ traktuje o wojnie. A oto książka nieistotna, bo mowa w niej o uczuciach kobiet w bawialni. Scena z pola bitwy jest ważniejsza niż scena ze sklepu – różnica wartości zaznacza się wszędzie, choć często znacznie subtelniej. Cała struktura powieści z początku dziewnątnastego wieku wznosiła się, jeśli było się kobietą, w umyśle, który lekko odchyłał się od pionu, przekrzywając całą wizję po to, by oddać hold zewnętrzny autorzytetom. Wystarczy przekartkować którąkolwiek z tych starych, zapomnianych powieści i wsłuchać się w ton, jaki w niej pobrzmiwa, by domyśleć się, że autorka napotykała na krytykę; to trafiamy na fragment pełen agresji, to znów na inny – zgodny i ustępny. Pisarka przyznaje, że jest „tylko

kobietą”, to znów zaklina się, że „nie jest gorsza niż mężczyzna”. Na krytykę odpowiadała tak, jak kazał jej temperament – nieśmiało i ulegle, lub z gniewem i naciskiem. Nie ważne, którą z tych dróg wybrała, istotne jest to, że myślała o czymś innym niż o swej opowieści. I oto jej książka spada nam na głowę. W samym jej środku widzimy skazę. I pomyślałam o tych niezliczonych książkach napisanych przez kobiety, rozproszonych – niczym małe, nadgryzione jabłka po sadzie – po londyńskich antykwariatach. Proces gnicia zaczyna się w nich od owej centralnej skazy. Pisarka uległa cudzej opinii, naginając do niej swoje wartości.

Jednak nie ulec wcale, nie przesunąć się ani na lewo, ani na prawo, musiało być prawie niemożliwością. Jakiegoż geniuszu, jakiej ogromnej wewnętrznej uczciwości było trzeba, by w samym środku tego czysto patriarchalnego społeczeństwa trzymać się niezmiennie własnej wizji rzeczywistości. Udało się to jedynie Jane Austen i Emily Brontë. Jest to kolejny, być może największy, powód do ich chwały. Pisaty tak, jak piszą kobiety, nie tak, jak piszą mężczyźni. Z wszystkich tych tysięcy kobiet, które pisały wówczas powieści, jedynie one dwie ignorowały zupełnie nieustanne nagabywania wiecznego pedagoga – pisz to, myśl tamto. Tylko one pozostały głuche na ten nieustępliwy głos, to gderliwy, to lekceważący, to dominujący, to zasmucony, to zgorzony, to gniewny, to dobroliwy niczym głos sympatycznego wujaszka – ten głos, który w żaden sposób nie potrafi zstawić kobiet w spokoju. Coś każe mu wciąż je straszyć, niczym nadgorliwa guwernantka, przypominając im, jak sir Egerton Brydges, że powinny być wyrafinowane; coś każe mu czynić krytyczne uwagi na temat płci nawet

<sup>9</sup> „Ma ona na widoku cel metafizyczny, a jest to niebezpieczna obsesja, zwłaszcza u kobiety, bowiem kobiety rzadko żywią zdrowe upodobanie do retoryki, typowe dla mężczyzn. Jest to dziwna wada u tej płci, która w innych kwestiach jest bardziej prymitywna i bardziej materialistyczna” – „New Criticon”, czerwiec 1928.

wówczas, gdy chodzi o poezję<sup>9</sup>, napominać kobiety i obiecywać im, że jeśli będą grzeczne i będą trzymać się pewnych określonych granic, które dany dżentelmen uznał za odpowiednie, otrzymają w nagrodę jakąś byskotkę: „...powieściopisarki powinny aspirować do doskonałości, zawsze dzielnie uznając ograniczenia własnej płci”<sup>10</sup>.

To jedno zdanie streszcza w sobie wszystko i kiedy, ku Waszemu zdziwieniu, jak sądzę, powiem Wam, że napisano je nie w sierpniu 1828, lecz w sierpniu 1928, to chyba zgodzicie się ze mną, że chociaż dzisiaj może nam się ono wydać przeżabawne, to jednak reprezentuje rozległy obszar poglądów – pozwólcie, że nie będę betać tych męnych bajorek, podnoszę tylko to, co przypadkiem podpiły pod moje stopy – poglądów, które sto lat temu cieszyły się znacznie większą żywotnością i posłuchem. Tylko bardzo dzieła i zdeterminowana młoda kobieta mogła w 1828 roku ignorować wszystkie te ironiczne uwagi, groźby i obietnice nagród. Musiała być prawdziwą wicherzycielką, by powiedzieć samej sobie: „Ależ nie mogą przywłaszczać sobie także i literatury. Literatura jest przecież otwarta dla wszystkich. Nie pozwolę, mimo iż jesteś Pedlem, byś przepędził mnie z tego trawnika. Możecie, skoro tak wam na tym zależy, zamknąć na klucz swoje biblioteki; ale nie ma takiej bramy, takiego zamka, ani takiego rygła, który pozwoli wam pozbawić mnie swobody mojego umysłu”.

Jakby jednak nie wpływały na ich twórczość ciągłe zniechęcanie i krytyka – a sądzę, że wpływały bardzo silnie – bez porównania większe znaczenie miała inna trudność, której kobiety musiały stawić czoła (wciąż jeszcze myślałam o poliwiesciopisarkach z początków dziewiętnastego wieku), jeśli pragnęły utrwalić swoje myśli na papierze – ta mianowicie,

<sup>10</sup> „Jeśli, jak piszący te słowa, wierzyacie, że powieściopisarki powinny aspirować do doskonałości, zawsze dzielnie uznając ograniczenia własnej płci (Jane Austen dowiodła, z jakim wdziękiem można wykonać ten gest)...” – *Life and Letters*, sierpień 1928.

Tradycja

11/12

że nie stała za nimi żadna tradycja, lub jedynie tradycja tak krótka i jednostronna, że na niewiele mogła im się przydać. Bowiem my, kobiety, spoglądamy wstecz poprzez nasze matki. Nie ma sensu zwracać się o pomoc do wielkich pisarzy płci przeciwnej, choćbyśmy nie wiem jak często zwracali się do nich dla przyjemności. Lamb, Browne, Thackeray, Newman, Sterne, Dickens, De Quincey – wszystko jedno, po którego z nich sięgnijemy – żaden z nich jak dotąd nie pomógł kobiecie, choć mogła się ona nauczyć od nich paru sztuczek i dostosować je do swoich potrzeb. Sam ciężar, puls i rytm męskiego umysłu zanadto różnią się od jej własnych, by mogła przejąć od mężczyzny coś konkretnego. Model jest zbyt odległy, by dało się go wiernie naśladować. Być może pierwsza rzecz, która zwraca uwagę kobiety, kiedy ta dotyka piórem kartki papieru, jest fakt, że nie istnieje żadne zwyczajne zdanie, przygotowane dla niej do użytku. Wszyscy wielcy powieściopisarze, tacy jak Thackeray, Dickens i Balzac pisali prozą naturalną, wartką, ale pozbawioną znamion niechlujstwa, pełną wyrazu lecz nigdy cikliwą, naznaczoną wyraźnie specyficznym tonem autora, ale nie przestającą przez to stanowić własności publicznej. Proza ta była oparta na aktualnie obowiązującym zdaniu. Zaś zdanie obowiązujące w początkach dziewiętnastego wieku wyglądało, jak sądzię, mniej więcej tak: „Wielkość ich dzieł nie skłaniała ich do tego, by pracy zaprzestać, lecz aby kroczyć dalej. Nie mogli osiągnąć większych wzruszeń i zadowolenia od tych, które dawała im sztuka, ta niekończąca się procesja prawdy i piękna. Sukces skłania do wysiłku; zaś nawyk pracy prowadzi do sukcesu”. To właśnie jest męskie zdanie; za nim stoi Johnson, Gibbon i cała reszta. Było to zdanie najzwyklejsze i niezdatne do kobiecych potrzeb. Charlotte Brontë, mimo iż miała niesłychany talent prozatorski, wciąż potykała się i przewracała, dzierżąc w dłoni tę ciężką i niewygodną broń. George Eliot popełniała z pomocą tego zdania okropności, których żadne słowa nie są w stanie opisać. Jane Austen natomiast spojrziała na nie i wybuchnęła śmiechem, po czym stworzyła na swój własny użytek całkowicie naturalne i bar-

96

do zgrabne zdanie, od którego nigdy już nie odstąpiła. Dlatego, mimo iż jej geniusz pisarski nie dorównywał geniuszowi Charlotte Brontë, udało jej się nieskorończenie więcej powieścić. Jeśli zatem swoboda i pełnia wyrazu stanowią samo sędziwo sztuki, to ów brak tradycji, ów niedostatek narzędzi, musiały wyrządzić wielką krzywdę kobiecemu piarstwu. Co więcej, książka nie składa się przecież ze zdań ułożonych jedno za drugim, lecz ze zdań ustawionych – nie wiem czy ta metafora zda się Wam na coś – w arkady lub kopuły. A te kształty także stworzyli mężczyźni dla własnych potrzeb i celów. Nie ma żadnych powodów, by sądzić, że forma epiki lub dramatu poetyckiego nadaje się dla kobiety choćby odrobinię lepiej niż stworzone przez mężczyzn zdanie. Tymczasem w chwili, gdy ona zaczynała pisać, wszystkie starsze formy literackie zdążyły już skryształizować się i utrwalić na dobre. Jedynie powieść była na tyle młoda, na tyle miękka, że dawała się formować w jej dłoniach – być może jest to jeszcze jedna przyczyna, dla której kobieta wybrała właśnie powieść. Któż jednak może stwierdzić, że nawet dzisiaj „powieść” (wzięłam ją w cudzysłów, by dać wyraz memu przekonaniu, że nie jest to odpowiednie słowo), że nawet ta najbardziej giętka ze wszystkich form jest ukształtowana odpowiednio do jej potrzeb? Nie wątpię, że zobaczymy jeszcze, jak nagina ją i uklepuje zgodnie z własną wolą, robi to, gdy tylko będzie miała wolne ręce i stworzy w ten sposób jakiś nowy środek wyrazu, niekoniecznie zresztą wierszowany, odpowiedni, by dać ujście drzemiącej w niej poezji. Bo to właśnie poezja nadal nie może wydosłać się na zewnątrz. I zaczęłam rozmyślać nad tym, jak w obecnych czasach kobieta napisalaby tragedię poetycką w pięciu aktach – czy napisalaby ją wierszem, czy raczej użyłaby prozy?

Są to jednak trudne pytania, drzemiące w mrokach przyszłości. Muszę zostawić je w spokoju, choćby dlatego, że odciągają mnie od właściwego tematu i każą wędrować po leśnych bezdrożach, gdzie z pewnością zgubię się i gdzie mogą mnie poznać dzikie bestie. Nie mam najmniejszej ochoty – a jestem pewna, że i wy tego nie chcecie – za-

8

dzikie

97



Li X

głębiąc się w ten ponury temat, jakim jest przyszłość fikcji literackiej, zatrzymam się więc przy nim tylko na chwilę, by zwrócić Waszą uwagę na wielką rolę, jaką, jeśli chodzi o kobiety, muszą w przyszłości odegrać warunki fizyczne. Książka jest jakoś dostosowana do ciała, można więc zaryzykować stwierdzenie, że książki pisane przez kobiety powinny być krótsze, bardziej skupione w sobie, niż te pisane przez mężczyzn, że powinny mieć formę, która nie wymaga długich godzin skupionej i nieprzerwanej pracy. Zawsze bowiem coś jej będzie przeszkadzało. Jest jeszcze i to, że nerwy, które żywią mózg, wydają się inne u mężczyzn i u kobiet, więc jeśli chcemy, by działały najlepiej i najsprawniej, jak mogą, musimy dowiedzieć się, jakie traktowanie najlepiej im służy – czy na przykład są dla nich odpowiednią pożywką te długie godziny wykładów, które, jak sądzę, kilkadziesiąt lat temu należały zakonnicy; jaki rytm pracy i odpoczynku jest im potrzebny, jeśli przez odpoczynek rozumieni nie tyle bezczynność, co czynność, tyle że inną niż zwykle i na czym powinna polegać ta różnica? Wszystko to należy przedyskutować i odkryć; i wszystko to jest częścią pytania o kobietę i fikcję literacką. Skąd jednak, myślałam dalej, podchodzić znowu do półki z książkami, wezmę owo wielkie i złożone dzieło o psychologii kobiecej, napisane przez kobietę? Jeśli bowiem z powodu braku zdolności do pilki nożnej kobietom nadal będzie się odmawiać prawa do praktyki lekarskiej – na szczęście moje myśli zwróciły się teraz w innym kierunku.

psychologia

## Rozdział piąty

Rozmyślając tak bezładu i składu, dotarłam wreszcie do półek, na których stały książki żyjących pisarzy; mężczyzn i kobiet; bo mamy dziś niemal tak wiele książek pisanych przez kobiety, jak przez mężczyzn. A jeśli nawet nie jest to jeszcze do końca prawdą, jeśli nawet pięć męska wciąż jeszcze jest bardziej wymowna, to jednak nie ulega wątpliwości, że kobiety nie piszą już wyłącznie powieści. Mamy książki Jane Harrison o greckiej archeologii; książki Vernon Lee o estetyce; książki Gertrude Bell o Persji. Mamy książki na najrozmaitsze tematy, których pokolenie temu nie odważyłoby się trącić żadna kobieta. Mamy wiersze, dramaty i krytykę literacką, mamy dzieła historyczne i biograficzne; książki naukowe i badawcze; mamy nawet kilka rozpraw filozoficznych, książek naukowych i ekonomicznych. I chociaż powieści przeważają, to przecież jest bardzo prawdopodobne, że i powieści zmieniły się nieco pod wpływem towarzystwa książek innej maści. Możliwe, że czas naturalnej prostoty, wielki okres kobiecej epiki, minął już bezpowrotnie. Lektury i słowa krytyków mogły sprawić, że pisarstwo to nabrało rozmachu i większej subtelności. Być może, wyczerpał się już impuls do autobiografii. Być może, kobieta zaczyna dziś używać pisma jako sztuki, nie zaś jako metody autoekspresji. Niewykluczone, że w nowych powieściach uda nam się znaleźć odpowiedzi na niektóre z tych pytań.

Wybrałam jedną z nich, zupełnie przypadkową. Stała na samym końcu półki, nazywała się *Przygoda życia*, czy coś w tym rodzaju, jej autorką była Mary Carmichael. Wydano ją w tym właśnie miesiącu, w październiku. Zdaje się, że to jej pierwsza książka, trzeba ją jednak czytać tak, jakby stanowiła ostatni tom w dość długiej serii, ciąg dalszy tych wszystkich książek, które dziś przeglądałam – wierszy lady Winchilsea, dramatów Aphry Behn, powieści czterech wielkich pisarek dziewiętnastego wieku. Bowiem każda książka jest dokończonym poprzędnym, mimo iż mamy zwyczaj każdą oceniać z osobna. Muszę pomyśleć także i o niej – o tej nieznannej kobiecie – jako o spadkobierczyni wszystkich tych innych kobiet, których losy przemknęły mi dziś przed oczami i zastanowić się, jakie ich cechy i ograniczenia stały się jej dziedzictwem. Tak więc, z westchnieniem – bowiem powieść, zamiast być antidotum, często bywa anodyna i wtrąca nas w niespokojny sen, zamiast kazać się zerwać, jak po zeknięciu z rozpalonym żelazem – usadowiłam się z zeszytami i ołówkiem, aby zrozumieć to, co się dało zrozumieć z pierwszej powieści Mary Carmichael – *Przygody życia*.

Zaczęłam od szybkiej wędrówki w dół i w górę strony. Najpierw, powieździłam sobie, oswoję się z rytmem jej zdań, zrobię to, zanim zacznę zapamiętać brzęczące i błękitnym oczu oraz wiedzą o tym, co łączy Chloe i Rogera. Będzie na to dość czasu, kiedy już dowiem się, czy Mary Carmichael trzymała w dłoni pióro czy siekiere. Posmakowałam więc końcem języka kilku zdań. Już po chwili byłam pewna, że coś jest niezupełnie tak. Coś blokowało gładki przepływ zdań. Coś tu się rozdzierało, coś zgrzytało; to tu, to tam jakieś pojedyncze słowo błyskało mi przed oczami pochodnią. Autorka sama gotowała sobie zębę, jak mawiają poście z dawnych dramatów. Pomyślałam, że zachowuje się jak ktoś, kto wciąż pociera zapalkę, nie mogąc jej zapalić. Dlaczego jednak – zadałam jej to pytanie, zupełnie jakby była obecna – nie odpowiadają ci zdania, jakie stworzyła Jane Austen? Czy koniecznie musisz je wszystkie wymazać, dlatego tylko, że Emma i pan Woodhouse dawno nie żyją?

No cóż, westchnęłam cicho, a jednak szkoda. Bowiem, jeśli Jane Austen gładko przepływa z jednej melodii do drugiej, tak jak Mozart przechodzi od pieśni do pieśni, to lektura tej książki przypominała raczej wędrówkę po morzu w odkrytej łodzi. To wypływałam na fal, to znów niebezpiecznie się zanurzałam. Ta szorstkość, ten brak tchu mogły oznaczać, że autorka boi się czegoś; może tego, że ktoś nazwie ją „sentymentalną”; a może pamięta, że o pisarstwie kobiecym mówi się często, iż jest kwieciste, i dlatego dostarcza nam namiaru koliców; jednak półki nie przeczytałam jakiejś scenki naprawdę uważnie, nie mogąc mieć pewności, czy jest ona sobą czy też kogoś udaje. W każdym razie, pomyślałam czytając z większą uwagą, nie odbiera nam energii. Z drugiej strony, piętrzy zbyt wiele faktów. W książce tej wielkości nie uda jej się wykorzystywać nawet połowy z nich. (Powieść była mniej więcej w połowie tak obszerna jak *Jane Eyre*). Mimo to w ten czy w inny sposób udało jej się jednak ulokować nas wszystkich – Rogera, Chloe, Oliwię, Tony'ego i pana Big-hama – w kajaku płynącym w górę rzeki. Zaraz, zaraz! – powieździłam, przechylając się do tyłu w moim fotelu – muszę zastanowić się nad całą sprawą znacznie uważniej, zanim posunę się choćby o krok dalej.

Jestem prawie pewna, powieździłam do siebie, że Mary Carmichael postanowiła sobie z nas zakpić. Czuję się bowiem tak, jak człowiek czuje się w kolejce w lunaparku, kiedy wagonik, zamiast dalej opadać, wznosi się nagle do góry. Mary igra sobie z oczekiwaną kolejnością zdarzeń. Najpierw rozbiła zdanie, teraz rozbiła sekwencję. Bardzo dobrze, ma prawo robić jedno i drugie, o ile celem nie jest burzenie lecz budowanie. O którą z tych czynności tu chodzi? – tego nie mogę być pewna, póki nie zobaczę, jak Mary poradzi sobie z prawdziwą sytuacją. Pozwolę, pomyślałam sobie, by sama zdecydowała, na czym ma ona polegać; jeśli chce, może ją skłębic z blaszanych puszek i starych czajników, musi mnie jednak przekonać, że wierzy, iż to właśnie jest sytuacja; a kiedy ją już zbuduje, musi stawić jej czoła. Musi skonać to, co zaczęła. Zdecydowana, że dopełnię wobec

njej obowiązku czytelnika, o ile ona wywiąże się względem mnie ze swoich zobowiązań pisarskich, przewróciłam kartkę i przeczytałam... Przepraszam, że przerywam tak nagle. Czy na pewno nie ma na sali żadnych mężczyzn? Czy możecie mi przysiąc, że tam dalej, za tą czerwoną kotarą, nie kryje się postać sir Chartresa Birona? Czy aby możecie mnie zapewnić, że jesteśmy tu tylko my, kobiety? W takim razie mogę Wam powiedzieć, że następne słowa, jakie przeczytalam, brzmią tak: „Chloe lubiła Oliwię...” Nie zrywajcie się z miejsc. Nie czerwienicie się. We własnym gronie możemy chyba pozwolić sobie na to, by przyznać, że takie rzeczy czasem się zdarzają. Tak, czasem kobieta lubi drugą kobietę.

„Chloe lubiła Oliwię”. Przeczytałam raz jeszcze te słowa i nagle dotarło do mnie, jak wielka była to zmiانا. Chloe lubiła Oliwię po raz pierwszy, być może, w dziejach literatury. Kleopatra nie lubiła Oktawii. Pomyśleć tylko, jak bardzo inną sztuką byłby *Antoniusz i Kleopatra*, gdyby ją lubiała! Nie lubiła jej jednak i – obawiam się, że w tym miejscu pozwoliłam moim myślom oddalić się nieco od *Przygody życia* – w efekcie rzecz cała jest uproszczona, rzecz by można, gdyby ktoś się odważył, absurdalnie skonwencjonalizowana. Jedyną, co Kleopatra czuje do Oktawii, to zazdrość. Czy jest wyższa ode mnie? Jak układa swoje włosy? Konstrukcja dramatu nie wymaga, być może, niczego więcej. Jakże by jednak było ciekawie, gdyby związek między tymi dwiema kobietami był nieco bardziej skomplikowany. Tymczasem wszystkie kobiece związki, pomyślałam szybko przywołując z pamięci całą galerię fikcyjnych postaci, są zbyt proste. I spróbowalam przypomnieć sobie choćby jeden przypadek z całej mojej czytelniczej kariery, gdzie dwie kobiety przedstawiono by jako przyjaciółki. Jest taka próba w *Dianie na rozstajach*. Są też oczywiście powiernice u Racine’a i w tragediach greckich. Od czasu do czasu zdarzają się też matki i córki. Prawie zawsze jednak pokazuje się je przede wszystkim w relacjach z płcią przeciwną. Tymczasem stanowią one tylko niewielką część kobiecego życia; i jakże mało może o tym wiedzieć mężczyzna, który zawsze spogląda przez czarne lub

różowe okulary, jakie kładzie mu na nosie jego własna pięć. Stąd zapewne osobiwa natura kobiety w literaturze; stąd owe zdumiewające skrajności piękna i koszmaru; stąd te wahania między anielską dobrocią a piekielnym zdeprawowaniem – tak właśnie widziałby ją kochanek, bo fala jego miłości wznosiłaby się i opadała, to w szczęściu, to znów w rozpacz. Nie dotyczy to, oczywiście, powieściopisarek dziewiętnastowiecznych. W ich książkach kobieta staje się znacznie bardziej różnorodna i skomplikowana. Prawdopodobnie to właśnie chęć pisania o kobietach kazała mężczyznom stopniowo porzucić formę dramatu poetyckiego, który ze względu na swoją gwałtowność niewielki mógł z nich zrobić użytek, i stworzyć w jego miejsce powieść, jako bardziej pojemne naczynie. A jednak nawet w twórczości Prousta jasno widać, jak strasznie ogranicza mężczyzną jego cząstkowa wiedza o kobietach – tak samo jak kobietę ogranicza jej wiada o mężczyznach.

A także, rozmyślałam dalej, znów zaglądając do leżącej przede mną książki, staje się coraz bardziej oczywiste, że kobiety, podobnie jak mężczyźni, mają inne jeszcze zainteresowania prócz codziennych spraw dómowych. „Chloe lubiła Oliwię. Pracowały wspólnie w laboratorium...” Czytając dalej odkryłam, że te dwie młode kobiety zajmowały się mieleniem wątroby, która, jak się okazuje, jest lekiem przeciw anemii złośliwej: i to mimo iż jedna z nich była mężatką i miała, jeśli się nie mylę, dwoje matych dzieci. Otóż dawniej to wszystko zostaboby pominięte i dlatego wspomniały portret fikcyjnej kobiecości jest o wiele za prosty, o wiele za monotony. Wyobraźmy sobie na chwilę, że mężczyźni są w literaturze przedstawiani wyłącznie jako kochankowie kobiet, że nigdy nie pisano o nich jako o przyjaciółach innych mężczyzn, żonierzach, myślicielach, marzycielach; jakże niewiele ról Szekspirowskich można by im wówczas przydzielić; jak bardzo ucierpiałyby na tym literaturali Mielibysmy, co prawda, większą część Otella; spore fragmenty Antoniusza; nie byłoby jednak Cezara, ani Brutusa, ani Hamleta, Leana czy Jaques’a – pomyślcie tylko, jak strasznie zubożyłoby to literaturę;

o tak właśnie, jak niezmiernie zubożyło ją to, że wciąż zamyka no kolejne drzwi przed kobietami. Wydawano je za mąż wbrew ich woli, przez całe życie trzymano w tym samym pokoju i przy tych samych zajęciach – jaki dramaturg mógłby dać nam pełny lub choćby interesujący i prawdziwy obraz podobnych postaci? Jedynym możliwym interpretatorem była miłość. Poeta zmuszony był do namiętności lub gorczy, chyba że zdecydował się „nienawidzić kobiet”, co najczęściej oznaczało tyle tylko, że nie miał u nich powodzenia.

Jeśli jednak Chloe lubi Oliwię i jeśli pracują w tym samym laboratorium, co samo w sobie powinno urozmaicić i utrwalić ich przyjaźń, czyniąc ją mniej osobistą; jeśli, co więcej, Mary Carmichael potrafi pisać, a wyznam, że pewna jakość jej stylu coraz bardziej mi się podobała; jeśli ma własny pokój, czego nie jestem zupełnie pewna; jeśli ma pięćset funtów rocznie – o tym jednak należałoby się przekonać – jeśli tak właśnie jest, to sądzę, że stało się coś niesłychanie ważnego.

3 Bo jeśli Chloe lubi Oliwię i Mary Carmichael wie, jak to opisać, to w tej wielkiej komnacie, w której nikt jeszcze nie był, powinna zapłonąć latarnia. Sala ta pełna jest półświatła i głębokiego cienia i przypominają owe jaskinie, pełne zawitych korytarzy, do których wchodzi się ze świecą, wypatrując drogi w dół i w górę, nie wiedząc, gdzie postawi się następnym krok. Zrów utworzyłam książkę i przeczytałam, jak Oliwia odstawia na półkę jakiś stoik, mówiąc, że czas już iść do domu, do dzieci. Oto widok, jakiego nie widziano od początku świata, wykrzyknęłam. I przyglądałam się tej scenie z najwyższą ciekawością. Chciałam bowiem zobaczyć, jak też Mary Carmichael poradzi sobie dalej – czy uda jej się uchwycić te niezapisane dotąd gesty, te niewypowiedziane lub tylko na pół wypowiedziane słowa, które powstają, nieuchwytnie niczym cieniny na suficie, kiedy kobiety są same i nie oświetla ich kapryśne i kolorowe światło płci przeciwnej. Jeśli ma jej się udać, pomyślałam czytając dalej, będzie musiała wstrzymać oddech; kobiety stają się bowiem bardzo nieufne, gdy tylko okaże im się zainteresowanie, za którym

nie stoi żaden oczywisty motyw. Tak bowiem przywykły do tego, iż są niewidzialne i poddane czyjejś woli, że gdy tylko dostrzegą błysk oka zwróconego ciekawie w ich stronę, natychmiast umykają. Możesz tego dokonać tylko w jeden sposób, pomyślałam, zwracając się do Mary Carmichael, jakby była obecna, mów o czymś innym, wyglądaj spokojnie przez okno i notuj – ale nie otwórzem w zeszycie, lecz ulotnymi znaczkami stenograficznymi, słowami, w których zaledwie rysują się pełne sylaby – notuj, co stanie się z Oliwią – tą istotą, która przez miliony lat kryła się w cieniu skały – gdy poczujecie, że pada nań światło, gdy zauważy nagle na swej drodze to dziwne pożywienie – wiedzę, przygodę, sztukę. Oto wyciąga po to coś ręce, pomyślałam, podnosząc wzrok z nad strony i musi przestawić na zupełnie nowe tory wszystkie swoje siły, tak doskonale rozwinięte dla zupełnie innych celów, aby stare mogło wchłonąć nowe i aby nie zachwiała się przy tym niesłychanie subtelna i złożona równowaga całości.

Zrobiłam jednak to, czego postanowiłam nigdy nie robić; nie zauważając tego nawet, zaczęłam chwalić swoją własną płeć. „Doskonale rozwinięte” – „niesłychanie złożona” – nikt nie zaprzeczy, że są to słowa pochwały, zaś wychwalanie własnej płci jest zawsze podejrzane, często zaś głupie; co więcej, w tym przypadku, jakże mogłabym je usprawiedliwić? Nie mogłam wszak podejść do mapy i powiedzieć, że Amerykę odkrył Kolumb, a Kolumb był kobietą; albo też wziąć do ręki jabłko, czyniąc przy tym uwagę, że prawo grawitacji odkryła kobieta nazwiskiem Newton; lub spojrzeć w niebo i stwierdzić, że nad naszymi głowami latają samoloty, a samoloty wynalazły kobiety. Nie ma na ścianie znaku, który wskazywałby nam dokładnie wzrost kobiety. Nie ma takiej miarki – żadnego kija długości jarda, ze starannie zaznaczonymi ułamkami cali – którą można by przyłożyć do licznych zalet dobrej matki, do oddania córki albo wierności siostry, czy sprawności dobrej gospodyni. Tylko nieliczne kobiety poddano jak dotąd ocenie na uniwersytetach; prawie w ogóle nie testowano ich w pracy zawodowej, w armii i marynar-

ce, handlu, polityce i dyplomacji. Nadal pozostają niemal niesklasyfikowane. Gdybym natomiast zechciała dowiedzieć się wszystkiego, co człowiek może wiedzieć na przykład o sir Hawley Buttisie, to wystarczy, że otworzę Burke'a lub Debretta i natychmiast znajdę informację, że posiada on taki a taki dyplom; jest właścicielem pewnej rezydencji; ma spadkobiercę; był sekretarzem pewnej komisji; reprezentował Wielką Brytanię w Kanadzie; otrzymał ściśle określone liczbę dyplomów, orderów i innych odznaczeń, przez co jego zasługi na zawsze będą wyryte przy jego nazwisku. Jedynie Opatrzność może o sir Hawley Buttisie wiedzieć coś więcej.

Kiedy więc mówię o kobietach, że są „doskonale rozwinięte” i „niesłychanie złożone”, nie potrafię znaleźć potwierdzenia dla swych słów ani w Whitakerze, ani w Debretcie, ani w Kalendarzu Uniwersyteckim. Cóż mam począć? Znowu spojrzalam na półkę z książkami. Wzrok mój padł na biografie: był tam Johnson i Goethe, Carlyle i Sterne, Cowper i Shelley, Voltaire i Browning, i jeszcze wielu innych. Zaczęłam rozmyślać o wszystkich tych wielkich mężach, którzy i z tej czy innej przyczyny okazywali szacunek, podziw i miłość, poświęcali wiersze, darowywali domy, powierzali tajemnice i najszybsze uczucia, słowno, dawali dowody czegoś, co można opisać jedynie jako prawdziwą potrzebę a nawet zależność – pewnym osobom płci przeciwnej. Czy wszystkie te związki były absolutnie platoniczne? – tego nie mogłam z całą pewnością stwierdzić, sądząc też, że zaprzeczyłby temu sir William Joynson Hicks. Strzywdziłbyśmy jednak ogromnie tych świątych mężów, gdybyśmy uparcie twierdziły, iż związki te nie dawały im nic oprócz wygód, pochlebstw i rozkoszy cielesnych. Jest oczywiste, że dzięki nim uzyskiwali coś, czego ich własna płeć nie była im w stanie dostarczyć; i daby się, być może, nie przywołując na razie pochwalnych słów poetów, zdefiniować to coś nieco ściślej – jako swego rodzaju impuls, jako odnowę sił twórczych mężczyzny, której źródłem potrafi być tylko płeć przeciwna. Wyobrażam sobie, jak on otwiera drzwi do pokoju dzieciecego, by znaleźć tam ją, być może, w otoczeniu ich wspólnych dzieci, lub z robótką, powiedzmy haftem, na kolanach

– z pewnością widział w niej centrum innego porządku i systemu życia i ten kontrast między jej światem a jego własnym – światem sądów lub Izby Gmin – natychmiast go odświeżał, dodawał wigoru i nieodmiennie, nawet w najprostszej rozmowie, pojawiała się między nimi naturalna różnica poglądów, sprawiając, że jego własne myśli i sądy, nieco już suche i jałowe, odżywały teraz, jakby świeżo zapłodnione; zaś widok kobiety, tworzącej w innej niż on materii, dawał mu taki impuls, że bezpłodny męski umysł niepostrzeżenie znów zaczynał pracować, on zaś wiedział już, jakiej frazy lub słowa, lub scenki bezskutecznie poszukiwał w myślach, zanim zajął kapelusza, by udać się do niej z wizytą. Każdy Johnson ma swoją Thrale, której trzyma się z całym sił własnie z takich powodów – kiedy zaś Thrale wychodzi za mąż za swego nauczyciela muzyki, Johnson niemal popada w obłąd z wściekłości i obrzydzenia, nie tylko dlatego, iż tak bardzo tęskni do owych przyjemnych wieczorów w Streatham, lecz dlatego, że oto „jakoż zgasło całkiem światło jego życia”.

I nawet człowiek, który nie jest ani doktorem Johnsonem, ani Goethem, ani Carlylem, może odczuć, choć zapewne inaczej niż ci wielcy mężowie, istotę tej subtelności oraz siłę tej wysoko rozwiniętej zdolności twórczej kobiet. Wchodząc więc do pokoju – jednakże trzeba by znacznie nadwyrężyć całe bogactwo języka angielskiego, całe tabuny słów musiałby najpierw wdrzeć się doń nieprawnie, aby kobieta mogła wypowiedzieć, co czuje, wchodząc do pokoju. Pokoje różnią się bowiem niezmiernie; bywają spokojne lub pełne grzmotów; mają widok na morze lub, przeciwnie, na dziedzielniec więzienny; w jednych suszy się bielizna, inne pełne są blasków drogich kamieni i jedwabów; bywają twarde jak końska szczecina lub miękkie jak pierze – wystarczy wejść do dowolnego pokoju na dowolnej ulicy, aby ta niesłychanie złożona i różnorodna siła kobiecości uderzyła nas prosto w twarz. Jakże mogłoby być inaczej? Wszak kobiety przesiadywały w pokojach przez całe miliony lat, a ich twórcza

moc zdążyła przeniknąć nawet ściany i napełnić je sobą, do tego stopnia, że cegły i zaprawa murarska nie zniosą już chyba ani odrobiny więcej i moc ta musi koniecznie zaprząć na swoje usługi pióra i pędzle, biznes i politykę. Ta siła twórcza różni się jednak ogromnie od siły twórczej mężczyzny. Trudno więc nie dojść do wniosku, iż po stokroć szkoda byłoby ją powstrzymać albo zmarnować, jest bowiem dorobkiem całych stuleci najsurowszej dyscypliny i nie ma nic, co mogłoby zająć jej miejsce. Po stokroć byłoby szkoda, gdyby kobiety pisały tak, jak piszą mężczyźni, żyły, jak żyją mężczyźni lub zaczęły wyglądać tak jak oni – biorąc bowiem pod uwagę różnorodność świata, z trudem wystarczą nam dwie płcie, jak zatem daliśmy sobie radę, mając tylko jedną? Czy wykształcenie nie powinno podkreślać i umacniać różnic raczej niż podobieństw? Już i tak mamy zbyt wiele podobieństw i nikt nie wyświadczyłby ludzkości większej przysługi niż jakiś wielki podróżnik, który, wróciwszy ze swych wojazy, obwieściłby nam, że za gałęzi innych drzew na inne niebo spoglądają inne płcie niż te, które znamy; mielibyśmy wtedy okazję zaznać też i tej wielkiej przyjemności, jaką daje przyglądanie się profesorowi X, jak w poplochu szuka linijki, aby udowodnić swoją „wyższość”.

Mary Carmichael, pomyślałam, otrzyma formę powieści już gotową, podaną jej na talerzu. Wystarczy, że zostanie po prostu obserwatorką. Obawiam się więc, że ulegnie pokusie, by stać się tym, co uważam za mało ciekawą odmianę gatunku powieściopisarzy – naturalistką raczej niż pisarką kon-temporaryną. Tyle jest nowych faktów, którym może się teraz przyglądać. Nie będzie musiała ograniczać się do domów klas średnich i wyższych. Bez cienia wyniosłej taskowości i dobroci, w duchu przyjaźni wejdzie do tych małych, pachnących pokoi, w których prześiaduje kurtyzana, ladczenica i dama z mopsem na kolanach. Siedzą tam w sierniżnych, nie na ich miarę szytych ubraniach, w które siłą oblekli je pisarze-mężczyźni. Mary Carmichael wyciągnie nożyce i przynie te stroje tak, by pasowały do wszystkich wglębień i zakręglęń. Dziwny to będzie widok, gdy wreszcie ujrzymy te

kobiety takimi, jakie są, lecz przyjdzie nam na to jeszcze trochę poczekać, bowiem Mary Carmichael ciężko i przeszkadzać będzie owo zażenowanie w obecności „grzechu”, uczucie, które zostało nam w spadku po dawnym seksualnym barbarzyństwie. Jej nogi wciąż jeszcze spętane będą starym, przerdziałym tarcuchem klasowych uprzedzeń.

Jednakże kobiety w swej większości to ani ladczenice, ani kurtyzany; nie spędzają też letnich popołudni tuląc mopsy do zakurzonych aksamiatów. Cóż zatem robić? – tu stanęła mi przed oczami jedna z tych długich ulic gdzieś na południowej stronie rzeki i stojące przy niej niekończące się rzędy gęsto zaludnionych domów. Oczami wyobraźni zobaczyłam bardzo wielką damę – przechodziła przez ulicę, wsparta na ramieniu młodszej kobiety, zapewne swej córki, i obie były tak godnie odziane w futra, tak starannie obute, że popołudniowe strojenie się musiało stanowić dla nich coś na kształt rytuału, same zaś ubrania odkładano zapewne każdego roku do szafek z kamforą, gdzie spoczywały przez wszystkie letnie miesiące. Przeszły przez ulicę w tej samej chwili, gdy zapaliły się latarnie (zmierech jest bowiem ich ulubioną porą dnia), tak jak zapewne czynią to od lat. Starsza z nich dobiega osiemdziesiątki; jeśli by ją zapytać, jakie znaczenie ma dla niej jej życie, odpowiedziałaby, że pamięta, jak oświetlono ulicę podczas bitwy o Balaclawę, lub że słyszała, jak w Hyde Parku strzelano z okazji narodzin króla Edwarda VIII. I gdyby ją spytać, pragnąc przyszpilić ulotny moment datą i porą roku, co zatem robiłaś piętego kwietnia 1868 roku lub drugiego października 1875, spojrzalaby na nas mgliście i odrzekłaby, że nie pamięta. Ugotowane obiady znikają, talerze i filiżanki zostają umyte; wysyłane do szkoły dzieci odchodzą sobie w świat. Nic z tego wszystkiego nie pozostaje. Wszystko zniknęło. Żadna biografia, żadna książka historyczna nie powie nam o tym ani słowa. Powieści zaś, choć wcale tego nie chcą, nieuchronnie kłamią.

Wszystkie te zupełnie nieznanne życiorysy trzeba będzie zapisać, powieiedziałam, zwracając się do Mary Carmichael, jakby była obecna; i dalej wędrowałam w myślach ulicami

P. Ambler

Londonu, dźwigając w wyobraźni ten wielki ciężar milczenia, to niesłychane nagromadzenie życia, które pozostaje bez zapisu. Trudno powiedzieć, czy źródłem tego uczucia były kobiety, które siedziały podpierając się rękami, na rogach ulic, z obrączkami wrzynającymi się w grube, spuchnięte palce i głośno rozprawiły, gestykulując w rytmie, który przypominał melodię słów Szekspira; czy może te, co sprzedały folki lub te, co zapalki i stare wiedźmy usadowione na progach domów, lub przemycające bez celu dziewczęta, których twarze, niczym morskie fale na słońcu i na wietrze, zapowiadają nadejścia mężczyzn i kobiet, i światła migoczących w sklepowych oknach. Wszystko to będziesz musiała przeniknąć światłem swojej lampy, powiedziałaś do Mary Carmichael. Przede wszystkim jednak będziesz musiała oświetlić swoją własną duszę, wszystkie jej głębie i mielizny, jej próżność i hojność; będziesz musiała powiedzieć, co znaczy dla ciebie twoje własne piękno i brzydota i co łączy cię z tym nieustannie zmieniającym się światem rękawiczek, bucików i materiałów, które powiewają raz w górę, raz w dół wśród delikatnych zapachów, snujących się z aptekarskich buteleczek, poprzez zwoje i fałdy materiału, na suknie i dalej na podłogę ze szlucznego marmuru. W wyobraźni znalazłam się bowiem w pewnym sklepie; jego posadzka wyłożona była czarną i białą płytą; był obwieszony, w sposób zdumiewająco piękny, kolorowymi wstążkami. Dobrze by było, pomyślałam, gdyby Mary Carmichael zajrzała tu kiedyś przechodząc obok, jest to bowiem widok wart opisania nie mniej niż ośniewane szczyty i kamienie przelęcze w Andach. A oto i dziewczyna za ladą – prawdziwą historię jej życia powitała-bym chętniej niż sto pięćdziesiątą biografię Napoleona lub siedemdziesiąte studium o Keatsie i wykorzystaniu właśnie profesora Z i jemu podobni. I posunęłam się dalej, lecz bardzo ostrożnie, na czubkach palców (taki już ze mnie techniczek, tak bardzo obawiam się bata, który kiedyś niemal dotknął moich ramion) – posunęłam się do tego, by szeptem powiedzieć jej, iż powinna nauczyć się śmiać, lecz bez goryczy,

z próżności – powiedziałmy raczej, że z osobliwości, to mniej obraźliwe słowo – a więc z osobliwości płci przeciwnej. Z tyłu głowy każdego z nas znajduje się bowiem planka wielkości monety szylingowej, której nikt sam dostrzec nie potrafi. Opisywanie tej planki wielkości szylinga, którą każdy ma z tyłu głowy, należy do wielkich usług, jakie jedna plec wysłuchać może płci przeciwnej. Pomyślcie tylko, ile korzyści zacerpnęły kobiety z komentarzy Juvenalisa; ile zawdzięczają krytyce Strindberga. Pomyślcie, z jak wielką tagodnością i blyskotliwością mężczyźni od najdawniejszych czasów pomagają kobietom zobaczyć to ciemne miejsce z tyłu ich głów! Gdyby więc Mary okazała się bardzo odważna i bardzo uczciwa, stanęłaby teraz za plecami drugiej płci i doniosła nam o tym, co tam znalazła. Nigdy nie powstanie prawdziwy portret mężczyzny, jeśli kobieta nie opíše owej planki wielkości szylinga. Pan Woodhouse i pan Casaubon to właśnie planki tego rodzaju i tej wielkości. Nie chodzi oczywiście o to, by nakłaniać ją do stawiania sobie za cel sztyderstwa i pogardy dla mężczyzny – literatura jasno pokazuje darenność wszystkim, co napisano w tym duchu. Pisz prawdę, tak jej należy doradzić, a rezultat z pewnością okaże się niesłychanie ciekawy. Komedia na pewno stanie się wówczas jeszcze zabawniejsza. Na pewno zostaną odkryte nowe fakty.

Był jednak najwyższy czas, by znów opuścić wzrok na zadrukowaną stronę. Zamiał zastanawiać się nad tym, co Mary Carmichael mogłaby lub powinna napisać, należało sprawdzić, co Mary Carmichael napisała w rzeczywistości. Zaczęłam więc znów czytać. Przypomniałam sobie, że miałam do niej jakieś pretensje. Rozbiła zdanie Jane Austen, nie dając mi okazji do napawania się moim nieskazitelnym czuciem smaku, moim wysubtelionym słuchem. Byłoby bowiem absurdem powiedzieć „Tak, tak, moja miła, wszystko to bardzo ładnie, ale Jane Austen pisała znacznie lepiej niż ty”, skoro już przyznałam, że nie było między nimi żadnego podobieństwa. Ona tymczasem posunęła się jeszcze dalej – rozbiła sekwencję, naruszyła zwykłą kolejność zdarzeń. Być może zrobiła to nieświadomie, nadając sprawom

ich naturalny bieg i kolejność, tak jak zrobiłaby to kobieta pisząc na sposób kobiecy. Efekt tych zabiegów wprowadził mnie jednak w zakłopotanie; nie dało się wyzwać narastającej fali napięcia, nie dało się przewidzieć kryzysu, który właśnie krył się za węglem. W rezultacie nie mogłam też napawać się głębią moich własnych uczuć, ani moją wszechstronną znajomością ludzkich serc. Bowiem zawsze, gdy już prawie czulam to, co zwykle się czuje w pewnych określonych miejscach powieści, na przykład o miłości i o śmierci, właśnie wówczas owa irytująca istota przerywała mi nagle wpół zdania, jakby to, co naprawdę ważne, miało się zdarzyć jeszcze mały kawałek dalej. W ten sposób zupełnie uniemożliwiła mi wytoczenie moich dźwięcznych zdań na temat „uczuc pier-wotnych”, „istoty człowieczeństwa”, „otchłani ludzkiego serca” i wszystkich tych pozostałych formułek, które utwierdzają nas w przekonaniu, że choćbyśmy byli nie wiem jak zabawni z wierzchu, w głębi duszy jesteśmy niezwykle poważni, głębocy i ludzcy. Ona tymczasem podsunęła mi wręcz przeciwnie uczucie – że zamiast być poważną, głęboką i ludzką, jestem, być może – i myśl ta miała znacznie mniej powabu – jedynie leniwa umysłowo i, jakby tego było mało, nieco konwencjonalna.

Czytałam jednak dalej, notując w pamięci kolejne spostrzeżenia. Nie była żadnym „geniuszem” – to jedno było pewne. Nie miała w sobie nic z tej namiętnej miłości do przyrody, z tej pełnej żaru wyobraźni, z tej dużej mocy po-etyckiej, ostrości dowcipu i rozmarzonej mądrości, które miały w sobie jej wielkie poprzedniczki: lady Winchilsea, Charlotte Brontë, Emily Brontë, Jane Austen i George Eliot; nie potrafiła pisać tak melodyjnie a przy tym tak godnie, jak Dorothy Osborne – istotnie, nie była niczym więcej niż tylko bystrą dziewczyną, której książki powędnują za jakieś dziesięć lat na przemiat, oddane tam przez wydawcę. Mimo to miała jednak pewną przewagę nad kobietami, które, obdarzone nieporównanie większym talentem, żyły pół wieku wcześniej. Mężczyźni nie stanowili już dla niej „wrogiej frakcji”; nie musiała tracić czasu wyrzekając na nich; nie musiała wspinać

się na dach i niszczyć spokoju swego umysłu marząc o pod-  
różach, doświadczeniach, o poznawaniu świata i ludzi. Lęk i nienawiść zniknęły prawie zupełnie; jedynym ich śladem było to, że nieco przesadnie cieszyła się wolnością oraz że w swoim podejściu do pfcii przeciwniej skłaniała się ku ciep-  
kiej satyrze raczej niż ku romantyzmowi. Wreszcie, nie było wątpliwości, że jako powieściopisarka posiadała pewne natu-  
ralne, niezwykle cenne przymioty wyższego rzędu. Odzna-  
czała się szeroką, swobodną i chłonną wrażliwością, gotową  
odpowiedzieć nawet na nieznaczne dotknięcie. Wrażliwość ta  
uczłowiła nieustannie, niczym niedawno wybudziła roślina,  
chłonąc każdy obraz i każdy dźwięk, na jaki natrafiała. Zapu-  
szczała się też, z wielką subtelnością i zaciekawieniem, w naj-  
bardziej nieznane, nieopisane dotąd zakątki; rzuciła światło  
na rzeczy małe, pokazując, że, być może, wcale małe nie są.  
Wyciągała na światło dzienne rzeczy, które leżały dotąd głą-  
boko pod ziemią, każąc nam dziwić się, po co właściwie je  
zakopujemy. Tak, pomyślałam sobie, choć jest trochę nie-  
zdarna, choć brak jej nieświadomej gracji, jaka płynnie z dłu-  
giego tańcucha tradycji i czyni najmniejsze nawet zdanie  
Thackeraya czy Lamba tak rozkoszonym dla ucha, mimo to  
wszystko, pomyślałam, Mary Carmichael opanowała jednak  
pierwszą wielką naukę – pisała jako kobieta, lecz jako kobie-  
ta, która zapomniała, iż jest kobieta. Strony jej książki prze-  
sycone były tym dziwnym klimatem, który wiąże się z płcią,  
lecz pojawia się tylko wówczas, gdy pieć nie jest siebie świa-  
doma.

Wszystko to przemawiało na jej korzyść. Na nic jednak  
się nie zda obfitość odczuć i przenikliwość spojrzenia, jeśli  
z tego, co ulotne i osobiste, Mary Carmichael nie postawi  
trwałej budowli, której nic nie naruszy. Powiedziałam już, że  
poczekam, aż stanie twarzą w twarz z „sytuacją”. Miałam na  
myśli to, że powinna skinać, wezwać ku sobie i zebrać w  
jednym miejscu coś, co pokaże, że pisząc nie przemymka się  
jedynie po powierzchni zdarzeń, że jej spojrzenie sięga praw-  
dziwych głębi. Powinna w pewnej chwili powiedzieć sobie  
otwarcie, że oto nadszedł czas, by, nie czyniąc nic gwałtow-

int.  
Karmichael  
pued

\*  
k:k



nego, ujawnić sens całości. Wtedy właśnie – a moment, w którym wszystko nagle się krystalizuje, nie da się z niczym pomylić – powinna skinąć i wezwać z pamięci te na pół zapomniane i być może zupełnie trywialne rzeczy, o których w innych rozdziałach wspomniata jedynie w przelocie. I podczas gdy postacie jej powieści zajęte będą jak gdyby nigdy nie syciem lub paleniem fajki, Mary Carmichael powinna dać nam odczuć obecność tych zapomnianych znaczeń, tak by czytając ją miało się wrażenie, że oto wspiełliśmy się na sam wierzchołek świata i widzimy, jak – potężny i majestacyjny – rozłożył się u naszych stóp.

No cóż, w każdym razie stara się, jak może. Obserwując, jak wytręza wszystkie swoje siły w przygotowaniu się na moment próby, miałam nadzieję, że ona nie widzi tego, co ja widzę jak na dłoni – całego zastępu biskupów i dziekanów, doktorów i profesorów, patriarchów i pedagogów, którzy jeden przez drugiego wykrzykują swe rady i przestrogi. Tego nie potrafiisz, a tego ci nie wolno! Damom bez listu polecającego wstęp surowo wzbroniony! Ambithe i uroczce panie powieściopisarki, proszę tędy! Krzyczeli tak na nią, bez wytechnienia, jak zgromadzony przy barierce tłum kibiców podczas wyścigów konnych, jej zaś zadaniem było przeskokczyć przeszkode nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo. Jeśli zatrzymasz się, aby rzucić w ich stronę przekleństwo – zgine- taś; tak samo, jeśli wybuchniesz śmiechem. Zawahaj się choćby na chwilę, a będzie z tobą koniec. Błagam cię, myśł tylko o skoku – prosłam ją tak, jakbym postawiła na nią cały majątek, ona zaś przerunęła nad drążkiem tak lekko jak ptak. Za pierwszym płoikiem był jednak następny, a za tym- tym jeszcze następny. Zaczęłam mieć wątpliwości, czy będzie miała dość sił, by wytrwać, bo klaskanie i wrzaski tawo mogły nadszarpnąć jej nerwy. Zrobiła wszystko, co w jej mocy. Zważywszy, że Mary Carmichael nie była geniuszem, a jedynie nieznaną nikomu dziewczyną, że swą pierwszą powieść pisała w pokoju, który był zarazem bawialnią i sypialnią, nie mając przy tym nigdy ani dosyc czasu, ani pieniędzy

i swobody – zważywszy to wszystko, pomyślałam, poradziła sobie całkiem nieźle.

Dajmy jej jeszcze ze sto lat, zawyrokowałam, czytając ostatni rozdział – na tle ugwieżdzonego nieba ukazały się nosy i obnażone ramiona jakichś ludzi, ktoś bowiem poruszył zasłonę w bawialni – niech ma własny pokój i pięćset funtów rocznie, niech ma prawo mówić to, co myśł i niech nauczy się pomicać połowę tego, co dziś zapisuje, a pewnego dnia napisze lepszą ksiązkę. Za jakies sto lat, powiedziałam wrześnie, odkładając *Przygodę zycia* Mary Carmichael na sam koniec półki, zostanie poetką.

## Rozdział szósty

Następnego ranka przez odsłonięte okna wpadały do pokoju promienie październikowego słońca, tworząc świetliste kołmny pełne pyłków kurzu, podczas gdy z zewnątrz docierał szum ulicznego ruchu. Londyn znów rozkręcał swoje tryby, w wielkiej fabryce budził się ruch, maszyny zaczynały pracę. Odczułam pokusę, by po długich godzinach lektury wyjrzeć przez okno i zobaczyć, co też porabia Londyn rankiem dwudziestego ósmego października 1928 roku. Cóż zatem porabiał Londyn? Odniosłam wrażenie, że nikt nie czyta Antoniusza i Kleopatry. Stwierdziłam, że Londyn jest najzupełniej obojętny na dramaty Szekspira. Przyszłość literatury, śmierć poezji i to, czy przeciętna kobieta zdoła wypracować styl prozy, który w pełni wyrazi jej umysłowość – wszystko to obchodziło Londyńczyków tyle, co zeszłoroczny śnieg i wcale ich za to nie ganię. Gdyby ktoś wypisał kredą na chodniku swą opinię o którejś z tych kwestii, nikt nie przystanąłby nawet, by ją przeczytać. Nie minęłoby pół godziny, a nonszalancja pospiesznie stawianych kroków wymazałaby te zapiski całkowicie. Przechodził właśnie chłopiec na posyłki, a nieco dalej kobieta z psem na smyczy. Magia londyńskiej ulicy polega na tym, że nigdy nie pojawiają się na niej dwie podobne do siebie postacie; każdy zdaje się być przywiązany do swej prywatnej i tylko sobie znanej sprawy. Patrzyłam, jak przechodzą ludzie biznesu, dzierżąc pod pachą swoje małe teczki; jak wścóżędzy z grzechotem przesuwiają

kijami po prętach ogrodzeń; jak sympatyczne typki, które ulicę traktują jak swój prywatny klub, krzyczą coś do mężczyzn w przejeżdżających powozach i udzielają informacji, o które nikt ich nie prosił. Ulica szły także konduktu pogrzebowe, zaś przechodnie, którym nagle przypomniała się ich własna śmiertelność, unosili na ich widok kapelusze. Potem jakiś niezwykle dystygowany dżentelmen zaczął powoli schodzić po stopniach swego domu i zatrzymał się nagle, by uniknąć zderzenia z hałaśliwą damą, która jakimś sposobem weszła w posiadanie wspaniałego futra oraz bukietka fioków parmeńskich. Każdy z tych ludzi wydawał się być osobny i nieprzenikniony, całkowicie pochłonięty sobą i własnymi sprawami.

W tej właśnie chwili, jak to się często zdarza w Londynie, zapadła zupełna cisza, ruch zatrzymał się całkowicie. Nic nie przejeżdżało ulicą; nikt nie przechodził. Od stojącego przy końcu ulicy płatana oderwał się pojedynczy liść i pod czas tej pauzy, gdy wszystko trwało w zawieszaniu, powoli upadł na ziemię. Było to tak, jakby ktoś dał sygnał, kierując moją uwagę na jakąś wszechobecną siłę, której dotąd nie dostrzegłam. Zdawał się wskazywać na niewidzialną rzekę, która płynęła tuż obok, skręcała za rogiem i sunęła dalej ulicą, zbierając po drodze przechodniów i unosząc ich w swoim nurcie, tak jak strumień w Oxbridge uniósł studenta, jego łódkę i zwiędłe liście. Jej nurt przenosił właśnie z jednej strony ulicy na drugą, na skos, dziewczynę w zamaszowych butach, a zaraz potem młodego mężczyznę w brunatnym płaszczu; niósł też ze sobą taksówkę, by po chwili porzucić całą trójkę w punkcie, który znajdował się wprost pod moim oknem; tu zatrzymała się taksówka; zatrzymała się dziewczyna i młody mężczyzna; potem oboje wsiadli do taksówki, ona zaś odpłynęła zupełnie tak, jakby nagle porwał ją nurt niewidzialnej rzeki.

Był to widok zupełnie zwyczajny; dziwny był tylko rytmiczny porządek, który przypisała mu moja wyobraźnia; a także fakt, że ten zwyczajny widok, jakim są dwie osoby wsiadające razem do taksówki, zdołał przekazać mi jakąś

cząstkę zadowolenia, które oni najwyraźniej odczuli. Kiedy patrzyłam, jak taksówka zakręca i znika w oddali, przyszło mi na myśl, że widok dwojga ludzi, którzy idą naprzeciw siebie ulicą i spotykają się na rogu, potrafi uwolnić ludzki umysł od napięcia i znużenia. Być może wysiłkiem jest właśnie myśleć – jak ja myślałam przez dwa ostatnie dni – o jednej płci jako o czymś odrębnym od drugiej. Narusza to jedność umysłu. Teraz, gdy ów wysiłek ustał, jedność została przywrócona przez to właśnie, że zobaczyłam, jak dwoje ludzi spotyka się, by razem wsiąść do taksówki. Doprawdy, pomysłam sobie, wsuwając głowę do środka pokoju umysł to bardzo tajemniczy organ, o którym nie wiemy właściwie nic, choć jesteśmy od niego całkowicie uzależnieni. Dlaczego czuję, że w umyśle istnieją rysy i rozdarcia, tak samo jak w innych częściach ciała istnieją napięcia z pewnych określonych przyczyn? Zaczęło dręczyć mnie pytanie, co właściwie oznacza „jedność umysłu” – wszak umysł posiada tak wielką moc skupiania się na dowolnym punkcie w dowolnej chwili, że zdaje się nie mieć żadnego określonego, trwałego stanu. Potrafi na przykład oddzielić się od idących ulicą ludzi i pomysleć o sobie samym jako o czymś od nich odrębnym, niezłym okno, które spogląda na nich z wysoka. Potrafi też spontanicznie zespolić się myślą z innymi ludźmi, jak wówczas, gdy stojąc w tłumie, razem czekamy, aż ktoś odczyta nam ważną nowinę. Umysł potrafi sięgać daleko w przeszłość – poprzez swoich ojców lub poprzez matki; bo powie-  
działam już chyba, że kobieta, gdy pisze, spogląda w przeszłość poprzez swoje matki. Otóż, jeśli jest się kobietą, często zaskakuje nas jakoby pęknięcie świadomości, kiedy idziemy, dajmy na to, wzdłuż Whitehall i nagle z naturalnego spadkobiercy cywilizacji przestajemy się w kogoś zupełnie innego – kogoś, kto stoi na zewnątrz, obcy i krytyczny. Jest oczywiste, że umysł wciąż skupia w swej soczewce coś nowego, ustawia świat w coraz to nowych perspektywach. Jednak niektóre z tych stanów, nawet jeśli przyjmujemy je spontanicznie, wydają się mniej wygodne niż inne. Aby wytrwać w takim stanie dłużej, człowiek nieświadomie coś w sobie

wstrzymuje, a z czasem wymaga to coraz większego wysiłku. Istnieją jednak, być może, takie stany umysłu, w których trwać można bez wysiłku, niczego bowiem nie trzeba wstrzymać. I być może, pomysłam, wracając spod okna wglądając do pokoju, to właśnie jest jeden z nich. Nie mam bowiem wątpliwości, że kiedy patrzyłam, jak owa para wsiada do taksówki, mój umysł poczuł się tak, jakby po długim okresie podziatu uległ wreszcie zespoleniu w procesie naturalnej fuzji. Oczywiście, tego przyczyną musi być fakt, że współpraca obu płci jest czymś naturalnym. Człowiek ma w sobie irracjonalny, a jednak głęboki, instynktowny pociąg do teorii, iż związek kobiety i mężczyzny daje najwięcej zadowolenia, najpełniejszy rodzaj szczęścia. Lecz widok tych dwojga młodych ludzi wsiadających do taksówki oraz zadowolenie, jakie dzięki niemu odczułam, każe mi zadać sobie jeszcze takie pytanie: czy to możliwe, by podział na dwie płci dotyczył nie tylko ciała, ale i umysłu; czy i w tym wypadku jest tak, że aby osiągnąć pełnię zadowolenia i szczęścia, dwie płcie muszą połączyć się w jedną? I po amatorsku naszkicowałam niewielką mapę ludzkiej duszy, zaznaczając, że w każdym z nas urzędują dwie władze – męska i żeńska; że w męskim mózgu męczyzna dominuje nad kobietą, w mózgu kobiety natomiast kobieta dominuje nad mężczyzną. Normalny i zdrowy stan ducha osiągamy wówczas, gdy oboje żyją w harmonii i współpracy duchowej. Jeśli jest się mężczyzną, kobieta zaś część naszego umysłu nadal musi być czynna; kobieta zaś powinna zachować łączność z obecnym w jej wnętrzu mężczyzną. Być może to właśnie miał na myśli Coleridge, kiedy powiedział, że wielki umysł jest zawsze androgyniczny. Dopiero po zespoleniu obu tych części umysł staje się prawdziwie płodny i zaczyna używać wszystkich swoich zdolności. Być może, pomysłam sobie, umysł całkowicie męski nie może być twórczy, tak samo jak umysł czysto kobiecy. Należało jednak zatrzymać się i wypróbować znaczenie słów męsko-kobiecy i kobeco-męski na jednej czy drugiej książce. Mówiąc, że wielki umysł jest androgyniczny, Coleridge bynajmniej nie miał na myśli tego, że jest to umysł, który

androgyn

żywi jakąś specjalną sympatię dla kobiet; że walczy w ich sprawie, lub poświęca się próbom interpretacji ich słów. Nie-wykluczone, że umysł androgyniczny gorzej nadaje się do podobnych zadań niż umysł o jednej tylko płci. Coleridge miał raczej na myśli to, że umysł androgyniczny jest dźwięczny i chłonny; że bez przeszkód przekazuje uczucia; że jest twórczy, promienny i niepodzielny. Wciąż przecież wracamy do umysłu Szekspira, jako do wzoru androgynii, jako do ideału kobiecej męskości, chociaż niemożliwością byłoby stwierdzić, co Szekspir myślał o kobietach. I jeśli to prawda, że jedną z cech w pełni dojrzałego umysłu jest to, że nie poświęca on zbyt wiele uwagi różnicom płci, to czyż stan taki nie jest bez porównania trudniej osiągnąć dzisiaj, niż kiedykolwiek przedtem? Dotarłam teraz do książek napisanych przez żyjących pisarzy i zatrzymałam się przy nich rozmyślając nad tym, czy fakt ten nie leżał przypadkiem u źródła czegoś, co od dawna mnie intrygowało. Żadna epoka nie była tak uporczywie zaabsorbowana kwestią płci, jak obecna; dowodzą tego niezliczone książki o kobietach, pisane przez mężczyzn, jakie znalazłam w British Museum. Z pewnością winny jest ruch sufrazystek. Musiał on wzniecić w mężczyznach przemożną potrzebę, by jakoś zaznaczyć swoją obecność; zmusił ich do tego, by położyli nacisk na swoją własną płęć i jej cechy szczególne, czego nie zrobiliby przecież nigdy, gdyby nie rzucono im wyzwania. Kiedy bowiem ktoś rzuca nam wyzwanie – nawet jeśli jest to zaledwie kilka kobiet w czarnych kapeluszach – wówczas i my atakujemy; jeśli zaś spotyka nas to po raz pierwszy w życiu, atakujemy w sposób nieco przesadny. Może to mi wyjaśni pewne dziwne cechy pisarstwa pana A, pomyślałam zdejmując z półki ostatnią powieść tego pana, pisarza w kwiecie wieku, a przy tym bardzo cenionego, jak się zdaje, przez recenzentów. Otworzyłam ją. Jakaż to rozkosz czytać znów pisarstwo męczyzny! Było tak bezpośrednio, otwarte i prostolinijne w porównaniu z pisarstwem kobiecym. Świadczyło o wielkiej swobodzie umysłu, nieograniczonej wolności osobistej, ogromnej wierze w siebie. Odniosłam wrażenie fizycznego

zadowolenia w obecności tego świetnie wykarmionego i wykształconego, swobodnego umysłu, któremu nic nigdy nie stało na przeszkodzie i który od urodzenia miał pełną wolność, by rozwijać się w dowolnie wybranym kierunku. Wszytko to było doprawdy godne podziwu. Kiedy jednak przeczytałam jeden czy dwa rozdziały, spostrzegłam coś jakby cień, który kładł się przez sam środek strony. Był to prosty, długi drążek, cień o kształcie podobnym nieco do litery „I”\*. Zaczęłam przechylać się to w jedną, to w drugą stronę, w nadziei, że zobaczę choć skrawek widoku, który rozpościera się za nim. Nie byłam jednak pewna, czy to, co widzę, to drzewo, czy może idąca kobieta. Wciąż bowiem wołała mnie ku sobie litera „I”. Powoli zaczynałam mieć dość litery „I”. Proszę mnie źle nie zrozumieć, było to doprawdy najszybciej najszybciej ze znanych mi „I”; niezmiernie uczciwe, logiczne, twarde niczym orzech, a przy tym pięknie wypolerowane przez całe wieki świetnej edukacji i doskonałego wyżywienia. Szanuję i podziwiam owo „I” z głębi mego serca. A jednak – tu przewróciłam jedną czy dwie kartki, jakby czegoś szukając – najgorsze było to, że w cieniu litery „I” wszystko inne stawało się bezkształtne niczym mgła. Czy to może być drzewo? Nie, to przecież kobieta. Alez... ona nie ma w sobie ani jednej kości, pomyślałam, patrząc jak Phoebe, bo tak właśnie miała na imię, zbliża się powoli, idąc brzegiem morza. Wtem podniósł się Alan i cień Alana natychmiast unicestwił Phoebe. Alan miał bowiem swoje poglądy, Phoebe zaś tonęła w powodzi jego poglądów. Alan, stwierdziłam po chwili, miał także namiętności; tu zaczęłam przewracać kartkę za kartką coraz szybciej, czując, że zbliża się kryzys, aż wreszcie kryzys nastąpił. Stało się to bardzo otwarcie. Odbyło się to z wielkim wigorem. Trudno o coś bardziej nieprzyzwoitego. Ale... powiedziałam „ale” zbyt wiele razy. Nie można przecież wciąż mówić „ale”. Powinnaś jakoś dokończyć to zda-

\* Nieprzetłumaczalna gra słów – angielskie „I” znaczy „ja” (przyp. tłum.).

nie, skarciłam samą siebie surowo. Dobrze, dokończę je więc: „Ale – jestem znudzona!”. Ale dlaczego bymam znudzona? Częściowo ze względu na wszechobecność litery „I”, a także dlatego, że tam, gdzie rzucała ona cień, powstawała ziemia jałowa, tak jak powstaje wokół pnia buku. Nic tam nie może urosnąć. Była jednak jeszcze druga, głębiej ukryta przyczyna – ołów w umyśle pana A zdawała się tkwić jakas przeszkoła: jakaś zapora blokowała strumień twórczej energii, każąc mu trzymać się wąsko zakreślonych granic. Tu przypomniałam sobie prozowy obiad w Oxbridge, popiół strząsany za oknem, kota z wyspy Man a także Tennysona i Christinę Rossetti i widząc to wszystko, pomyślałam, że tam właśnie może kryć się owa przeszkoła. Cóż ma począć pan A, skoro Alan nie nuci pod nosem „Z męczennicy na brami strącona spadała tza śnieżnobiała”, widząc jak Phoebe idzie ku niemu przez plażę, ona zaś nie odpowiada już „Serce me – ptak rozśpiewany, jego gniazdo – wilgotna wiklina”, aby powiać nadejście Alana? Będąc człowiekiem uczciwym jak poranek i logicznym jak samo słońce, pan A może uczynić tylko jedno. I muszę przyznać, że robi to wiele razy – tu przewróciłam jeszcze kilka kartek – tak, wiele, wiele, wiele razy. I to właśnie, dodawałam, w pełni świadoma okropności swego wyznania, wydaje się dziwnie nudne. Nieprzyzwyczajenie Szekspira wyzwała w naszych umysłach tysiące myśli i dlatego jest tak daleka od nudy. Lecz Szekspir robił to dla przyjemności; Pan A natomiast, jak mawiają przed-szkolanki, robi to specjalnie, na złość i na znak protestu. Pan A protestuje w ten sposób przeciw równości drugiej płci, wciąż przy tym stwierdzając swoją własną wyższość. Jest więc człowiekiem nerwowym, nieśmiałym i nadwrażliwym – takim zapewne, jakim stałby się Szekspir, gdyby miał okazję poznać pannę Clough i pannę Davies. Niewątpliwie literatura elżbietańska wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby ruch wyzwolenia kobiet rozpoczął się w szesnastym, a nie w dziewiętnastym stuleciu.

Jeśli więc teoria o dwóch stronach umysłu jest słuszna, to wynika z niej niezbitnie, że męskość stała się zbyt świadomą

ma samej siebie – to jest, że mężczyźni piszą obecnie tylko męską stroną swoich umysłów. Błąd popełni kobieta czytając twórczość tych panów, nieuchronnie bowiem będzie w niej szukać czegoś, czego tam nie ma. Najbardziej brak mi tu sily sugestii, pomyślałam, biorąc do ręki zbiór esejsów pana B, znanego krytyka, i czytając jego uwagi o sztuce poetyckiej. Były bardzo sprawne, bystre i pełne erudycji; rzecz jednak w tym, że nie przekazywały jego uczuć; jego umysł zdawał się podzielony na dwie osobne komnaty, żaden dźwięk nie przenikał z jednej do drugiej. Dlatego, gdy wkładam do swego umysłu zdanie, które napisał pan B, natychmiast pada ono na dno z głuchym łoskotem – nieżywe; jeśli zaś włożyć do umysłu zdanie Coleridge’a, wnet następuje eksplozja – rodzą się niezliczone myśli na rozmaite tematy – i tylko o takim pisarstwie można powiedzieć, że posiadało tajemnicę wiecznego życia.

Jakie by jednak nie stały za nim przyczyny, sam fakt musi być dla nas nienawistny. Wynika z niego bowiem – tu wzrok mój padł na rzędy książek panów Galsworthiego oraz Kiplinga – że najlepsze dzieła najwybitniejszych spośród współczesnych nam twórców nieuchronnie padają na jałowy grunt. Kobieta, choćby nie wiem jak się starała, nigdy nie dojrzy fontanny życia, która wedle zapewnień krytyków drżenie ukryta w tych książkach. Nie chodzi nawet o to, że pisarze ci oddają, hołdy męskim cnotom, że opowiadają się po stronie męskich wartości lub że wciąż opisują męski świat; rzecz raczej w tym, że emocje, którymi przesyczone są ich książki, dla kobiety pozostają całkowicie niepojęte. Oto nadchodzi krzyżys, oto wzbiera, tak, wkrótce roztrzaska się na naszych oczach, zaczynamy mówić na długo przed końcem powieści. Tak, ten obraz spadnie na głowę starego Jolyona; on zaś umrze pod wpływem szoku; stary kleryk wypowie nad trumną dwa czy trzy słowa pożegnania, po czym usłyszymy cudowny śpiew wszystkich łabędzi na Tamizie. Jednakże, zanim to wszystko nastąpi, my zdążymy już czynnych i ukryć się gdzieś w krzakach agrestu, bowiem uczucia, które mężczyzna uważa za niezwykle głębokie, subtelne i głę-

boko symboliczne, kobiety napawają, jedynie zdumieniem. Tak jest z oficerami Kiplinga, którzy odwracają się nagle plecami, tak jest z jego Siewcami, co sięją Nasiona, tak samo z Męczyznami, którzy samotnie oddają się swej Pracy; a także z Flagą – na sam widok tych wielkich liter oblewany się rumieńcem, jakbyśmy dali się złapać przy dziurce od klucza, na podglądaniu jakieś czysto męskiej orgii. Rzecz w tym, że ani pan Galsworthy ani pan Kipling nie mają w sobie nawet iskiertki kobiecości. Dlatego, jeśli wolno mi uogólnić, ich liczne zalety każdej kobiecie wydadzą się przymitymne i niedojrzale. Brak im siły sugestii. Kiedy zaś książka brakuje siły sugestii, to choćby nie wiem jak silnie uderzała w powierchnię umysłu, nigdy nie uda jej się dostać głębiej.

Peha owego niepokoju, który każe nam czasem zdejmować z półek książki i odkładać je zaraz z powrotem nie zajął rzuwszy nawet do środka, zaczęłam wyobrażać sobie pewną przyszłą epokę, w której panowanie obejmie czysta, pewna siebie męskość – epokę, której nadejście zwiastują listy profesorów (weźcie na przykład listy sir Waltera Raleigha), a którą władcy Italii już zaczęli wprowadzać w życie. Trudno bowiem, będąc w Rzymie, nie znaleźć się pod wrażeniem nieokielzanej męskości; jaka zaś by nie była wartość nieokielzanej męskości z punktu widzenia państwa, mamy przecież prawo kwestionować jej wpływ na poezję. Tak czy owak, wszystko wskazuje na to, że we Włoszech zapanował pewien niepokój w kwestii literatury. Odbłyło się zebranie akademików na temat „rozwoju włoskiej powieści”. „Paniowie sławni z urodzenia lub znani w świecie finansów, przemysłu czy w korporacjach faszystowskich” zebraли się wszyscy tego dnia, aby omówić tę kwestię, po czym wysłali telegram do Duce, dając wyraz nadziei, że „era Faszyzmu już wkrótce zrodzi godnego siebie poetę”. Wszyscy możemy się do tych poboznych życzeń przyłączyć, mam jednak poważne wątpliwości, czy istotnie poezja może się zrodzić z inkubatora. Po-  
ezja prócz ojca potrzebuje także i matki. Obawiam się więc, że wiersz faszystowski okaże się małym abortowanym powtorzeniem, czymś takim jak zarodki, które ogłada się czasem

w stójkach, na półkach prowincjonalnych muzeów. Takie powtorzki, jak wiadomo, nigdy nie żyją długo; nie widuje się raczej podobnych istot na polu, przy sianołosach. Dwie głowy na jednym ciełe są kiepską podstawą do długowieczności.

Jednakże winą za to wszystko, jeśli istotnie zależy Wam na szukaniu winnych, obarczyć należy w równym stopniu jedną pięć, jak i drugą. Odpowiedziałam za ten stan rzeczy są wszyscy uwodziciele i reformatorzy, a także lady Bessborough, gdyż okłamała lorda Granville'a, oraz panna Davies, gdyż powiedziała prawdę panu Gregowi. Winić należy wszystkich tych, którzy sprawili, że pięć stała się siebie świadoma i to ich winię za to, że dziś, kiedy mam ochotę pogimnastykować nieco swój umysł nad książką, szukam jej raczej w przeszłości, w owej szczęśliwej epoce przed nadejściem panny Davies i panny Clough, kiedy to pisarze używali na równi obu stron swych umysłów. Wracamy więc nieuchronnie do Szekspira, bowiem Szekspir był androgyniczny, podobnie jak Keats, Sterne, Cowper, Lamb i Coleridge. Shelley był może raczej bezpłciowy. Zás Milton i Ben Jonson mieli w sobie o szczyptę za dużo męskości. Tak samo Wordsworth i Tolstoj. W naszych czasach natomiast w pełni androgyniczny był Proust, choć może miał w sobie nieco za wiele z kobiety. Wada ta stanowi jednak taką rzadkość, że nie przystoi na nią narzekać, skoro bez takiej czy innej domieszki drugiej płci w umyśle absolutną władzę przejmują intelekt, podczas gdy wszystkie pozostałe zdolności usychają i marnieją. Tymczasem pocieszyłam się nieco refleksją, że, być może, jest to tylko etap przejściowy, że wiele z tego, co powiedziałam Wam tutaj, starając się spełnić obietnicę, że przedstawię cały tok moich myśli, już wkrótce wyda się przestarzałe, zaś to, co dziś rozpała ogień w moich oczach, za kilka lat wyda się bardzo wątpliwe Wam, które dziś jesteście jeszcze niemal dziećmi.

Jeśli nawet tak będzie, pomyślałam podchodząc do mego biurka i biorąc do ręki kartkę zatytułowaną „Kobiety i fikcja literacka”, to i tak pierwsze zdanie, jakie napisalabym pod tym nagłówkiem, mówiłoby o tym, że jest dla pisarza

rzeczą zabójczą myśleć o swojej płci. Zabójczym jest być tylko i wyłącznie mężczyzną lub tylko i wyłącznie kobietą; trzeba być męsko-kobiecym lub kobieco-męskim. Zabójcze jest, jeśli kobieta kładzie najmniejszy choćby nacisk na swe pretensje i żale; jeśli broni dowolnej, najsłuszniejszej nawet sprawy; jeśli w jakikolwiek sposób świadomie zabiera głos jako kobieta. Słowo „zabójczy” nie jest tu żadną metaforą, gdyż wszystko, co napiszemy z takim świadomym skrzywieniem, skazane będzie na niechybną śmierć. Prawie natychmiast stanie się jadowe. Przez dzień czy dwa może się nam wydać błyskotliwe i efektowne, mocne i władcze, jednak już o zniweczeniu nieuchronnie zwiędnie na naszych oczach, bo nigdy nie zakwitnie w umysłach innych ludzi. Aby mógł dokonać się akt twórczy, w umyśle pisarza połączyć się musi kobiecość i męskość. Musi się spełnić małżeństwo przeciwności. Jeśli mamy mieć poczucie, że pisarz przekazuje nam pełnię swoich doświadczeń, konieczne jest, by otworzył się przed nami cały jego umysł. Konieczna jest swoboda; konieczny jest spokój. Nie może zagryzać najmniejsze nawet kółko, nie może zamigotać żadne światełko. Okna niech pozostaną szczerze zasłonięte. Pisarz zaś, pomyślałam, gdy tylko jego doświadczenie dobiegnie końca, powinien wyciągnąć się wygodnie i pozwolić, by umysł świętował swe godziny w ciemności. Nie wolno mu wtedy patrzeć lub pytać, co się dzieje. Powinien raczej wziąć do ręki różę, kolejno obrywać z niej płatki i obserwować, jak w dół rzeki powoli suną łabędzie. Ja zaś znów zobaczyłam nurt, który poniósł ze sobą łódkę i studenta, i zwiędłe liście; taksówkę, która zabrała kobietę i mężczyznę; patrzyłam, jak przechodzą razem przez ulicę i jak nurt porwuje ich ze sobą, wspominałam, wsłuchując się w odległy szum londyńskich ulic, jak zaniósł ich wprost do tej wielkiej rzeki.

W tym miejscu milknie głos Mary Beton. Opowiedziała Wam, jak to się stało, iż doszła do wniosku, że jeśli kiedykolwiek zechcecie pisać powieści lub wiersze, niezbędne Wam będzie pięćset funtów rocznie oraz pokój, którego drzwi

dadzą się zamknąć na klucz. Starła się obnażyć przed Wami myśli i wrażenia, które sprawiły, że tak właśnie sądzi. Kazala Wam iść tuż za sobą, gdy wpadła z impetem w ramiona Pedla, gdy jadła obiad, a potem kolację; kiedy kreśliła obrázky w British Museum, kiedy zdejmowała z półek kolejne książki i kiedy wyglądała przez okno. A podczas gdy ona robiła to wszystko, Wy z pewnością śledziłyście jej porażki i błędy, zastanawiając się, w jaki sposób wpłynęły one na jej poglądy. Bywało, że nie mogłyście się z nią zgodzić, zaś tam, gdzie uznalyście to za stosowne, dodawałyście własne uwagi i wnioski. I tak właśnie być powinno, bowiem w kwestii takiej jak ta prawdę można uzyskać jedynie piętrząc różne rodzaje pomysłów. Teraz ja zabiorę głos osobiście, by na koniec z góry odpowiedzieć na dwa zarzuty, które są zbyt oczywiste, byście mogły ich nie wytoczyć.

Otóż – możecie zaprotestować – nie wyrażono tu żadnej opinii na temat względnej wartości obu płci, nawet w dziedzinie literatury. Odpowiem, że uczyniono tak specjalnie, bo nawet gdyby nadszedł już czas na takie porównania – a obecnym znacznie pilniej potrzebna nam jest wiedza o tym, ile kobiety miały pieniędzy i ile pokoi, niż teoria o ich wrodzonych zdolnościach – więc gdyby nawet nadszedł już czas, to i tak nie wierzę, by ludzkie zalety, czy to umysłu, czy serca, daty się zważyć jak cukier lub masło, nawet tutaj, w Cambridge, gdzie tak sprawnie dzieli się ludzi na kategorie, wiska im czapki na głowy, a do nazwisk dopisuje tytuły. Nie sądzę, by nawet Tablica Wielkich Ludzi, którą znajdziecie w *Almanachu* Whitakera, odzwierciedlała wieczny porządek wartości, ani też w to, by istniały solidne podstawy do przypuszczeń, że ostatecznie Zarządca Łaźni wkroczy na obiad dopiero za Magistrem Obłądą. Całe to przymierzanie jednej płci do drugiej, jednej wartości do drugiej; wszystkie te przechwałki o własnej wyższości i imputowanie innym niższości należą do etapu ludzkiej egzystencji, którego właściwe miejsce jest w prywatnych szkołach dla chłopców, gdzie ludzie się dzielą na „strony”, gdzie każda ze stron koniecznie musi pokonać drugą i gdzie kwestią największej wagi jest to, by

dumnie wkroczyć na podium i otrzymać od Dyrektora Szkoły pewien bogato zdobiony garnek. Z czasem, gdy cztowiek dojrzeje, przestaje wierzyć zarówno w strony, jak i w Dyrektorów i bogato zdobione garnki. W każdym razie, gdy chodzi o książki, niesłychanie trudno przyklepić im etykiety z wyznaczoną wartością, tak, by potem same nie odpadły. Czyż recenzje współczesnej literatury nie przypominają nam nieustannie, jak trudno jest wydawać podobne sądy? „To wybitne dzieło”, „ta bezwartościowa grafomania” – czytamy często o jednej i tej samej książce. Słowa pochwały i słowa krytyki znaczą tu tyle co nic. Niestety, choć zabawa w mierzenie może być całkiem przyjemną rozrywką, jest to zajęcie całkowicie bezplodne i nie ma bardziej służalczej postawy niż chylenie czoła przed sądami tych, którzy pragną nas zmierzyć. Ważne jest tylko, byście pisali to, co chcecie pisać; czy zaś owa ważność przetrwa stulecia, czy tylko kilka godzin, tego nikt Wam nie powie. Lecz poświęcić choćby jeden koloryt z głowy swej wizji, zmienić choć o jeden odcień jej koloryt z uległości przed Dyrektorem ze srebrnym garnkiem w dłoni albo przed profesorem z linijką schowaną w rękawie – to najpodlejsza zdrada, wobec której poświęcenie bogactwa lub cnoty, uważane niegdyś za największe ludzkie nieszczęścia, są jak ukaszenie pchły.

Przypuszczam też, że mogłybyście wyrazić wątpliwość, że zbyt wielką w tym wszystkim przywiązywałam wagę do rzeczy materialnych. Możecie powiedzieć, że nawet jeśli przyjmniemy szeroki margines dla symbolizmu, uznając, że pięćset funtów rocznie oznacza moc kontemplacji, zaś zamek w drzwiach to prawo, by myśleć we własnym imieniu – to i tak, powiecie, umysł powinien wznieść się ponad podobne rzeczy, wszak wielcy poeci często żyli w nędzy. Pozwólcie więc, że zacytuję Wam słowa Waszego własnego Profesora Literatury, który wie znacznie lepiej niż ja, skąd się biorą wielcy poeci. Oto co pisze sir Arthur Quiller-Couch<sup>11</sup>:

<sup>11</sup> *The Art of Writing*, sir Arthur Quiller-Couch.

„Jakie nazwiska wskazują wielkich poetów ostaniego stulecia? Coleridge, Wordsworth, Byron, Shelley, Landor, Keats, Tennyson, Browning, Arnold, Morris, Rossetti, Swinburne – na tych możemy poprzestać. Otóż wszyscy oni, prócz Keatsa, Browninga i Rossettiego, kształcili się na uniwersytetach; z tej trójki zaś jedynie Keats, który umarł młodo, w samym kwiecie wieku, nie był cztowikiem zamożnym. Zabrzni to może brutalnie, a z pewnością smutno, suche fakty świadczą jednak o tym, że teoria o samorodnym geniuszu, który pojawia się tak wśród biednych, jak wśród bogaczy, ma w sobie niewiele prawdy. Suche fakty mówią bowiem, że dziewięciu spośród tej dwunastki ukończyło uniwersytety, co oznacza, że w jakiś sposób zgromadzili środki na najlepszą edukację, jaką Anglia mogła zaoferować. Jeśli chodzi o pozostałą trójkę, to suche fakty powiadają, iż Browning był raczej zamożny, ja zaś mogę was zapewnić, że gdyby nie był zamożny, nigdy nie napisałby *Saula* ani *Pierścienia* i *Księgi*, podobnie zresztą jak Ruskin nie napisałby *Współczesnych malarzy*, gdyby jego ojciec nie był świetnie prosperującym przedsiębiorcą. Rossetti miał niewielki osobisty dochód; co więcej, był przecież malarzem. Zostaje nam tylko Keats, jego zaś w młodym wieku zabiła Atropos, tak jak zabiła Johna Clare w domu dla obłąkanych, a także Jamesa Thomsona, który za pomocą laudanum usiłował uspić swoją rozpacz. Fakty te są okropne, spróbujmy jednak spojrzeć im w oczy. Jest rzeczą pewną, choć mało dla tego narodu chwalebną, a winić za nią należy zapewne jakieś przeoczenie w państwie brytyjskim, że tak samo dwieście lat temu, jak i w chwili obecnej ubogi poeta ma u nas szanse mniej więcej takiej, jak bezpański pies. Możecie mi wierzyć – spędziłem prawie dziesięć lat życia obserwując pracę około stu dwudziestu szkół powszechnych – możemy się chętnie demokracją, ile tylko chcemy, w istocie jednak ubogie dziecko angielskie niewiele większą może mieć nadzieję niż syn ateńskiego niewolnika, że uzyska swobodny dostęp do owej intelektualnej wolności, z której rodzą się wielkie dzieła literatury”.



Nie da się tego ująć dobitniej. „Tak samo dwieście lat temu, jak i w chwili obecnej ubogi poeta ma u nas szansę mniej więcej takie, jak bezpański pies... ubogie dziecko angielskie nie wiele większą może mieć nadzieję niż syn ateńskiego niewolnika, że uzyska swobodny dostęp do owej intelektualnej wolności, z której rodzą się wielkie dzieła literatury”. Otóż to. Wolność intelektualna jest zależna od rzeczy materialnych. Poezja jest zależna od wolności intelektualnej. Kobiety zaś zawsze były biedne – nie przez ostatnie dwieście lat, lecz od początku świata. Dawano im mniej intelektualnej wolności niż synom ateńskich niewolników. Nie miały zatem żadnych szans, by tworzyć poezję. Dlatego właśnie tak wielki kładłam nacisk na kwestię pieniędzy i własnego pokoju. Jednakże, dzięki wysiłkom owych zapomnianych przez historię kobiet, o których tak bardzo chciałabym wiedzieć więcej, a także, choć może Wam się to wydać dziwne, dzięki dwu wojnom – wojnie krymskiej, która wypuściła z bawialni Florence Nightingale i wojnie europejskiej, która otworzyła te same drzwi przed przeciętną kobietą – krzywdy te powoli są naprawiane. Inaczej nie byłoby Was tu dzisiaj, zaś szansa, że uda Wam się zarobić pięćset funtów rocznie, która i tak jest przecież mizerna, byłaby wręcz minimalna.

Możecie mnie także zapytać, dlaczego w ogóle tak bardzo zależy mi na tym, by kobiety pisały książki; sama przecież przyznaję, że zajęcie to wymaga wiele wysiłku, że może być z nich doprowadzić do zamordowania własnej ciotki, którąś z nich doprowadzić do spóźnienia na obiad, a w dodatku powoduje ono nieustanne sprzeczkę z bardzo sympatycznymi młodzieńcami? Pozwólcie, że przyznam, iż kierują mną po części pobudki egoistyczne. Podobnie jak większość niewykształconych Angielek lubię czytać – uwielbiam pochłaniać całe tony książek. Otóż ostatnio moja dieta stała się dość jednostajna; historia zbyt często dotyczy wojen; biografia zaś – wielkich mężów; poezja staje się, mam wrażenie, coraz bardziej sterylna, zaś proza – no cóż, dowiodłam już chyba wystarczająco, że kiepski ze mnie krytyk współczesnej powieści, nie powiem więc już na ten temat ani słowa więcej.

Dlatego proszę Was, piszcie książki najrozmaitszych gatunków, nie cofajcie się przed żadnym tematem, jakby nie był trywialny lub wielki. Mam też szczerą nadzieję, że jakoś – podstępem, przypadkiem czy przebojem – wejdziecie w posiadanie pieniędzy, które pozwolą Wam podróżować, podróżować, rozmyślać nad przeszłością i przyszłością, światem, marzyć nad książką i tak długo bez celu błąkać się po ulicach, aż wreszcie uda Wam się zarzucić wędkę Waszych myśli w głęboki nurt rzeczywistości. W żadnym wypadku nie pragnę Was bowiem ograniczać do pisania fikcji. Jeśli przydadzie Wam ochota, by zaspokoić mój książkowy apetyt – a istnieją tysiące istot podobnych do mnie – będziecie pisać książki podróźnicze i przygodowe, badawcze i naukowe, historyczne i biograficzne, krytyczne i filozoficzne. Robiąc to, z pewnością wzbogaciecie także szlukę literacką, bo książki mają zycząć oddziaływać na siebie wzajemnie. Proza zyska więc bardzo wiele na intymnych kontaktach z poezją i z filozofią. I przecież, jeśli zechcecie przyrzeć się uważniej którejś z dawnych wielkich pisarek, Safonie, pani Murasaki czy Emily Brontë, przekonacie się, że jest ona nie tylko odkrywczynią lecz także dziedziczką, że mogła pojawić się dlatego, iż przed nią kobiety nabrały zwyczajów swobodnego pisania; tak więc pomyśl, by podjąć to zajęcie, będzie z Waszej strony bezcenny także jako preludium do poezji, która powstanie w przyszłości.

Kiedy tak przeglądam notatki i krytycznie oceniam tok swych rozważań, dochodzę do wniosku, że moje motywy nie były jednak całkiem egoistyczne. Wśród wszystkich tych uwag i wywodów przewija się bowiem pewne przekonanie – czy może raczej intuicja? – że dobra książka jest czymś godnym pożądania, zaś dobry pisarz, nawet jeśli zdradza którąś z wielu odmian ludzkiej podłości, jest mimo wszystko dobrym człowiekiem. Kiedy więc każe Wam pisać jak najwięcej książek, każe Wam robić coś, co wyjdzie na dobre i Wam, i całej ludzkości. Nie wiem, doprawdy, jak udowodnić ten pogląd czy intuicję, bowiem komuś, kto, jak ja, nie kształcił się nigdy na uniwersytecie, filozoficzne słowa często płatają figle.

Cóż na przykład mam na myśli mówiąc: „rzeczywistość”? Wydaje się ona czymś bardzo bezładnym, na czym zupełnie nie można polegać – raz spotkasz ją na piaszczystej drodze, to znów na skrawku gazety gdzieś na ulicy, kiedy indziej zaś w kielichu żonkila na słonecznej polanie. Potrafi błysnąć nagle w grupie ludzi w jakimś pokoju, potrafi zostawić swe znamię na przypadkowo powiedzianym zdaniu. Zapiera nam dech w piersiach, gdy wracamy do domu pod ugwieżdżonym niebem i sprawia, że świat czuży staje się bardziej rzeczywisty niż świat mowy – a potem znów ją spotykasz w omnibusie, w piekielnym zgiełku ulicy Piccadilly. Zdarza jej się zamiejszać w kształtach tak odległych, że nie umiemy rozszyfrować ich istoty. Czegokolwiek jednak dotknie – unieruchamia i utrwała na zawsze. To właśnie pozostaje, gdy pomnieta skóra dnia zawiśnie zapomniana gdzieś w krzakach; to właśnie zostaje z przeszłości, z naszych miłości i nienawiści. Otóż sądzę, że pisarz ma szansę żyć bliżej owej rzeczywistości niż inni ludzie. Jego zadaniem jest szukać jej, znajdować i przekazywać nam wszystkim. Tak przynajmniej wnioskuję z lektury *Leara*, *Emmy* i *W poszukiwaniu straconego czasu*. Lektura tych książek jest niczym jakaś dziwaczna operacja przeprowadzona na zmysłach; widzi się potem jakby ostrzej: świat zdaje się być pozbawiony swej zwykłej warstwy ochronnej, obdarzony intensywniejszym życiem. Należy zażdrościć tym, którzy żyją w zgodzie z rzeczywistością; można jedynie pożalować tych, którzy nie zauważają nawet, jak wali ich ona po głowie i których to nic nie obchodzi. Kiedy więc każe Wam zarabiać pieniądze i zdobyć własny pokój, w istocie prosię Was o to, byście żyły świadome rzeczywistości, a więc wiodły żywot fascynujący, niezależnie od tego, czy uda Wam się przekazać innym jego treść.

Na tym mogłabym poprzestać, obyczaj jednak domaga się tego, by oficjalną mowę zakończyć oracją. Zgodzicie się chyba ze mną, że oracja przeznaczona dla kobiet powinna mieć w sobie coś szczególnie wzniosłego i uszlachetniającego. Powinnam Was zatem wezwać, byście pamiętały o swych obowiązkach, byście stawały się wzniośle i uducho-

wione; powinnam przypomnieć Wam, jak wiele zależy od Was samych i jak wielki wpływ możecie wywrzeć na przyszłe pokolenia. Podobne zaklęcia można jednak bezpiecznie, jak sądzę, zostawić płci przeciwnej, która wypowie je i nie raz już wypowiedziała, z elokwencją nieporównanie bogatszą niż moja. Myszkiując w swoim umyśle, nie znajduję żadnych szlachetnych uczuć na temat tego, jak być towarzyszką życia, istotą równą i szlachetną oraz kimś, kto prowadzi świat ku wyższemu celom. Rzekłabym raczej krótko i prozaicznie, że znacznie ważniejsze jest być sobą niż czymkolwiek innym. Gdybym potrafiła ubrać tę myśl w słowa odpowiednio wzniosłe, prosiłabym Was teraz, byście nie myślały o ulepszeniu innych ludzi. Myście o rzeczach samych w sobie.

Zajrzałam do kilku gazet, powieści i biografii i przypomniało mi się, że, przemawiając do innych kobiet, kobieta powinna mieć w zanadru kilka przykrych słów. Kobiety są twarde wobec innych kobiet. Kobiety w ogóle nie lubią kobiet. Kobiety – czyż jednak nie obrzydło Wam to słowo do reszty? Mogę Was zapewnić, że mnie tak. Zgodźmy się więc po prostu, że wykład, który kobieta wygłasza dla innych kobiet, powinien kończyć się czymś szczególnie niemilnym.

Ale jak to się robi? Czy uda mi się wymyślić coś odpowiedniego? Prawda jest taka, że na ogół lubię kobiety. Lubię ich niekonwencjonalność. Lubię ich subtelność. Lubię ich anonimowość. Lubię – nie powinnam jednak ciągnąć tego dalej. Tamta szafka pod ścianą – twierdzicie, że nie ma w niej nic prócz czystych serwetek; a jeśli wśród nich ukrył się sir Archibald Bodkin? Pozwólcie więc, że przybioreę ton nieco bardziej surowy. Czy zapoznałam Was dostatecznie z ostrzeżeniami oraz krytyką, jaką przetrząsnął dla Was ród męski? Znacze już bardzo mizerną opinię, jaką miał na Wasz temat pan Oscar Browning. Przekazałam Wam wiernie, co myślał o Was nigdyś Napoleon oraz co Mussolini myśli w chwili obecnej. Następnie, na wypadek, gdybyście pragnęły zająć się pisaniem powieści, przepisałam ku Waszej nauce instrukcje pewnego krytyka, jak dzielnie należy godzić się z ograniczeniami własnej płci. Zwróciłam się też o wsparcie do pro-

fesora X i dobitnie powtórzę Wam jego słowa o umyślo-  
wej, moralnej i fizycznej niższości kobiet. Przekazałam Wam  
wszystko, co wpadło mi w ręce, nie szukając niczego special-  
nie, teraz zaś posłuchajcie ostatniej przestrogi – pana Johna  
Langdona Daviesa<sup>12</sup>. Otóż pan John Langdon Davies pra-  
gnie Was ostrzec, iż „gdy nie pragniemy już mieć dzieci,  
kobiety stają się całkowicie zbędne”. Mam nadzieję, że zano-  
tujecie to zdanie w zeszytach.

Cóż mogę jeszcze powiedzieć, by dodać Wam odwagi  
na dalszą drogę życia? Drogie młode kobiety, mogłabym  
rzec, jesteście – i proszę o pilną uwagę, bo oto zaczynam  
orację – jesteście, moim zdaniem, haniebnymi ignorantkami.  
Nigdy nie zrobiłyście odkrycia o jakimkolwiek znaczeniu. Nie  
zatrzęśliście żadnym imperium, nie poprowadziłyście do boju  
żadnej armii. Dramaty Szekspira nie są Waszym dziełem  
i żaden barbarzyński lud nie zaznał dzięki Wam błogosła-  
wieństw cywilizacji. Cóż macie na swoje usprawiedliwienie?  
Wiem, wskazuje zaraz na ulice, na place i lasy tego globu,  
na niezliczone chmary jego czarnych, białych i kawowych  
mieszkańców, zajętych jazdą po drogach, handlem lub miło-  
ścią i stwierdzicie, że miałyście ręce pełne roboty. Gdyby nie  
my, powiecie zapewne, po tych morzach nie pływałyby  
okręty, te piękne pola byłyby pustynią. Urodziłyśmy, wycho-  
wałyśmy, myśliśmy i uczyłyśmy owe miliard sześćset dwadzie-  
ścia trzy miliony istot ludzkich, które, wedle statystyk, zamie-  
szkują obecnie kulę ziemską, a zajęcie to, nawet jeśli nie-  
którym z nas ktoś w nim pomagał, jest dość czasochłonne.  
Jest nieco prawdy w tym, co mówicie – nie przeczę.  
Czy pozwolicie jednak, że Wam przypomnę, iż od 1866  
roku istnieją w Anglii przynajmniej dwa żeńskie college; że  
od 1880 roku kobieta zamężna ma prawo do posiadania  
odrębnej własności; oraz że w roku 1919 – czyli całe dzie-  
więć lat temu – dano jej prawo głosu? Czy mogę Wam rów-  
nież przypomnieć, że od prawie dziesięciu lat stoją przed

Wamni otworem prawie wszystkie profesje? Gdy zastanowicie  
się nad ogromem tych przywilejów oraz nad tym, od jak  
dawna można się nimi cieszyć, gdy weźmiecie przy tym pod  
uwagę, że w tej chwili musi istnieć około dwóch tysięcy ko-  
biet zdolnych w taki lub inny sposób zarobić pięćset funtów  
rocznie, to z pewnością przyznacie, iż usprawiedliwianie się  
brakiem szans, możliwości, wykształcenia, zachęty, wolnego  
czasu oraz pieniędzy jest już nieaktualne. A przy tym ekono-  
miści zapewniali nas, że pani Seton miała za dużo dzieci.  
Musicie, rzecz jasna, nadal je rodzić, ale, powiadają uczeni,  
dwójkami i trójkami, a nie tuzinami.

Otóż mając do dyspozycji trochę czasu i trochę wiedzy  
książkowej – bo wiedzy innego rodzaju nabyłyście już dosyć  
i podejrzewam, że do college'u wystano Was po części po-  
to, byście się jej odczuły – będziecie mogły rozpocząć na-  
stępny etap Waszej bardzo długiej, bardzo pracowitej i zupeł-  
nie jeszcze nieznannej kariery. Tysiące pór stoją w gotowości,  
by zasugerować Wam, co powinniście uczynić i jaki będzie  
efekt Waszych wysiłków. Przyznam, że moja własna sugestia  
jest nieco fantastyczna; dlatego wyłożę ją w formie fikcji.

Powiedziałam Wam w trakcie tych wykładów, że Sze-  
kspir miał siostrę; nie szukajcie jej jednak w biografii poety  
autorstwa sir Sidneya Lee. Umarta młodo i – niestety – nie  
napisała ani jednego słowa. Spoczywa tam, gdzie dziś zatrzy-  
mują się omnibusy, naprzeciwko tawerny Elephant and Ca-  
stle. Osobiście wierzę jednak, że owa poetka, która nigdy nie  
napisała ani słowa i którą pochowano na rozstaju dróg,  
nadal żyje. Żyje w każdej z Was i we mnie również, a także  
w wielu innych kobietach, których tu dzisiaj zabrakło, bo  
właśnie zmywają naczynia i kładą do łóżek dzieci. Lecz ona  
żyje; wielcy poeci bowiem nie umierają; są wiecznie obecni  
i tylko czekają na okazję, by zjawić się wśród nas jako żywi  
ludzie. Otóż sądzę, że nadchodzi czas, gdy będzie w Waszej  
mocy dać jej taką okazję. Wierzę bowiem, że jeśli przeżyje-  
my jeszcze jakieś sto lat – a mam tu na myśli życie wspólno-  
ty, które jest życiem prawdziwym, nie zaś ten drobny skra-  
wek czasu, dany nam do przeżycia jako jednostkom – i jeśli

<sup>12</sup> A Short History of Women, John Langdon Davies.

## Przypisy tłumacza

każda z nas będzie mieć pięćset funtów rocznie oraz własny pokój; jeśli przy tym wolność wejdzie nam w nawyk, a tak-że odwaga, by pisać dokładnie to, co myślimy; jeśli uda nam się uciec choć trochę ze współnych bawialni i zobaczyć istoty ludzkie nie tylko w ich relacjach z innymi ludźmi, lecz w re-lacji z rzeczywistością – z niebem, drzewami, z każdą, na-potkaną rzeczą – samą w sobie; jeśli uda nam się sięgnąć wzrokiem ponad pogróżki Milтона, bo żadna ludzka istota nie ma prawa zastrzaniać nam widoku na świat; jeśli wreszcie spojrzymy w oczy prawdzie, bo taka właśnie jest prawda, że nie istnieje żadne silne ramię, którego można by się uczeplić, że zawsze idzie się samotnie i że łączy nas związek ze świa-tem rzeczywistości, nie zaś tylko ze światem innych ludzi – wówczas nadarzy się owa okazja i umarła poetka, która była siostrą Szekspira, znów oblecze ciało, z którego tak często musiała rezygnować. Przyjdzie na świat, czerpiąc siły do życia od tych nieznanych poetek, swych poprzedniczek, tak jak przed nią uczynił to jej brat. Nie liczcie jednak na to, że nadejdzie bez przygotowań i wysiłku z naszej strony, bez na-zego uporu, by, kiedy już przyjdzie, dać jej szansę do życia i do pisania poezji – na to nie wolno nam liczyć, bo tak się nigdy nie stanie. Twierdzą jednak, że jeśli zechcemy dla niej pracować, pojawi się z pewnością i że pracy tej, nawet w biedzie i w zapomnieniu, warto się oddać bez reszty.

### Rozdział pierwszy

**Fanny Burney:** (1752-1840), powieściopisarka angielska podziwiana przez Jane Austen, autorka powieści obyczajowych o młodych, bys-trych dziewczętach wchodzących w świat (*Evelina*, *Cecilia*, *Carnilla*).

**Jane Austen:** (1775-1817), uznana za najwybitniejszą powieścio-pisarkę angielską (*Duma i uprzedzenie*, *Rozważna i romantyczna*, *Emma* i inne).

**siostry Brontë:** córki pastora, wszystkie trzy pisaty powieści: Anne (1820-49), *The Tenant of Wildfell Hall*; Charlotte (1816-55), *Dziw-ne losy Jane Eyre*, *Villette*; Emily (1818-48), *Wichrowe Wzgórze*.

**plebania Haworth:** siedziba rodziny Brontë w Yorkshire.

**George Eliot:** pseudonim Mary Ann Evans (1819-80), autorki m.in. *Młyna nad Floss* i *Middlemarch*, książki, którą Woolf gdzie indziej określa jako „jedną z niewielu powieści angielskich napisanych dla lu-dzi dorosłych”.

**pani Gaskell:** Elizabeth Gaskell (1810-65), autorka powieści „społecz-nych” (*Mary Barton*, *Póhnoc i południe*), a także biografii Charlotte Brontë.

**Oxbridge to czysty wymysł podobnie jak Fernham...** – oczywi-ście tak nie jest. „Oxbridge” to powszechnie przyjęta w Anglii nazwa

Oxford i Cambridge, uważanych za odrębne, nieporównanie bardziej elitarne i tradycyjne od innych brytyjskich uczelni. Woolf używa nazwy "Oxbridge" ironicznie, jako określenia modelowego (bogatego i nieprzynajmniej kobietom) college'u w którejś z tych sławnych uczelni. "Fernham" jest natomiast oczywistą aluzją do Newnham – drugiego z kolei (po Girton) żeńskiego college'u założonego w Cambridge (1871) – tym bardziej czytelną, że to właśnie w Newnham Woolf wygłosiła pierwszą wersję *Własnego pokoju*.

**Mary Beton, Mary Seton, Mary Carmichael, czy jak Wam się tylko spodoba...** – nazwiska te nie są przypadkowe. Mary Beaton, Mary Seaton i Mary Carmichael to bohaterki popularnej *Ballady o czterech Mariach*. Czwartą, która śpiewa o trzech pozostałych, jest Mary Hamilton, dama dworu, czekająca na śmierć z rąk kata, za to, że powiła dziecko królowi. Piosenkę łączy się zarówno z dworem Marii, królowej Szkotów, jak i z dworem carycy Katarzyny.

**Pedel:** (ang. *beadle*), funkcja bliska naszemu woźnemu, ale związana z pewnym autorytetem i oficjalnym strojem. Pedel pilnował w college'u porządku i zamykał na noc bramę, bywał też postacią groźną i szanowaną. Obecnie funkcja ta już nie istnieje.

**Charles Lamb:** (1775-1834), pisarz i krytyk angielski; centony zwalacza za dowcipne i poetyckie eseje oraz listy. Esej, o którym mowa, to *Oxford in the Vacation*.

**stawna biblioteka:** choć Woolf utrzymuje, że Oxbridge to miejsce fikcyjne, tym razem nie można mieć wątpliwości: rękopis *Lycidasa* znajduje się w bibliotece Trinity College, w Cambridge.

**futro na ramionach...**: w Cambridge togi uniwersyteckie osób, które uzyskały tytuł B.A., mają opadające na ramiona kapłury, wykończzone futrem.

**dwa wiersze** wykorzystane w tym rozdziale to: Alfred Lord Tennyson, *Maud*, część XXII, zwrotka X oraz Christina Rossetti, *A Birthday*.

**J— H—**: Jane Harrison (1850-1928), antropolożka, badaczka żeńskich bóstw w religii greckiej.

## Rozdział drugi

**les femmes... que les hommes:** „kobiety popadają w skrajności, są albo lepsze, albo gorsze niż mężczyźni” (La Bruyère, *Les Caractères, Des femmes*).

**Romney:** George Romney (1734-1802), malarz angielski, ceniony zwłaszcza jako portrecista. (Także autor słynnego obrazu *Milton and His Daughters* – przyp. red.).

**która Milton polecał memu nieustannemu uwielbieniu...**: Virginia Woolf wielokrotnie pisała o patriarchalnej spuściznie Miliona. W dzienniku pisze o nim jako o „pierwszym maskulinistcie”; wątek ten powraca jeszcze w rozdziale szóstym.

## Rozdział trzeci

**Lady Verney i Lady Hutchinson:** Frances Parthenope, Lady Verney (redaktorka) i Lucy Hutchinson, autorka siedemnastowiecznych pamiętników angielskich.

**Aubrey:** John Aubrey (1626-97), antykwariusz i biograf; autor zbioru życiorysów ludzi swojej epoki (*Brief Lives*), pełnego anegdot i zabawnych obserwacji.

**Joanna Baillie:** (1762-1851), poetka i autorka dramatów, m.in. dzieł w pięciu krótkich sztuk *Plays of the Passions*.

**Mary Russell Mitford:** (1787-1855), autorka pięciu tomów szkiców i opowiadań (*Our Village*).

**...o tańczących pudlach i kobietach grających na scenie:** aluzja do zdania Samuela Johnsona: „Drogi Panie, kobieta, która głośno kazała, jest niczym pies chodzący na tylnych łapach. Nie robi tego dobrze, ale dziwny się, że w ogóle to robi” (Boswell, *Life of Johnson*, 31 lipca 1763). Zdanie to pojawia się raz jeszcze w tym rozdziale, w odniesieniu do kobiet-kompozytorków.

**Nick Greene:** postać fikcyjna; pojawia się jako arogancki poeta w *Orlandzie* (1928).

**Robert Burns:** (1759-96), wybitny poeta szkocki, syn ubogiego farmera. Przez całe życie nekady go kłopoty finansowe.

**Edward Fitzgerald:** (1809-83), ekscentryczny poeta i tłumacz, przyjaciół Tennysona i Thackeraya; autor listów i anegdót, z których prawdopodobnie pochodzi wspomniana przez Woolf sugestia.

**Currer Bell:** pseudonim Charlotte Brontë.

*ce chien est à moi:* „ten pies należy do mnie” (Blaise Pascal, *Pensées*, 64).

**Parliament Square, Sieges Allee:** plac przed Parlamentem w Londynie i Aleja Zwycięstwa w Berlinie. Oba miejsca pełne są pomników i tablic pamiątkowych.

**„wielcy poeci umierają w nędzy”:** „Mighty poets in their misery dead”, Wordsworth, *Revolution and Independence*, 116.

**lord Birkenhead:** Frederick Edwin Smith, lord Birkenhead (1872-1930), polityk konserwatywny, Lord Kanclerz.

**dziekan Inge:** Wielobny William Ralph Inge (1860-1954), dziekan katedry St Paul's, zwany „ponurym dziekanem”; konserwatywny publicysta i osoba publiczna.

**Oscar Browning:** (1837-1923), profesor historii w King's College, w Cambridge, gdzie stał się postacią legendarną – grubaś, awanturnik i snob, bohater wielu anegdót.

**Germaine Tailleferre:** kompozytorka francuska, ur. 1892.

**na nagrobku romantycznego poety Johna Keatsa** widnieją słowa: „here lies one whose name was writ in water” („tu spoczywa ktoś, kogo imię napisano na wodzie”).

## Rozdział czwarty

**Lady Winchilsey:** Anne Finch, Countess of Winchilsea (1161-1720), poetka, dama dworu, przyjaciółka Pope'a, Gaya, Swifta. Jej poezję ogromnie podziwiał Wordsworth. Cytowane wiersze to dwa fragmenty z jej *The Introduction* i cztery z *The Spleen*.

140

**John Middleton Murry:** wydawca i autor wstępu do wierszy lady Winchilsey (Londyn 1928).

**Margaret z Newcastle:** Margaret Cavendish, księżna Newcastle (1623-73), pisarka. Sir Edgerton Brydges, historyk literatury, opatrzył wstępem jej *Wspomnienia* wydane w 1814.

**pani Behn:** Aphra Behn (1640-1689), autorka dramatów, wierszy, nowel. Do jej „przygód” należały m.in. szpiegostwo, pobyt w więzieniu za długi oraz liczne romanse.

**Eliza Carter:** Elizabeth Carter (1717-1806), poetka, autorka listów, tłumaczka, badaczka literatury antycznej, członkini koła sawantek (Blue Stockings). W dzieciństwie, wraz z braćmi, nauczyła się łaciny, greki i hebrajskiego, potem zaś francuskiego, włoskiego, niemieckiego, portugalskiego i arabskiego.

**„najwyższa głowa pieśni”:** A. C. Swinburne określił w ten sposób Sałone w *Aue Atque Vale*.

**Jane Eyre:** cytowany fragment pochodzi z *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Brontë, przełożyła Teresa Świderska, PIW, Warszawa 1974, tom I, s. 136-137. Rzecz ciekawa, że właśnie to przejście od marzeń Jane o wolności do złowróżnego śmiechu rzekomo pochodzącego od Gracji Poole, które tak nie podoba się Virginii Woolf, obecnie jest szczególnie cennie przez krytyków.

**Rochester:** wielka miłość Jane w *Dziwnych losach Jane Eyre*.

## Rozdział piąty

**Mary Carmichael:** Marie Carmichael to pisarski pseudonim Marie Stopes, aktywistki ruchu kobiecego, wojowniczkii o wolność rozrodczą. W 1928 roku ukazała się jej powieść *Love's Creation; Life's Adventure* to tytuł fikcyjny (patrz też przypis o trzech Mariach do rozdziału pierwszego).

**Emma i pan Woodhouse:** bohaterowie *Emmy*, powieści Jane Austen (1816).

**Sir Chartres Biron:** sędzia w głośnym procesie o obrazę moralności wytoczonym *The Well of Loneliness* Radcliffe Hall (1928), powieści

141

w otwarty sposób mówiącej o miłości lesbijskiej. Mimo protestów wielu znakomitych pisarzy (Leonarda i Virginii Woolf, E.M. Forstera, Arnolda Benneta) książka została zakazana. Proces toczył się w roku 1928, w czasie, gdy Woolf pisała *Własny pokój*, można więc założyć, że związane z nim nazwiska były świeżo w pamięci jej słuchaczek i pierwszych czytelników.

**Diana na rozstajach** (*Diana of the Crossways*): powieść George'a Mereditha (1885).

**Burke i Debrett**: corocznie publikowane prace encyklopedyczne, poświęcone zamoznej szlachcie brytyjskiej.

**Sir William Joynson Hicks**: Minister Spraw Wewnętrznych, narbardziej zawzięty przeciwnik *The Well of Loneliness*.

**pan Casaubon**: jeden z głównych bohaterów powieści *Middlemarch* George Eliot (1871).

## Rozdział szósty

**panna Clough i panna Davies**: Anne Jemima Clough (1820-92) i Emily Davies (1830-1921), sufragżystki, wojowniczkini o prawo kobiet do edukacji, przełożone żeńskich college'ów w Cambridge (Newnham i Girton).

**stary Jolyon**: patriarcha Forsyte'ów w powieści Johna Galsworthy'ego *Saga rodu Forsyte'ów* (1922).

**pani Murasaki**: Shikibu Murasaki, ok. 978 - ok. 1026, pseudonim japońskiej damy dworu, autorki najstarszej powieści świata p. t. *Gen-dzi-Monogatori* (*Opowieści o Gen-dzi*).

**Sir Archibald Bodkin**: główny oskarżyciel publiczny w procesie *The Well of Loneliness* Radclyffe Hall.

## Spis treści

Własny pokój, własna twórczość ( <i>Izabela Filipiak</i> ) .....	5
Rozdział pierwszy .....	19
Rozdział drugi .....	43
Rozdział trzeci .....	60
Rozdział czwarty .....	77
Rozdział piąty .....	99
Rozdział szósty .....	116
Przypisy tłumacza .....	137